



**WSPANIAŁE
„LEGIONY”**

**MAMY
WRESZCIE
HOLLYWOODZKI
FILM O POLSKIEJ
HISTORII**

**NALASKOWSKI:
TO MUSIAŁO
WYBUCHNĄĆ**

**GLIŃSKI:
ROZBIJAMY MUR
POSTKOMUNIZMU**

**GÓRNY:
MITY GEJOWSKIEGO LOBBY**

SIECI

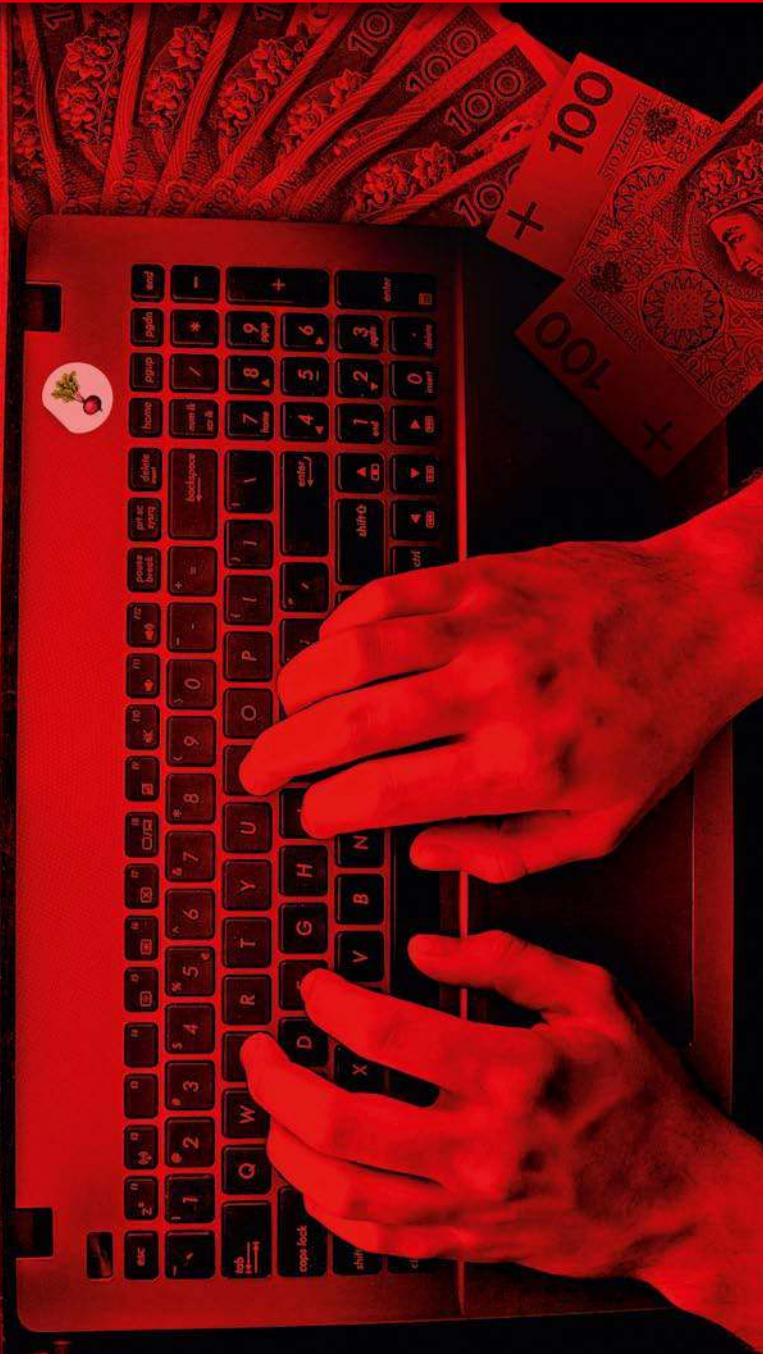
**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 38 (356) 2019
23–29 września

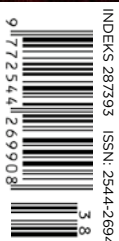
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

NASZE ŚLEDZTWO

UJAWNIAMY MROCZNĄ TAJEMNICĘ POLSKIEJ POLITYKI



**MAMY DOWODY, ŻE ZA POTĘŻNĄ MASZYNĄ POLITYCZNEGO HEJTU W INTERNECIE
STOJĄ LUDZIE PLATFORMY I JEJ PIENIĄDZE**



INDeksu 287293 ISSN: 2544-2694

3 8

MAKSIMUM SPORTU!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat” nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

Pakiet Ekstraklasa dostępny z ofertą telewizji satelitarnej i telewizji kablowej IPTV do 30.06.2021 r., z możliwością przedłużenia dostępności. Cały sezon Formula 1®, Bundesliga, LaLiga Santander i Serie A TIM w ELEVEN SPORTS. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved.



Kontrrewolucjonista wytrwał

To więcej niż tylko gest czy procedura. Odwieszenie prof. Aleksandra Nalaskowskiego na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i przywrócenie go wspólnocie uniwersyteckiej to przełom.

Dotąd fala „utęczowienia” społeczeństwa szła nieubłaganie – wkraczała butnie do kultury, mediów, wychodziła na ulice, przejmowała szkoły i podwórkowe zabawy. Dla lewicowo-liberalnych elit akceptacja LGBT była tak oczywista, jak elektryfikacja w połowie XX w. – po prostu miała nadejść. Homoaktywiści mieli powody do zadowolenia – żaden kraj, żaden naród ich nie zatrzymał – aż do teraz. Odparcie manipulacji braci Sekielskich w ich filmie „Tylko nie mów nikomu”, potem klęska postępców w eurowyborach, a teraz przełamanie politycznej poprawności rektora UMK prof. Tretyna.

Przy okazji sprawdził się schemat obrony wartości opisany w książce podręczniku konserwatysty Plinia Corrêi de Oliveira „Rewolucja i kontrrewolucja”, w którym stwierdzał on, że jest tylko jeden schemat powstrzymania lewactwa. „Nie ma nic bardziej skutecznego niż szczerza i dumna postawa kontrrewolucyjna młodego studenta, oficera, nauczyciela (...) Pierwszą reakcją na taką postawę będzie czasami oburzenie; lecz jeżeli kontrrewolucjonista wytrwa, to po pewnym czasie (...) inni stopniowo dołączą do niego”. I to się właśnie stało – „szczerza i dumna postawa kontrrewolucyjna” prof. Nalaskowskiego dała nam czas i motywację, by zmobilizować swoje poparcie dla naukowca i wychowawcy. Trzeba do tego pamiętać, że w żadnym kraju się to nie udało – ostrzec społeczeństwo, że LGBT to ideologia, a osoby homoseksualne są jedynie narzędziami w rękach bogatych aktywistów. Mamy wreszcie w Polsce elity, które się ideologów nie boją.

Cieszymy się z sukcesu, ale nie za długo. Na pewno tęczyowa międzynarodówka Polsce nie odpuści.

Jakub Maciejewski

Warto iść na wybory

Nie świruj, idź na wybory!” – zachęcają w internecie znane osoby (kojarzone z niechęcią do rządu) oraz zwykli Polacy. Pomysłodawcą akcji jest fotograf Tomasz Sikora. Właściwie profrekwencyjną akcję należałoby pochwalić, gdyby nie to, że nie da się tego zrobić.

Wszystko dlatego, że w celu zmobilizowania elektoratu opozycji (tak przynajmniej kojarzą się występujące w spotach postaci) celebryci parodiują ludzi niepełnosprawnych: na ciebie i umyśle. Chciał, nie chciał nasuwa się interpretacja: jak nie pójdziesz ty, normalny, to pójda te świry, wyborcy Prawa i Sprawiedliwości. Niestety troska i wrażliwość, jaką środowisko artystyczne okazywało niepełnosprawnym i ich opiekunom protestującym w Sejmie, całkiem gdzieś przysła.

Zadziwiające, że opozycja i jej akolici na finiszu kampanii, by zmobilizować własny elektorat, posuwają się do tak prostackich i zwyczajnie obrzydliwych chwytów. To tak się walczy o wyborców?

Trzeba też przyznać, że momentami PiS ma sporo szczęścia, jeśli chodzi o nietrafione akcje przeciwników rządu. Np. gdy okupacja Sejmu zamieniła się, m.in. dzięki śpiewom opozycji, w czystą farsę. Tak też było, gdy się okazało, że o praworządność walczy alimenciarz i oszust (lewe faktury), tak również było, gdy ujawniono, że za licznymi teoretycznie społecznymi protestami często stoi ta sama grupa bojówkarzy. Tak jest i teraz, gdy próba mobilizacji elektoratu może ten elektorat zniechęcić do głosowania.

Organizatorzy akcji nie zauważyli jednego: elektorat PiS bardzo nie lubi być obrażany i mobilizuje się, gdy czuje, że bliskie mu wartości mogą być zagrożone. Tak było przy okazji wyborów europejskich. Tak może być teraz. Po prostu, idźcie państwo na wybory! Warto.

Dorota Łosiewicz



28

Państwo dobrobytu
Konrad Kołodziejski



31

Wyplukana kampania
Stanisław Janeczek



37

Córka generała chce do Senatu
Jakub Maciejewski

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 NIETYKALNI**
Krzysztof Feusette
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 14 MACIE SZANSĘ NAM ZAZDROŚCIĆ!**
Jan Pietrzak
- 15 ANTYŚWIAT**
Bronisław Wildstein
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 INFRASTRUKTURALNY BOOM**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 20 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 22 SOKZBURAKA NA ETACIE W PO**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 28 PAŃSTWO DOBROBYTU**
Konrad Kołodziejski
- 31 WYPŁUKANA KAMPANIA**
Stanisław Janeczek
- 34 Z KRZYSZTOFEM SOBOLEWSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek
- 37 CÓRKA GENERAŁA CHCE DO SENATU**
Jakub Maciejewski
- 40 Z PROF. PIOTREM GLIŃSKIM**
rozmawia Michał Karnowski
- 46 MITY LOBBY GEJOWSKIEGO**
Grzegorz Górny
- 48 Z MACIEJEM WĄSIKIEM**
rozmawia Wojciech Biedroń
- 51 Z SAMEM BRYANEM**
rozmawia Jacek Karnowski

SIECI KULTURY

- 56 Z PHILIPPE'EM I MIROSŁAWEM TŁOKIŃSKIMI**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 58 LICZY SIĘ NIE TYLKO ROZMACH**
Łukasz Adamski
- 60 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

- 61 KLATA DBA O MÓJ PORTFEL**
Przemysław Skrzydelski

- 62 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 64 F JAK FELIETON, NIEBEZPIECZNY GATUNEK**
Hanna Karp

ŚWIAT

- 66 DOBRY I ZŁY POLICJANT?**
Aleksandra Rybińska
- 70 CHIMERYCZNA WOLA TRUMPA**
Jan Rokita

GOSPODARKA

- 72 NADZIEJA DLA FRANKOWICZÓW**
Dorota Łosiewicz

KUCHNIA

- 82 MOJE SMAKI: PATRYCJA MACHAŁEK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84 DO WASZYCH SERC, DO WASZYCH GŁÓW**
Maciej Pawlicki
- 86 JAKA EUROPEJSKOŚĆ, JAKA KULTURA**
Alina Czerniakowska
- 88 Z PROGRAMU PiS**
Wojciech Reszczyński
- 90 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 POLAKÓW PORTRET WŁASNY**
Jan Pospieszalski
- 93 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 94 WYWROTOWY FELIETON**
Aleksander Nalaskowski
- 95 KWADRATURA POPRAWNOŚCI**
Wiktor Świetlik
- 96 DUMA STADIONOWA**
Ryszard Makowski
- 97 WIERZĄCE DOKUMENTY**
Leszek Długosz
- 98 „KULAWA TĘCZA” I „POKRACZNY KRUCYFIKS”**
Katarzyna Zybortowicz



GRAJ W LOTERII

CO **3** ZDRAPKA WYGRYWA!*

88

samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



**Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrasz**

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.

Sygnalista nadaje

Kim jest **Małgorzata Kidawa-Błońska**? Dla wielu Polaków odpowiedź na to pytanie byłaby poważnym wyzwaniem. Z jednego z sondaży (panel Ariadna) wynika, że aż 49 proc. respondentów nie zna Kidawy-Błońskiej nawet ze słyszenia. Z kolei badanie Social Changes dla portalu wPolityce.pl wskazuje, że ponad połowa badanych (51 proc.) nie jest w stanie ocenić, czy byłaby ona dobrym, czy złym premierem. W sumie taka mała polityczna kinder-niespodzianka. Na szczęście logo PO jest tak silne, że wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Sztabowcy Platformy mieli pomysł, jak wywindować Kidawę-Błońską na wyższy poziom rozpoznawalności. Plan zakładał ogłoszenie, że kandydatka na premiera jest podobna do... Sophii Loren. Chodziło rzecz jasna o podobieństwo stylu i wyglądu. Plan ostatecznie upadł, co dowodzi, że sztab PO nie jest aż tak beznadziejny, jak przyjęło się uważać.

Czy jednak Platforma w ogóle ma sztab? Po kompromitacji formalnego szefa **Krzysztofa Brejzy** (fabryka hejtu w Inowrocławiu) główny ciężar kampanii przejęły firmy piarowe od lat powiązane z PO. I to one teraz decydują o głównych kierunkach uderzenia. Prowadzą kampanię precyzyjnie skoncentrowaną na poszczególnych grupach społecznych, w tym na przedsiębiorcach, którym podsuwają hasło: „Obroń swoją firmę”. PiS nie powinno spać, bo przerażeni przedsiębiorcy to także przerażeni pracownicy.

Ale trudno nie spać, gdy niektóre sondaże dają 50 proc. poparcia. Wieść niesie, że pewne nawet jeszcze więcej. Np. sondaż zamówiony przez Platformę, a zrealizowany na wyjątkowo dużej próbie, miał wykazać, że poparcie dla PiS wynosi aż 56 proc. W tej sytuacji trudno się dziwić, że Grzegorz Schetyna tak bardzo chce się dzielić odpowiedzialnością za klęskę, że usunął się (trochę) w cień.

III RP może też liczyć na znanych aktorów, którzy w ramach kampanii „Nie świruj, idź na wybory” stroją głupie i jeszcze głupsze miny, próbując w ten sposób zmobilizować wyborców opozycji. Prawica atakuje akcją tezę, że w ten sposób obraża się osoby chore psychicznie. Coś w tym jest, bo niektórzy uczestnicy akcji rzeczywiście parodiują paralityków. Ale ważniejsze jest coś innego: nieśmiertelna wiara, że osoby znane z kina i telewizji mogą wpłynąć na wybory Polaków. Otóż nie mogą. Naród wie, że aktorzy są od grania, a nie od politykowania.

Świątek artystyczny co rusz udowadnia jednak, że jego odporność na presję środowiskową jest właściwie zerowa. Reżyser Jacek Bromski najpierw nakręcił oparty na motywach sprawy Amber Gold film „Solid Gold”, a potem chyba się przestraszył się presji „Wyborczej” i po prostu wyciął kłuczowe sceny. Po takim numerze Telewizja Polska – która dała na film pieniądze – nie miała wyjścia i wyciąła obraz z festiwalu w Gdyni. „TVP liczy na odzyskanie przez Twórców

Na konwencji PiS w Łodzi Jarosław Kaczyński powiedział, że wybory mają sens wtedy, kiedy są wyborem między różnymi programami i elitami. „Jeżeli tego wyboru tak naprawdę nie ma i wszyscy w gruncie rzeczy mają mówić i robić to samo, to wtedy nie ma demokracji. W Polsce obok tej elity stworzonej przez postkomunizm jest już nowa. Elita, która jest w stanie zmieniać Polskę, i o tym tutaj była mowa. Nie taka elita, która chce się wynosić, tylko służyć” – mówił prezes PiS. Konsolidacja tej elity – wciąż przeciw słabszej niż konkurencyjna – jest także ważną stawką wyborów 13 października. Być może najważniejszą.

cywilnej i artystycznej odwagi” – napisano w komunikacie publicznego nadawcy. Odwagi!

🔊 PiS swoją kampanię osnuło wokół zapowiedzi budowy „polskiej wersji państwa dobrobytu”. Ten, kto je wymyślił – a był to, jak wszystko wskazuje, ktoś spoza sztabu – zasługuje na medal. To hasło, które idealnie trafia w polskie pragnienia, marzenia, a także kompleksy. Jeśli nie zostanie zmarnowane i jeśli nie dogoni nas globalny kryzys, może się stać dobrym mottem całej kolejnej dekady.

🔊 Hasło „polska wersja państwa dobrobytu” jest nośne, ponieważ stoi za nim realny wzrost zamożności Polaków. Niektórym to przeszkadza. Henryka Krzywonoś tak oto krytykowała program 500+: „Wielu Polaków nie pracuje z tego względu. Na wsiach, na których jestem bardzo często obecna, ludzie porzucili pracę, nikt nie zbiera truskawek, nikt nie wychodzi do robienia prac polowych, bo uważają, że to starczy” – narzekała, potwierdzając przeczeczenie, że ludziom sytym w III RP pasowała sytuacja, w której mają tanią i łatwo dostępną obsługę.

🔊 Ludmiła Kozłowska z fundacji Otwarty Dialog kontynuuje krucjatę przeciwko Polsce. „W ostatnich latach postrzegam Polskę jako kraj okupowany przez PiS, podobnie jak Krym jest okupowany przez Rosję. To mocne słowa, ale wypowiadam je z pełną świadomością ich znaczenia” – ogłosiła, przekraczając kolejną granicę przyzwoitości. Skoro jednak tak, to po co pani Ludmiła tak się tu pcha? Niech poczeka na lepsze czasy w jakimś hotelu.

🔊 Pani Ludmiła skarży się, że PiS odebrało jej drugą ojczyznę: „Tęsknię za otwartą, tolerancyjną i przyjazną Polską, która umożliwiła mi kiedyś realizację marzeń. Mieszkając tutaj i prowadząc fundację działającą na rzecz człowieka, mogłam pomagać ofiarom represji politycznych w krajach postsowieckich. Tę Polskę odebrał mi PiS, ale wierzę, że już niedługo Polacy podejmą przełomowe decyzje”. Coś w tym jest. PiS rzeczywiście odebrało Polskę mistyfikatorom, oddając ją Polakom. I dlatego pani Ludmiła jeszcze trochę potęskni.

🔊 **Monika Jaruzelska** zarzuciła Włodzimierzowi Czarzastemu, że mocno faworyzuje rzeczniczkę partii Annę Marię Żukowską. Córka generała-dyktatora twierdzi, że przewodniczący SLD wypchnął z Warszawy wszystkie kobiety ze znaczącymi nazwiskami, również ją samą: „Wszy-

scy twierdzą, że to osobista decyzja Czarzastego, bo bliższa jego sercu jest Anna Maria Żukowska. [...] Mężczyźni w kryzysie wieku średniego robią różne rzeczy. Jak widać, każdy Kazimierz ma swoją Izabel”. To ciekawe, że na lewicy, jak już się biją, to tak, żeby zabolą.

🔊 Anna Maria Żukowska odpowiedziała Jaruzelskiej takim oto wpisem: „Rok temu na wspólnym kampanijnym spacerze z psami na Polu Mokotowskim z kandydatem na prezydenta Warszawy Andrzejem Rozenkiem pies pani Jaruzelskiej chciał zgwałcić moją (wysterylizowaną, więc to dziwne) sunię. Kiedy ją wzięłam na kolana, podszedł i mi nasikał do butów. Jaki pies, taki pan”. Cóż, nie wygląda to dobrze, bo taki wpis tylko potwierdza trafność analogii użytej przez Jaruzelską.

🔊 Jeśli chcemy wiedzieć, czy idziemy w dobrą stronę, patrzmy na reakcje. Po sukcesie uroczystości związanych z 80. rocznicą wybuchu II wojny światowej izraelski „Haaretz” orzekł: „Rząd w Warszawie zdołał przeforsować własną narrację na temat wojny, koncentrując się na cierpieniach Polaków, oraz przekonać do niej USA i Niemcy”. Teraz, gdy Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego otworzył w Berlinie swój pierwszy zagraniczny oddział, głos zabral prof. Jan Grabowski, stwierdzając, że będzie to „użyteczne narzędzie i oręż w rękach polskich nacjonalistów”. Wielu boli, że Polska przestaje być bierną ofiarą dyfamistów.

🔊 W czasie wspomnianych obchodów prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier pięknie przeproszał za zbrodnie. „Jako gość z Niemiec stoję przed państwem boso. Proszę o przebaczenie i przyznaję się do odpowiedzialności” – mówił poruszony. Teraz, w wywiadzie dla „Corriere della Sera”, dodał, że muszą nam wystarczyć słowa, i nie mamy co liczyć na reparacje. Ważne, twierdzi, by „podążać drogą pojednania podjętą z trudem i bólem przez pokolenia przed nami”. Ale Polska już nie odpuści. W imię pojednania. Bo nie będzie szczerej zgody, jeśli ten rachunek pozostanie tak ordynarnie niezapłacony.

🔊 Krok po kroku po stronie rządu staje w tej sprawie opinia publiczna. Według CBOS 69 proc. badanych uważa, że Polska powinna się domagać od Niemiec odszkodowań za straty poniesione podczas II wojny światowej; oznacza to wzrost o 15 pkt proc. w porównaniu z październikiem 2017 r. Przeciw jest 21 proc. – spadek o 15 pkt.



Nie ma już w Polsce chyba nikogo, kto łykałby narrację salonowych mediów, iż zawieszenie profesora Aleksandra Nalaskowskiego przez rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, pana Tretyna – w związku z felietonem Nalaskowskiego o „gwałceniu” wrażliwości społecznej przez działaczy LGBT – to efekt troski o jakość debaty publicznej. Bo przecież widać gołym, jak nogi posła Budki podczas wywiadu, okiem, że pod specjalną ochroną są dziś w Polsce wyłącznie lewacy spod tęczowych sztandarów. I tylko oni. Choćby pluli na najświętsze dla Polaków wartości, na Matkę Boską i Jej Syna, na Boga, Honor i Ojczyznę – włos z pułostanu spaść im nie może. Profesor Nalaskowski napisał o homoterrorze, który wślizgnął się do Polski tylnymi, za przeproszeniem, drzwiami i otdąd pasożytuje na europejskich kompleksach części rodaków. A przecież wystarczyło, by pisać o mentalnym „gwałceniu” społeczeństwa, zamiast LGBT Nalaskowski wymienił PiS i natychmiast stałby się bohaterem walki o wolność i demokrację. Cóż, kiedy – jaka to wolność i jaka demokracja – zawieszenie profesora na felieton pokazuje aż nadto.

Czy zatem rektor Tretyn zachowywał się identycznie w stosunku do bardziej medialnych profesorów czy wykładowców: Hartmana, Sadurskiego, Środy, Kochanowskiego? Niestety, pełnię wiedzy o „pisowskim reżimie”, „wolnych mediach” i „sądach”, a nade wszystko – o polskich uczelniach wyższych przynosi prosta jak struktura salonowego cepa prawda: profesorom wolno w Polsce powiedzieć i napisać wszystko, pod warunkiem że będzie to służyło: a) odsunięciu PiS od władzy; b) odsunięciu Polaków od Boga i Kościoła katolickiego; c) interesom mediów zapraszających wyżej wymienionych w roli „niezależnych ekspertów”; d) umacnianiu kierowniczej roli Unii Europejskiej wobec polskiej „brzydkiej panny bez posagu”.

A przecież Hartman, profesor zwyczajny w Zakładzie Filozofii i Bioetyki Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, postulował np. przeprowadzenie debaty o możliwości zalegalizowania w Polsce... kazirodstwa. „Jest pewien argument na rzecz tolerowania kazirodstwa: jeśli udaje się powiązać harmonijnie miłość macierzyńską albo bratersko-siostrzaną z miłością erotyczną, to osiąga się nową, wyższą jakość miłości i związku” – tłumaczył człowiek, który w latach 2009–2010 był członkiem... ministerialnego zespołu ds. etyki w nauce. Jego zainteresowanie kazirodstwem dotarło wprawdzie do rzecznika dyscyplinarnego uczelni, ale o konsekwencjach nic nie wiadomo. Wiadomo za to, że Hartman nadal prowadzi na UJ zajęcia z przedmiotów tak ciekawych, jak „Filozofia i etyka zawodu położnej” czy „Etyka zawodowa”. O kazirodstwie już nie wspomina, za to wyżywa się w polityce, pisząc np. o „zdemoralizowanym ministrze sprawiedliwości o cechach psychopaty” i o tym, że „lud Ka-

Nietykalni



KRZYSZTOF FEUSETTE

czyńskiego nie potrzebuje pozorów (...) Żadne łajno, żaden ryszotok mu niestraszny. Paranoicy, psychopaci, patologiczni Narcyzowie i ograniczone umysłowo prymitywy mogą się czuć bezpiecznie. To ich czas. Ich Polska”. Tu już, oczywista oczywistość, wniosków do rzecznika nie było.

Podobnie jak w przypadku Wojciecha Sadurskiego, profesora nauk prawnych na Uniwersytecie Warszawskim, pracownika Sekcji Badań i Szkoleń w Centrum Europejskim, gdzie zajmuje się, a jakże, „orzecznictwem Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w dziedzinie ochrony wolności słowa i religii”. W przerwach zaś amatorsko „politykuje”. „To, z czym mamy dziś do czynienia w Polsce, to triumf aroganckiego i ignoranckiego plebsu”. Grozi, że „jeśli PiS wygra wybory”, to „pożaluję dnia, w którym wygrali”. Rodziny idące w Marszu Niepodległości nazywa „obrońcami białej rasy, którzy na chwilę schowali swe falangi

i swastyki”. A gdy 15-letni Jakub Baryła stanął z krzyżem naprzeciw parady tęczowych nieszczęśników bluzgających na Matkę Boską, Sadurski pokazał dokładnie, jak wygląda jego prywatne „orzecznictwo” w kwestii „wolności słowa i religii”. „Śmieciowy portal robi krzywdę nie zrównoważonemu dziecku, udającemu Skorupkę. Jak się położy, będzie Rejtankiem” – podsumował. Dlaczego nazwał Jakuba „niezrównoważonym”? Skąd ta powściągliwość, wszak można wyklądać na UW i pójść jeszcze dalej. Jak dr Jacek Kochanowski z Katedry Socjologii Moralności i Aksjologii Ogólnej, który o Baryle pisał: „Och, och. O po###ie z krzyżem w Płocku nie wypada pisać, że po###b. Choć ewidentnie pięknie pozował do zdjęć (...) Wypie#####c”. A potem apelował do opozycji: „Ku*** jego mać! Ludzie! Luuuuuuuudzie! No ale jak Wy chcecie osiągnąć równość i takie tam, jeśli pie***licie takim samym językiem, jak homofobi?”. Przed projekcją na UW (sic!) półpornograficznego filmu o relacjach młodego chłopca z podstarzałym pedofilem dr Kochanowski przekonywał studentów, że „jeśli nie damy upustu swoim namietnościom, to będziemy wyżywać się na innych”, bo „zagadnienie pedofilii jest nierozpakowane i musimy odczarować rzeczywistość”.

Trzeba się zatem częściowo zgodzić z dr Magdaleną Środą, która apeluje, aby „się modlić, by ze szkół i kościołów nie wychodziło więcej faszystów”. O kościoły jestem spokojny, o szkoły, zwłaszcza wyżej wymienione, już nie do końca. Rektor Tretyn pod naciskiem opinii publicznej przywrócił profesora Nalaskowskiego do pracy (bo przecież nie do łask). Zalecił mu jednakowoż „większą roztropność w formułowaniu tekstów publicystycznych”.

Nie chcę się wyzośliwiać, ale z tą „roztropnością” może Jego Magnificencja zacząłby od siebie? Bo na razie tylko on w tej historii musiał przyznać, że troszkę go poniosło. ▲



Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



Occupied life

Leben unter der Besatzung

The German occupation of Warsaw had a fatal effect on the city's life. A fifth of its buildings were destroyed. Families were crowded into cellars and attics, and scavenged for food. Cattle and horses were used to make way for German soldiers in Warsaw. Instead of making a living, many Poles were forced to work in German factories. The influx of refugees, German soldiers and food rationing made life in Warsaw around eight times harder.

Schwarzmarkt, auf dem Kleidung und Lebensmittel, Bierflaschen, Dollars, Diamanten und gefälschte Papiere gehandelt wurden. Viele Polen starben unter Kälte und Hunger.

Racial Vision

The Nazis' racial vision was based on the idea of a 'pure' Aryan race. They believed that Jews, Poles and other 'inferior' races were a threat to the survival of the Aryan race. This led to the persecution and extermination of millions of people.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'lebensraum' (living space). They believed that the Aryan race needed more land to survive. This led to the invasion of Poland and the Soviet Union.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial hygiene'. They believed that certain races were 'inferior' and should be eliminated. This led to the Holocaust.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial hierarchy'. They believed that the Aryan race was at the top of the hierarchy, and other races were at the bottom.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial purity'. They believed that the Aryan race should be kept pure, and mixed with other races was a threat to its survival.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial destiny'. They believed that the Aryan race had a destiny to rule the world.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial struggle'. They believed that the Aryan race was in a struggle with other races for survival.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial war'. They believed that the Aryan race was in a war with other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial hatred'. They believed that the Aryan race hated other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial discrimination'. They believed that the Aryan race discriminated against other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial oppression'. They believed that the Aryan race oppressed other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial persecution'. They believed that the Aryan race persecuted other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial extermination'. They believed that the Aryan race exterminated other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial genocide'. They believed that the Aryan race committed genocide against other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial cleansing'. They believed that the Aryan race cleansed the world of other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial annihilation'. They believed that the Aryan race annihilated other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial destruction'. They believed that the Aryan race destroyed other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial erasure'. They believed that the Aryan race erased other races from history.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial oblivion'. They believed that the Aryan race forgot other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial denial'. They believed that the Aryan race denied other races.

The Nazis' racial vision was also based on the idea of 'racial rejection'. They believed that the Aryan race rejected other races.

Death of a Nation

Tod einer Nation

Hitler's ideology did not recognize the nation state as the basic building block of Europe. Instead Hitler saw a continent divided by races vying for dominance.

He set out to strip away all vestiges of the Polish state. Hans Frank, the new governor of the so-called General Government for the Occupied Polish Territories, had orders to: "Polish [it] ruthlessly as a war territory and a land of booty, to turn it, so to speak, into a heap of ruins."

This meant looting and demolishing museums and cultural institutions. High schools and universities were closed, and tens of thousands of Poles pressed into work in the Reich. At the same time, SS killing squads known as the Einsatzgruppen targeted members of Poland's educated and professional classes. Over 50,000 lawyers, teachers, doctors and journalists – amongst them many Jews – were shot in the first months of the occupation.

Hitlers Ideologie ging nicht von Nationalität als Grundbaustein Europas aus. Stattdessen sah er einen Kontinent, der zwischen Rassen aufgeteilt war, die miteinander um die Vorherrschaft kämpften.

Er machte sich daran, alle Spuren des polnischen Staates zu beseitigen. Der neue Leiter des sogenannten Generalgouvernements, Hans Frank, erhielt den Befehl, es "unerbittlich auszunutzen wie ein Kriegsterritorium und Beutegebiet, um es sozusagen als Ruinenhaufen zu hinterlassen."

Dies bedeutete die Plünderung und den Abriss von Museen und kulturellen Einrichtungen. Oberschulen und Universitäten wurden geschlossen. Geschätzt wurden hunderttausende Polen in das Deutsche Reich zur Zwangsarbeit im Reich und SS-Tötungsgruppen, sogenannte Einsatzgruppen, nahmen Mitglieder der polnischen Bildungs- und Akademikerklassen ins Visier. In den ersten Monaten der Besatzung wurden über 50.000 Rechtsanwälte, Lehrer, Ärzte und Journalisten erschossen, unter ihnen viele Juden.

What makes up a nation?
What does it take to destroy one?
Was macht eine Nation aus?
Wie zerstört man eine Nation?

Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego w Berlinie

16 września 2019 r. przejdzie do dziejów polskiej dyplomacji historycznej. Tego dnia w Berlinie została otwarta niemiecka filia Instytutu Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego, której siedziba mieści się obok Bramy Brandenburskiej.

Otwarcie ważnego ośrodka polskiej polityki historycznej w samym sercu stolicy Niemiec to nowa jakość w tej dziedzinie. U nas nie trzeba bowiem nikogo przekonywać, że w czasie II wojny światowej nie byliśmy sprawcami, lecz ofiarami. Trzeba natomiast pokazywać prawdę historyczną odbiorcom na Zachodzie, którzy nie mają pojęcia o tym, co się działo na naszych ziemiach po 1939 r. Taką rolę ma odgrywać m.in. berlińska filia Instytutu Pileckiego.

Nie byłoby tego dzieła bez Jarosława Kaczyńskiego, który zrozumiał, że batalia o pamięć historyczną musimy toczyć, tworząc nowe instytucje oraz prowadząc działalność poza granicami kraju. Stąd wzięła się decyzja polityczna o stworzeniu Instytutu Pileckiego i jego wyjściu na świat.

Nie byłoby też tego przedsięwzięcia bez determinacji wicepremiera Piotra Glińskiego. Nie było po upadku komunizmu drugiego

ministra kultury w Polsce, który zbudowałby tak wiele instytucji kulturalno-naukowych, badawczo-popularyzatorskich i integracyjno-współnotowych. Podczas otwarcia ośrodka przypomniał on ważne słowa o pojednaniu niemieckiego prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera. Dodał jednak, że za słowami powinny pójść czyny, np. wspólna deklaracja ministrów kultury obu krajów w sprawie polskich dzieł sztuki zagarniętych przez Niemców.

Instytut nie mógłby w tak krótkim czasie tak prężnie się rozwinąć, gdyby nie wiceminister kultury Magdalena Gawin, która sprawuje nad nim bezpośredni nadzór. To dzięki niej 16 września w berlińskiej filii otwarta została poświęcona Witoldowi Pileckiemu wystawa pt. „Ochotnik”, którą będzie można tam oglądać do końca marca 2020 r.

Pierwszy krok został zrobiony. Pierwsza stała placówka polskiej dyplomacji historycznej na Zachodzie została otwarta – i to mocnym akcentem: przejmującą opowieścią o Witoldzie Pileckim w samym centrum Berlina. Imposybilizm został przełamany.

Grzegorz Górny

Wyroki Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, który rozpatrywał skargę Polski na decyzję Komisji Europejskiej w kwestii wykorzystania przez Gazprom rurociągu OPAL łączącego Nord Stream z systemami gazowymi Niemiec, Czech i Austrii znacząco zmienia układ sił na gazowym rynku Europy i stanowi pierwszy krok w kierunku ograniczenia dominacji rosyjskiego koncernu. W efekcie werdyktu operator gazociągu będzie zmuszony w trybie natychmiastowym ograniczyć dostęp Gazpromu do rurociągu, którym dotychczas przesyłano 107 mln m³ gazu na dobę. Obecnie będzie to nie więcej niż 36,8 mln m³ na dobę, czyli 13,4 mld m³ rocznie.

Pierwotnie dostęp Gazpromu do gazociągu OPAL, za którego pośrednictwem rosyjski gigant mógł przesyłać 36 mld m³ gazu rocznie, został ograniczony w 2013 r., kiedy w życie weszły dyrektywy gazowe Unii Europejskiej zabraniające jednej firmie wykorzystywać więcej niż 50 proc. mocy infrastruktury rurociągu. Ograniczenie możliwości przesyłania gazu za pośrednictwem OPAL wpływa bezpośrednio na możliwość wykorzystania przez Rosjan pierwszej nitki gazociągu Nord Stream, którego OPAL jest przedłużeniem i oznacza ograniczenie o 1/3 jego planowanych na 55 mld m³ możliwości przesyłowych. Trzy lata temu w efekcie starań rosyjskiego koncernu oraz Berlina Komisja Europejska wydała jednak zgodę na to, aby Gazprom wykorzystywał dodatkowo 40 proc. jego możliwości. To właśnie ta decyzja została zaskarżona.

Rosja

Gazprom się zwija



Postanowienie w sprawie rurociągu OPAL może mieć o tyle istotne znaczenie, że analogiczny werdykt może zostać podjęty w sprawie „siostrzanego” gazociągu EUGAL, który jest z kolei przedłużeniem Nord Stream 2. W obydwu przypadkach Gazprom wspólnie z niemieckim regulatorem ograniczył dostęp stron trzecich do infrastruktury przesyłowej, co stanowi naruszenie zasad europejskiej polityki energetycznej. W planie finansowym niedawna decyzja sądu spowodowała niemal 10-procentowy wzrost cen na rynku kontraktów krótkoterminowych. Z tej chwilowej koniunktury nie może jednak skorzystać rosyjski gigant gazowy, który nie dysponuje instalacjami do skraplania gazu. Skorzystają za to konkurenci Gazpromu, przejmując część jego udziałów w rynku.

To kolejna w tym roku bardzo niekorzystna wiadomość dla rosyjskiego giganta gazowego, który musiał się pogodzić już ze znacznym opóźnieniem w realizacji gazociągu Nord Stream 2, szacowanym na 4 mld m³ spadkiem eksportu na rynek turecki oraz historycznie niskimi cenami gazu i spadkiem dostaw (o 8,9 proc. od początku roku) do Europy. W rezultacie Gazpromowi zaczęło brakować środków na realizację ambitnych projektów inwestycyjnych. Rosyjski koncern po dwóch kwartałach tego roku został zmuszony na ich finansowanie pożyczyć 2,4 razy więcej środków (11 mld dol.), niż zakładano w ubiegłym roku.

Marek Budzisz

Przeterminowe wybory parlamentarne w Izraelu, które odbyły się w ostatni wtorek, nie przyniosły rozstrzygnięcia. Bo trudno nim nazwać zaledwie dwa mandaty przewagi liberalno-lewicowej koalicji Niebiesko-Białych Benny’ego Gancana nad rządzącym dotąd centrowym Likudem Beniamina Netanjahu.

Pat w Izraelu trwa od poprzednich wyborów, które odbyły się w kwietniu. Wówczas oskarżany o korupcję Netanjahu zdołał wygrać minimalną liczbą głosów. Jednak niestabilny rząd powołany po wyborach, rozpadł się wskutek intryg Awigdora Liebermana, szefa partii Nasz Dom Izrael i dawnego ministra obrony. Pochodzący z sowieckiej Mołdawii Lieberman uchodzi za lidera środowisk tworzonych przez imigrantów z byłego ZSRR. Jego partia jest silnie antyarabska, nacjonalistyczna, a jednocześnie świecka. Właśnie spory wokół wprowadzenia obowiązku służby wojskowej dla studentów jesziw – szkół talmudycznych dla ultraortodoksyjnych Żydów – stały się głównym polem konfliktu między Liebermanem

a Netanjahu. Lieberman (podobnie zresztą jak duża część obywateli Izraela) domagał się, aby studenci jesziw, tak jak wszyscy, odbywali służbę wojskową. Netanjahu, obawiając się utraty poparcia ultraortodoksyjnych partii, lawirował. Ostatecznie nie udało się utworzyć rządu i konieczne było przeprowadzenie nowych wyborów.

Teraz Netanjahu jest w jeszcze większym kłopotcie. Jego partia – jak wynika po podliczeniu 98 proc. głosów – przegrywa minimalnie z liberalno-lewicową koalicją Niebiesko-Białych. Jednak Niebiesko-Biali, dysponując tak niewielką większością, również nie są w stanie sformować stabilnego rządu. Czyżby więc Izrael czekały trzecie z rzędu wybory? Mało prawdopodobne, że cokolwiek rozstrzygną.

Izraelska scena polityczna jest bardzo niestabilna, nawet niewielka partia jest w stanie wywrócić rząd. Partia Liebermana miała zaledwie pięciu posłów w Knesecie. Biorąc więc pod uwagę, że Lieberman reprezentuje Żydów z Rosji, trudno się dziwić, że Netanjahu tak zależało na dobrych stosunkach z Putinem. Tyle że ostatecznie w niczym mu to nie pomogło.

Konrad Kolodziejcki

Izrael

Pat trwa dalej





Wystarczył tydzień od zaprzysiężenia, aby nowy rząd we Włoszech podjął decyzję o radykalnej zmianie dotychczasowej polityki imigracyjnej. Premier jest co prawda ten sam – Giuseppe Conte wskazany przez populistyczny Ruch Pięciu Gwiazd, ale inny jest już partner koalicyjny – nie prawicowa Liga, lecz lewicowa Partia Demokratyczna. Niedawny wicepremier i szef MSW, lider Ligi Matteo Salvini, sprzeciwiał się niekontrolowanemu napływowi imigrantów, prowadząc politykę „zamkniętych portów”. Teraz to już przeszłość: w nocy z 16 na 17 września do wyspy Lampedusa przybiła łódź z ponad setką nielegalnych imigrantów z Tunezji. Służby ochrony wybrzeża nie tylko im w tym nie przeszkodziły, ale nawet pomogły wysiąść na brzeg.

Premier Conte jeszcze półtora miesiąca temu jako szef poprzedniego gabinetu firmował swoim nazwiskiem politykę antyimigracyjną, dziś natomiast stał się twarzą polityki proimigracyjnej. Opowiada się za przyjmowaniem nielegalnych przybyszów z Trzeciego Świata pod warunkiem, że zostaną oni rozlokowani także w innych krajach Unii. Oznacza to, że na forum unijnym znów pojawić się może pomysł przymusowej relokacji imigrantów.

Komentatorzy w Italii nie mają wątpliwości, że otwarcie portów to cena za poparcie nowego rządu przez Berlin, Paryż i Brukselę. Jeszcze niedawno władze Unii stanowczo sprzeciwiały się nadmiernemu deficytowi budżetowemu Włoch, teraz – po odsunięciu Salviniego od władzy – nie widzą w tym żadnego problemu.

Problemy widzi natomiast włoskie społeczeństwo, które w większości sprzeciwia się niekontrolowanej migracji. Dlatego przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi w marcu 2018 r. wszystkie bez wyjątku partie opowiadały się za ograniczeniem nielegalnej migracji. Robiły to także formacje, które teraz znajdują się u władzy. Nic dziwnego, że w tej sytuacji najpopularniejszym ugrupowaniem jest dotrzymująca danego słowa opozycyjna Liga, która dziś może liczyć na poparcie ok. 40 proc. Włochów. Czas pokaże, czy utrzyma się ono do następnych wyborów w 2022 r.

Grzegorz Górny

Trudeau w tarapatkach



21 października odbędą się w Kanadzie wybory parlamentarne. Premier Justin Trudeau i jego Liberalowie będą się ubiegać o reelekcję. A może się to okazać trudniejsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Dawno runął bowiem pielęgnowany przez Trudeau wizerunek czarującego chłopca, dbającego o mniejszości, uchodźców, środowisko oraz kanadyjską klasę średnią. Kanadyjczykom – jak twierdzi portal Politico – znudziły się tańce premiera na paradach LGBT oraz jego skłonność do selfie i kolorowych skarpetek. Gdy Trudeau został premierem w 2015 r., sytuacja gospodarcza Kanady była dobra i wystarczyło tylko niczego nie zepsuć. Lider Liberalów rozdał więc kilka prezentów socjalnych, zliberalizował przepisy imigracyjne, zalegalizował wspomagane samobójstwo i marihuanę, a poparcie dla niego utrzymywało się na poziomie 60 proc. Ale potem wybuchła tzw. afera SNC Lavalin.

Jody Wilson-Raybould, była minister sprawiedliwości i prokurator generalna, potwierdziła przed parlamentarną komisją sprawiedliwości, że między wrześniem a grudniem zeszłego roku premier i jego główni doradcy nakłaniali ją, aby zaprzestała ścigania SNC Lavalin, jednej z największych firm inżynieryjno-budowlanych z Quebecu. Firma jest oskarżona o korupcję.

Skandal jeszcze nie zdążył ucichnąć, a Kanadyjczycy stali się świadkami fatalnej renegotjacji porozumienia NAFTA. Trudeau dał się rozegrać prezydentowi USA Donaldowi Trumpowi i Kanada zawarła porozumienie na gorszych warunkach niż w 1994 r. Kanadyjskie media zaczęły mówić o „słabym” premierze, nienadającym się do wielkiej polityki. Trudeau wspomnianą też katastrofalną podróż do Indii, gdzie przez pomyłkę swoich urzędników cały tydzień czekał na spotkanie z premierem Narendrą Modim. Kanadyjczycy bardzo źle przyjęli też wprowadzony przez Trudeau podatek węglowy (carbon tax), co pociąga za sobą wyższe koszty benzyny czy ogrzewania. Dochody z podatku miały zostać zwrócone gospodarstwu domowemu w postaci różnych ulg, ale jak dotąd ludzie nie dostali ani grosza. Na dodatek władze kilku prowincji zaskarżyły podatek do sądu. Trudeau nie udało się także zrealizować zapowiadanej reformy ordynacji wyborczej.

Jednym z głównych tematów kampanii premiera mają być zmiany klimatu i związana z nimi konieczność ochrony środowiska. Tymczasem rząd Trudeau nabył od amerykańskiego koncernu Kinder Morgan rurociąg Trans Mountain, transportujący ropę z prowincji Alberta do wybrzeża Pacyfiku w Kolumbii Brytyjskiej. Rozbudowa rurociągu ma stworzyć nowe miejsca pracy w słabo rozwiniętym regionie. Przeciwno projektowi protestuje rdzenna ludność. Dzień przed finalizacją zakupu rurociągu rząd Kanady ogłosił „klimatyczny kryzys”. Na Trudeau spadł deszcz krytyki ze strony ekologów. Oskarżono go o hipokryzję. Kanadyjski premier dowiedział się, jak trudne jest pogodzenie spraw gospodarki i ochrony środowiska. To wszystko doprowadziło do tego, że w kwietniu już tylko 32 proc. Kanadyjczyków miało o nim pozytywną opinię (a 63 proc. złą). To niemal o połowę mniej, niż w chwili gdy przejmował urząd. A w wyborach Trudeau będzie miał przeciwko sobie nie tylko Partię Konserwatywną, lecz także nowe „populistyczne” ugrupowanie – Ludową Partię Kanady – pod wodzą byłego premiera Maxime’a Berniera, a także Partię Zielonych, która obiecuje Kanadyjczykom „prawdziwą politykę ochrony klimatu”. Sondaże wskazują, że Trudeau – nawet jeśli wygra – nie będzie miał większości w parlamencie: według „CBC Canada” zarówno liberalowie, jak i konserwatyści mają obecnie 33,8 proc. poparcia.

Aleksandra Rybińska

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Macie szansę nam zazdrościć!

Trener siatkarzy Vital Heynen przed meczem powiedział zawodnikom, że zazdrości im, że są Polakami. Moja mama przy takich okazjach mówiła ironicznie: „Kumo, chwała nas”, dystansując się od nadmiernego optymizmu. Nie wiemy, jak się skończy obecny turniej siatkarzy, ale wiemy, że mamy świetną drużynę i wspaniałego trenera. Ludzi pełnych entuzjazmu i umiejętności. Niech będą dla nas wzorem, jak zwyciężać mamy.

W ten mało oryginalny sposób przechodzę do spraw wyborczych, bo to nasz najważniejszy turniej od czterech lat. Również mamy świetną drużynę i trenera, ale niestety przeciwnicy grają w inną grę. Nasza drużyna gra o zwycięstwo Polski, ich team gra o unicestwienie naszego kraju. Mają na tę okazję przygotowane niesamowite zagrywki, wykraczające poza wszelkie reguły i zasady fair play. Są to do absurdu doprowadzone kłamstwa, insynuacje, fejki i hejty, podłość, nikczemność, pomówienia, brednie i brejzy rozpoznane przez znane szczujnie i nowatorskie farmy trolli.

Sędzia Sępień: „Powoli zaciska się obręcz dyktatury”. Redaktor Lis: „Edukacja pada, praworządność pada”.



**Jan
Pietrzak**

Prof. Matczak: „Chęć izolowania Polski i chęć zniszczenia europejskiego pokoju”. Artysta Małeńczuk: „Jest możliwość, że faktycznie wprowadzą stan wojenny”. Stuhr senior: „Odczuwam trud wykonywania zawodu”. Kandydatka Jachira: „PiS sprawi, że będzie susza i będziemy walczyć o szklankę wody”. Dr Migalski: „...to jest tworzenie knebla, który chce się wetknąć w usta wszystkim dziennikarzom, którzy nie są »pisolubni«”. Fakt: „Benzyna po 10 zł”. Związek Nauczycieli „nie kryje oburzenia”. Poseł Kluzik-Rostkowska: „Kaczyński nie ma najmniejszego pojęcia, czym jest płaca minimalna”. Prof. Sadurski: „To, z czym mamy dziś do czynienia w Polsce, to triumf aroganckiego, ignoranckiego plebsu”.

Z jakiegoś powodu ludzie zwalczający polską demokrację uważają nas za plebs, a siebie za rasę panów. Typowo faszystowska retoryka i komunistyczne nawyki pobrzmiwają w tej rozgrywce z obozem niepodległościowym. Znowu toczymy walkę z potworami przeszłości. Jest się o co bić.

Macie szansę nam, Polakom, zazdrościć... Bo wygramy. ▀

Nie chciałabym się ograniczać

Z Patrycją Volny rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

W konkursie głównym tegorocznego gdynińskiego festiwalu znalazły się dwa filmy z pani udziałem. Jakież?

Patrycja Volny: Pokazywany na otwarcie „Obywatel Jones” w reżyserii Agnieszki Holland oraz „Kurier” Władysława Pasikowskiego. To skrajnie różne projekty, chociaż oba są osadzone w realiach historycznych.

Nieczęsto się zdarza, aby aktora łączyło z postacią poniekąd prywatne doświadczenie, tak jak w pani przypadku.

Owszem, chociaż nie miałam okazji poznać jako dziecko ani Kuriera z Warszawy, ani jego żony Jadwigi „Grety”, do której nawiązuje moja postać. Jan Nowak-Jeziorański był postacią dla naszej rodziny szczególnie. Moja mama, jako uchodźca polityczny czasów komuny, trafiła do Niemiec i Radia Wolna Europa,

w którym Jeziorański pełnił funkcję dyrektora polskiej sekcji. To on przyjmował ją do pracy. Tam, parę lat później, poznała mojego tatę, Jacka Kaczmarek.

Urodziła się pani w Monachium, wychowywała w Australii, ale w pani wypowiedziach tego nie słychać.

W pierwszym rządzie to zasługa rodziców – w domu mówiło się po polsku – a potem ból i męka wykładów w Szkole Filmowej w Łodzi.

Wcześniej studiowała pani aktorstwo w Sydney?

To były państwowe wyższe uczelnie, ale nie studia dyplomowe. Zdobywałam na nich pierwsze certyfikaty, natomiast magisterium to już czas łódzkiej Filmówki.

Po studiach zamieszkała pani we Francji, a teraz gdzie jest pani miejsce?

Jako aktorzy mamy ten luksus, że możemy podróżować i pracować w różnych przestrzeniach, środowiskach i językach. W tym też nie chciałabym się ograniczać. ▀



BRONISŁAW WILDSTEIN

Antyświat

Uczelnie polskie kompromitują się akceptacją jako nauki ideologiczno-propagandowego tworu, jakim jest „gender”, który z wiedzą ma tyle wspólnego, ile „marksizm” propagowany w nich w czasie PRL

Najtrudniejsze do zniesienia w dominującej ideologii emancypacji jest jej totalne zakłamanie. Jako otwartość i tolerancja sprzedawane są nam cenzura i zamordyzm, środowiskowy konformizm występuje w kostiumie buntu, schlebienie silnym mieni się odwagą, a agresja przywdziewa maskę obrony słabszych. Sprawa prof. Nalaskowskiego jest tego wyrazistym przykładem.

Pedagog felietonowym językiem nazwał oczywistości. Zasadnicza dla jego tekstu, który nosi tytuł „Wędrowni gwałciciele”, jest metafora gwałtu. Chodzi o gwałt symboliczny, który istnieje tak jak przemoc symboliczna i jest z nią związany. Manifestacje LGBT wdzierają się w publiczną przestrzeń i destrukują (gwałcą) jej fundamentalny porządek. Uderzają w moralność publiczną i zasady dobrego obyczaju. Rzeczy takie w normalnie funkcjonującym społeczeństwie są karane, w większości kodeksów karnych znajdują się zapisy na temat moralności publicznej, której naruszenie (gwałcenie) jest karalne. Na przykład ciągle jeszcze, publiczne uprawianie seksu traktowane jest jako łamanie obyczaju i prawa. Siła lobby LGBT powoduje jednak, że gwałcące obyczaj manifestacje są nie tylko afirmowane, lecz prezentowane powszechnie jako godne naśladownictwa.

Naukowiec Nalaskowski wskazuje, że w warunkach, kiedy: „Gwałcone są wartości-źródła, na których pedagogika wyrosła”, jej uprawianie nie jest możliwe. Zaczyna załamywać się ład społeczny. Na tym polega przedsięwzięcie propagatorów LGBT. Bo tak jak rewolucjonistom spod znaku sierpa i młota nie chodziło o poprawę warunków pracy, tak rzecznikom tęczowej ideologii nie o obronę „nieheteronormatywnych” chodzi.

Nalaskowski podkreśla, że ci, jakoby prześladowani, cieszą się tymi samymi prawami co inni. Bojówkarze LGBT chcą jednak przywilejów, usiłują narzucić swój model życia, kłócący się z powszechnie przyjętymi normami, innym. W trakcie swoich manifestacji posługują się bluźnierstwem, tzn. usiłują gwałcić, jak tylko potrafią, uczucia religijne czy patriotyczne. Działania te dowodzą raz jeszcze, że ich celem nie jest żadna „tolerancja”, ale obyczajowo-polityczna rewolucja. Jednocześnie każdy sprzeciw wobec nich opisywany jest jako atak na osoby homoseksualne i przejaw nienawiści wobec nich. I tak potraktowany został felieton Nalaskowskiego.



„Rektor może zawiesić w pełnieniu obowiązków nauczyciela akademickiego, przeciwko któremu wszczęto postępowanie karne lub dyscyplinarne, a także w toku postępowania wyjaśniającego, jeżeli ze względu na wagę i wiarygodność przedstawionych zarzutów celowe jest odsunięcie go od wykonywania obowiązków” – czytamy w ustawie. Chodzi więc o przeciwdziałanie gorszącym sytuacjom, gdy oskarżony o poważne przestępstwa pracownik naukowy nadal pełni swoje pedagogiczne funkcje. Ustawa użyta została jednak przeciw niepokornemu, który przeciwstawił się dominującej na uczelniach ortodoksji.

Pisałem niedawno („Uniwersytety a ideologia”) o dominacji na uczelniach polskich emancypacyjnej ideologii, czego wręcz manifestem stało się ogłoszone niedawno stanowisko Konferencji Rektorów Akademickich Szkół w Polsce. W tym niesłychanie pretensjonalnym dokumencie czytamy m.in., że Konferencja owa: „w poczuciu odpowiedzialności uczelni (...) w obliczu nasilających się aktów agresji (...) w pełni popiera przesłanie (...) rektora Uniwersytetu AM w Poznaniu”. A przesłanie rektora uniwersytetu w Poznaniu było atakiem na abp. Jędraszewskiego.

Czy „agresją” tą jest coraz więcej aktów wymierzonych w Kościół? A może trwające od lat, ale rzeczywiście „nasilające się”, wystąpienia pracowników naukowych, którzy konserwatywnych polityków i ich wyborców obrzucają najgorszymi obelgami? Nie, agresją jest porównanie ideologii LGBT z komunizmem.

Uczelnie polskie kompromitują się akceptacją jako nauki ideologiczno-propagandowego tworu, jakim jest „gender”, który z wiedzą ma tyle wspólnego, ile „marksizm” propagowany w nich w czasie PRL. O ile jednak marksizm był tam narzucony siłą, o tyle gender uniwersytety zaakceptowały w ramach ideologicznego konformizmu. Uniwersyteccy profesorowie prześcigają się w epitetach pod adresem demokratycznych polityków i popierających ich obywateli, co przysparza im wyłącznie uznania w środowisku i wspierających je w większości mediów. Oto nonkonformizm. Krytyka ideologii LGBT grozi eliminacją z uczelni.

Minister Gowin powiedział, że sprawa Nalaskowskiego zostanie wkrótce pozytywnie rozwiązana. Ze względu na tego naukowca to świetnie. Tylko że to nie jest sprawa Nalaskowskiego, lecz polskich uniwersytetów.

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

#SilniRazem, czyli Zbychu na wolności



sywny Nigeryjczyk usiłował trafić pięścią funkcjonariuszy. Ochłonął dopiero w koszarach, kiedy przedstawiono mu zarzuty za przemoc, stawianie oporu i obrażanie urzędnika publicznego, a także za nieprzystojne czyny w miejscach publicznych oraz fałszywe oświadczenie w sprawie swojej tożsamości. Gdyby był sprytniejszy, wytłumaczyłby się protestem przeciwko dyskryminowaniu osób cierpiących na nadpobudliwość płciową w ramach jednoosobowego marszu LGBT. Wtedy oberwałby tylko za nielegalną demonstrację.

Dużo lepiej poradziła sobie lewicowa bandyterka w Zurychu. Na Turbinenplatz ponad tysiąc osób utworzyło legalny Marsz dla Życia. Nieopodal w parku natomiast zgromadziło się około 175 przeciwników z Antify i innych ugrupowań, uzbrojonych w petardy, kamienie, a także butelki. Nie reagowali na wezwania policji nawołującej do rozwiązania nielegalnego zgromadzenia i rozejścia się. Funkcjonariusze wystrzelili więc w ich kierunku gumowe kule i gaz. Rozpoczęła się regularna bitwa w terenie zabudowanym. Lewactwo odpowiedziało salwą butelek, kamieni i innych pocisków. Kilka małych grup próbowało także przekroczyć policyjną blokadę drogi, by dopaść proliferów. Równolegle inna ekipa podpałała śmietniki w kilku miejscach. Kilku strażaków, którzy przybyli, aby ugasić płomienie, zostało zaatakowanych i ranionych. W końcu po rozprawieniu walczących z nietolerancją i faszyzmem lewicowych aktywistów Marsz dla Życia ruszył na skróty do celu. Na Zachodzie bez zmian.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Jest społecznikiem, który nie tylko wsłuchuje się w głos papieża Franciszka, ale także stara się postępować zgodnie ze społeczną nauką Kościoła. Otwiera drzwi dla uchodźców, biednych i wykluczonych. Walczy z polskim nacjonalizmem, antysemityzmem i bezrozumnym kultem tzw. żołnierzy wyklętych. [...] Pacyfista, feminista, misjonarz – taką laurkę wystawił w ubiegłym roku emerytowanemu księdzu Stanisławowi Walczakowi portal Tomasa Lisa. Drapany w szyję przez liberalne media duchowny dziś urósł już w piórka i co raz atakuje. A to Żołnierzy Wyklętych, a to przeciwników „czarnych parasolek”, o partii rządzącej czy Jarosławie Kaczyńskim nie wspominając. Księdza Kazimierza Sowę, z którym często koresponduje, nazywa „niezłomnym”, co może świadczyć o postępującej demencji. Ostatnio zaatakował akcję „Polska pod krzyżem”, stwierdzając, że od czasów przejścia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość: „Krzyż Jezusa jest hańbiony przez arcykapłanów, uczonych w Piśmie i starszyznę”. A „pod Krzyżem Jezusa rozbrzmiewają kłamstwa i oszczerstwa. Pod jego Krzyżem grupa katolików zjeje nienawiścią” – dodaje na jednym oddechu. Nie wiele można pomóc księdzu Stanisławowi, jest już bowiem na emeryturze i do księży obory bliżej niż dalej. Nie wiem tylko, co zrobił w swoim życiu ten duchowny, że aż tak boleśnie pokarało go nienawistnym językiem.

Opozycja zyskała silnego sojusznika, i to tuż przed wyborami. Właśnie wyszedł z pudła Zbigniew Stonoga. Jak pisze Matka Kurka: „Trzeba oddać Zbychowi i to, że nawet trauma po przebytych udarach, nie zmieniła mu charakteru. Pierwsze, co zrobił po wyjściu, to nabluzgał na »pisowski reżim« i jednocześnie podziękował Owsiakowi za wsparcie”. Co miał Juruś do odsiadki Stonogi – tego dokładnie nie wiadomo i pozostanie to chyba już na zawsze słodką tajemnicą obu dżentelmenów. W każdym razie jest do dyspozycji przeciwników obecnej władzy. Pozostaje tylko go wykorzystać. Ponieważ Zbychu to wielki talent hejterski, sądzę, że powinien się nim zainteresować poseł i szef sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej Krzysztof Brejza wraz z najbliższą rodziną. Na pewno posada na farmie trolli w inowrocławskim ratuszu pomogłaby mu stanąć na nogi. #SilniRazem.

Zżycia uchodźców. Jak donosi włoski dziennik „Il Messaggero”, pewien Nigeryjczyk paradował rozebrany od pasa w górę ulicami na jednej z ulic Bonea – miejscowości nieopodal Neapolu, w regionie Kampania. Od pasa w dół miał na sobie tylko bieliznę. Po drodze wpadła mu w oko jedna Włoszka i zamiast podejść do niej, proponując jej pójście razem na kawę, Murzyn zrzucił z siebie i te resztki odzienia, poczym zaczął dotykać swoich części intymnych. Zawiadomieni przez przechodniów karabinierzy podjęli natychmiast interwencję, w której konsekwencji impul-

Infrastrukturalny boom

W 2018 r. Polska jako pierwsza gospodarka w Europie Środkowo-Wschodniej i pierwsze państwo od prawie 10 lat została zaklasyfikowana przez agencję FTSE Russell do grona rynków rozwiniętych. Naszą gospodarkę oparto na silnym eksporcie, stabilnej konsumpcji wewnętrznej, a także na inwestycjach, które w I kwartale br. rosły najszybciej od czterech lat (12,6 proc. wzrostu względem I kwartału 2018 r.). Rząd Zjednoczonej Prawicy doprowadził do obniżenia deficytu budżetowego i długu publicznego przy zachowaniu wysokiego rozwoju gospodarczego. W ciągu ostatnich czterech lat zmniejszyły się nierówności społeczne, a zwiększona została płaca minimalna. W latach 2016–2019 polski wzrost gospodarczy był dwukrotnie wyższy niż średnia europejska.

Od 2016 r. do połowy 2019 r. oddano blisko 900 km nowych dróg krajowych, a do końca bieżącego roku ma być ok. 1,2 tys. km. Na 570 km nowych dróg krajowych ogłoszono przetargi, a na budowę ponad 1130 km podpisano już umowy. Warszawę i Białystok łączy nowa arteria komunikacyjna. Rząd Zjednoczonej Prawicy zaktualizował Program Budowy Dróg Krajowych na lata 2014–2023, który obecnie ma budżet 135 mln zł i jest największym programem infrastrukturalnym w historii Polski. W najbliższych latach planowane jest wybudowanie ok. 4 tys. km dróg, w tym: 252,2 km autostrad, 2641,1 km dróg ekspresowych i ok. 100 obwodnic. W planach jest kontynuacja budowy kolejnych etapów Via Carpatia i Via Baltica. Ponad 2 mld zł przeznaczono na budowę mostów. Powołano Fundusz Dróg Samorządowych, z którego do 2028 r. 36 mld zł zostanie przekazanych na rozbudowę i modernizację dróg lokalnych. W trakcie wdrażania jest już rządowy program przywracania zlikwidowanych za poprzednich rządów połączeń autobusowych. Do 2025 r. Polska ma zostać ostatecznie pokryta siecią autostrad.

W 2008 r. PLL LOT odnotowały stratę w wysokości 109,1 mln zł, a rok później podwoiły ten wynik. W kolejnych latach polski przewoźnik utrzymywał ponad 100 mln zł na minusie. Po dwóch latach rządów Zjednoczonej Prawicy okazało się, że ze swojej podstawowej działalności PLL LOT wygenerowały zysk w wysokości 150–200 mln zł. W ciągu ostatnich czterech lat firma stale się rozwija, otwiera kolejne nowe połączenia lotnicze, w sumie 23.

Rząd Zjednoczonej Prawicy realizuje wart ponad 70 mld zł Krajowy Program Kolejowy (KPK). Poza modernizacją taboru i szyn rewitalizowane i unowocześniane są dworce. W ciągu najbliższych czterech lat remonty mają objąć ok. 200 tego typu obiektów.

Od 2016 r. funkcjonuje w Świnoujściu gazoport im. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, do którego dostarczany jest skroplony gaz (LNG) z USA, Norwegii, Kataru i Wielkiej Brytanii. Gazoport ten ma najwyższy poziom wykorzystania mocy regazyfikacyjnych w Europie. Zgodnie z planem



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

przebiega realizacja projektu gazociągu Baltic Pipe, który połączy Polskę z Danią i Norwegią. Uniezależnienie od jednego dostawcy gazu jest na bieżąco realizowanym planem. Polacy nie będą już narażeni na nagłe przerwy w dostawie błękitnego paliwa ze Wschodu.

W 2018 r. przeładunki w polskich portach przekroczyły 100 mln ton. Rosną należności celno-podatkowe z odpraw ładunków, które w 2018 r. wyniosły 40,6 mld zł. W konkretnych planach jest zwiększenie wpływów do państwowej kasy i dalsze udrażnianie dróg eksportu i importu za sprawą realizacji projektu budowy Portu Centralnego w Gdańsku, terminalu kontenerowego w Świnoujściu i Portu Zewnętrznego w Gdyni. Tempa ma nabierać także proces wskrzeszania rodzimych stocznii (Projekt Batory).

Komisja Europejska za najlepszy w Europie oceniła polski program budowy sieci szerokopasmowej, dzięki któremu 2 mln gospodarstw domowych z małych miast i wsi zostanie podłączonych do szybkiego internetu. Internet dotrze także do gminnych ośrodków kultury, które zostaną wyposażone w odpowiedni sprzęt komputerowy. Do końca przyszłego roku w ramach Otwartej Sieci Edukacyjnej dostęp do finansowanego z budżetu państwa internetu uzyskają wszystkie polskie szkoły.

Warto pójść na wybory, aby opisany trend utrzymać. 



Wojciechowi Stanisławskiemu

wyrazy szczerego współczucia

z powodu śmierci

TATY

składają koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci”

Dobra wiadomość

Sąd Najwyższy Arizony stanął w obronie wolności sumienia chrześcijańskich kaligrafów. Joanna Duka i Breanna Koski to właścicielki firmy Brush & Nib Studio. Kobiety odmówiły wykonania zaproszeń na tzw. ślub homoseksualny, argumentując, że takie zlecenie kłóci się z ich chrześcijańskimi wartościami. Miasto Phoenix zagroziło im więzieniem i grzywną. Sprawa trafiła więc do Sądu Najwyższego stanu Arizona, którego sędziowie stosunkiem głosów czterech do trzech opowiedzieli się przeciwko decyzjom miasta. „Uznali je za naruszenie wolności słowa gwarantowanej przez I Poprawkę do Konstytucji USA, a także przez konstytucję stanu Arizona. W uzasadnieniu wyroku sędzia Andrew Gould podkreślił, że wolność słowa nie ogranicza się do twierdzeń wyrażanych w domowym zaciszu czy w rozmowach z podobnymi przyjaciółmi. Podkreślił, że przeciwnie, rozciąga się ona na sferę publiczną i obejmuje prawo do sprzedawania dzieł zgodnych z własnymi poglądami religijnymi” – informuje pch24.pl. Dobra wiadomość jest taka, że są jeszcze wyspy rozsądku w postępowym świecie. 



**5125,26
zł**

– tyle wyniosło przeciętne wynagrodzenie brutto w sierpniu w sektorze przedsiębiorstw

**6,8
proc.**

– o tyle wzrosły płace w sektorze przedsiębiorstw rok do roku

**1,1
proc.**

– o tyle spadły płace w sektorze przedsiębiorstw w ujęciu miesiąc do miesiąca

Wykluczone

Z powodu walki ze zmianami klimatu na Uniwersytecie w Coimbrze nie będzie serwowana wołowina. Rektor tej portugalskiej uczelni wyjaśnił, że wołowina jest jednym z najbardziej „nieprzyjaznych klimatowi” produktów, a jej wyeliminowanie z jadłospisu służy obniżeniu poziomu dwutlenku węgla w atmosferze. Nowe menu zacznie obowiązywać na uniwersytecie od stycznia. Tylko co na takie wykluczenie powiedzą krowy? 



Sztuczna inteligencja

McDonald's idzie z czasem, z postępem, z osiągnięciami. Wkrótce zamówień od kierowców nie będą przyjmować ludzie, tylko sztuczna inteligencja. Wszystko dlatego, że firma przejęła technologiczny start-up Apprente, czyli zaawansowany system sztucznej inteligencji, służący do przyjmowania zamówień głosowych. System ma być zainstalowany w punktach McDrive. Wszystko pasuje: sieć ma już sztuczne jedzenie, teraz będzie sztuczna inteligencja. Tylko klienci prawdziwi. Na razie. 

Wypadek przy pracy

Xavier, francuski inżynier ds. bezpieczeństwa, pracownik firmy budowlanej TSO, wyjechał w delegację. Podczas tego wyjazdu dopuścił się niewierności małżeńskiej. Pech chciał, że po godzinach pracy, podczas seksu z nieznajomą, mężczyzna miał zawał. Jednak sąd apelacyjny w Paryżu uznał, że to był wypadek przy pracy. Firma, w której pracował ów Francuz, musi więc wypłacić jego rodzinie odszkodowanie. Pewnie dokładnie to sam co sąd, powiedziałby Xavier, gdyby nieznajoma np. zaszła w ciążę. Kontekst ma znaczenie. 



”

Paweł Kukiz dał słowo, że będzie z klubem PSL budował taki układ polityczny w Polsce, który pozwoli zrealizować nam najwięcej zapisów z naszego wspólnego programu” – powiedział poseł PSL Marek Sawicki. Naiwniak czy optymistą? Oby określenie „słowo Kukiza” nie stało się przeciwieństwem „słowa honoru”.

A jednak przylecieli

„A merykańska marynarka wojenna potwierdziła, że trzy nagrania rzekomo przedstawiające UFO są autentyczne. Filmy nagrali piloci marynarki w ostatnich latach i – jak wyjaśniono – uwieczniono na nich »niewytłumaczalne zjawiska powietrzne«. W ocenie autorów komunikatu nagrania nie powinny zostać upublicznione” – czytam w portalu tvp.info. Czyli zaczęło się. Jednak Lech Wałęsa miał rację. Przylecieli zrolować ziemię. 



Fot. Andrzej Wiktor, Alliance Defending Freedom, Shutterstock (x-4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Strajk jest nagi

Kiedy dorośli powtarzają wciąż te same argumenty o klimatycznych zagrożeniach dla świata, brzmi to monotennie i banalnie. Kiedy to samo mówi 16-latką z dziewczynkowatymi warkoczami, te same słowa brzmią świeżo i autentycznie – powiedział mi ktoś ze znajomych przychylnych akcji realizowanej przez Gretę Thunberg. Chyba zauważyli to działacze ekologiczni, bo po pannie Thunberg do boju wystawili podobne dziewczynki w kilku innych krajach.



**Dominik
Zdort**

Na 20 września zapowiedziany był ogólnosiwiatowy Młodzieżowy Strajk Klimatyczny w 130 krajach. W Polsce w akcji udział zapowiadała młodzież z 60 miast. Organizatorzy zwrócili się do dyrektorów szkół, aby zwolnili uczniów z lekcji, a ci podeszli do tego przychylnie. Mogę podejrzewać, że przyszło mnóstwo dzieciaków (piszę tekst przed strajkiem). Część dlatego, że w tym wieku chętnie się kibicuje ruchom radykalnym. Inni pewnie dlatego, że milej jest spędzić parę godzin z kolegami na mieście niż w szkolnej ławce.

Ktoś może powiedzieć, że to przypadek podobny do opisanego w klasycznej bajce Andersena „Nowe szaty cesarza” – tylko dzieci mają odwagę powiedzieć władcom prawdę. Ale mi akcja w obronie klimatu bardziej przypomina krucjatę dziecięcą z XIII w., kiedy dziesiątki tysięcy bardzo młodych Europejczyków wyruszyły, aby odbić Grób Pański z rąk muzułmanów. Ich jedyną bronią miały być czyste serca. Skończyło się, jak wiemy, dramatycznie.

Różnic jest wiele: przede wszystkim inne znaczenie ma poświęcenie życia w obronie Ziemi Świętej, a inną poświęcenie piątkowego poranka na spacer po mieście w intencji zakazania plastikowych torebek. W XIII w. Stefan zażądał osłoniętego baldachimem powozu i eskorty złożonej z rycerskich synów, w XXI w. Greta zafundowała sobie (też na cudzy koszt) kosztowną wyprawę hiperekologicznym jachtem przez Atlantyk. Wtedy papież i król Francji, doceniając święte intencje młodych, zniechęcali ich do udziału w niemądrym przedsięwzięciu. Dziś prezydent Francji i papież zachęcają Gretę do dalszej aktywności.

Rzecz jasna to nie papież ani prezydenci są inspiratorami. Oni tylko grzeją się w świetle nieletnich celebrytów. Prawdziwi animatorzy są niewidoczni, bo tylko pociągają za sznurki. W średniowieczu byli to duchowni, wielmożowie i kupcy, którzy na dziecięcej krucjacie budowali całkiem dorosłe fortuny. Ciekawe, kto ich rolę odgrywa współcześnie. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Nie świruj?

Kto dołki kopie, ten sam w nie wpada – mówi stare porzekadło. I mądrze mówi. W przeciwieństwie do sporej grupy celebrytów i aktorów „głupio gadających” w kampanii internetowej, która niby ma zachęcać do wzięcia udziału w wyborach, a de facto jest agitką antypisowską. Oczywiście *expressis verbis* nigdzie to nie pada: „Idź, głosuj przeciwko PiS”, ale jeśli tak nie uczynisz i wspierasz tych „faszystów” i „katonazioli”, to „jesteś wariat”, taki sam jak oni. Najgorsze jednak, że te krótkie, w istocie rzeczy antypisowskie, spoty bazują na parodiowaniu ludzi chorych psychicznie. Nie wszystkie, bo Gajos nie przesadził z ekspresją, to prawda. Ale np. występ tak lubianego przeze mnie aktora Wojciecha Pszoniaka dla mojej wrażliwości już stanowił przekroczenie granicy satyry czy nawet politycznej uszczypliwości – seria grymasów, min i konwulsji obrazujących psychiczną chorobę politycznych przeciwników to krok za daleko. Spory krok.

Alte chyba najciekawsze jest w tym wszystkim to, że przecież ta kampania wyrasta ze środowiska znanego z nadętej hiperpoprawności politycznej – te wszystkie gwiazdki małe



**Tomasz
Łysiak**

i gwiazdy duże składają zwykle buzię w ciup i zwracają uwagę każdemu, kto śmie się nie zastosować do przyjętych wzorców: nie wolno robić sobie żartów z czarnoskórych, nie wolno pokpiwać z gejów, a już tym bardziej opowiedzieć kawału, w którym bohaterem jest Żyd, gdyż od razu byłoby się posądzonym o antysemityzm. Innymi słowy normalność, a nawet dystans do siebie i innych, jako część tej normalności, też jest „zakazany”. Tyle że okazuje się, iż według opinii salonowej wszystko jest dozwolone, pod warunkiem że uderza w PiS. Hejt, najgorsze bluźnierstwa – wszystko „uchodzi”, jeśli tylko ma na celu uderzenie w zwolenników dobrej zmiany.

Bądź tu mądry i pisz wiersze. I zgaduj zgadula – kiedy wolno coś przejawskrawiać lub ironizować? Test jest prosty – musi być wymierzone w PiS. Wtedy hulaj dusza. Wszystko można! Proponuję zatem, by Koalicja Obywatelska wypuściła na rynek specjalny test „antypisowski” – wkładasz pasek papieru w swoją twórczość i sprawdzasz. Jak zabarwi się na czerwono – znaczy wystarczająca ilość jadu antypis. I wtedy jazda na całego.

Opcja zero

Najpierw był apel do obywateli o niepłacenie abonamentu rtv. Kto apelował? Lider Platformy z nazwy Obywatelskiej i szef nastąjącego rządu Donald Tusk. Potem w ruch poszły miotły i nowa kadra zaczęła sumienie prezentować „prawdę czasu, prawdę ekranu”, czyli jedynie słuszną linię Platformy i jej lidera, oraz obrzydliwe oblicza tych, którzy tej jedynie słusznej za słuszną nie uważali. I było obnoszenie się premiera z maskotką wiernego jak psa rudego lisa czy fotki Tuska w objęciach z pewną, mniejsza z tym... Ale dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie... – przyszła „dobra zmiana” tych z obrzydliwym obliczem i znów w ruch poszły miotły...

Tak ona była obrzydliwa, ta zmiana, że nowy lider PO i premier z cienia – tytuł już nieaktualny – Schetyna Grzegorz znów zaapelował do ludu o niepłacenie abonamentu rtv, ukaranym obiecał, że gdy PO odzyska władzę, dostaną rekompensaty, a na dokładkę ogłosił bojkotowanie TVP przez jedynie słusznych. Bo jej prezenterzy i reporterzy zadawali niesłuszne pytania, np. o prokuratorские zarzuty wobec sekretarza generalnego PO czy szefa klubu PO-KO.

W międzyczasie pojawił się jeszcze w kraju pan Tusk, który pocieszał bojkotujących, żeby nie zwątpili: oni mają media pub-



**Piotr
Cywiński**

liczne, my internet, zagrzewał. Chwyciło, bo o wojujących pod hashtagem #silnirazem z tymi z obrzydliwym obliczem jest dziś głośno jak Polska długa i szeroka. Internet oraz wsparcie redakcji krajowych i zagranicznych przychylnych tym jedynie słusznym chyba jednak nie wystarczyło, skoro pan Schetyna, który wcześniej nakazał koleżankom i kolegom unikanie TVP jak zarazy, ogłosił koniec bojkotu: „Będziemy tam po to, żeby dawać świadectwo prawdzie”, powiedział.

Może to jeszcze nie będzie pełna „prawda czasu, prawda ekranu”, jaką sobie wymarzyli jedynie słusznym, ale pomalutku, są już plany skrócenia kadencji Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, likwidacji Rady Mediów Narodowych i przekształcenia TVP oraz Polskiego Radia w „jeden holding medialny”. Będzie to taka „opcja zero”, którą opracowuje zespół sprawdzonych na froncie, m.in. kandydatka KO na premiera Małgorzata Kidawa-Błońska, były wicepremier i minister obrony Tomasz Siemioniak czy byli prezesi TVP Jan Dworak i Juliusz Braun.

A co będzie z zespołem, np. z prezydentką Holecą? – zapytał po nazwisku portal należący do lisiej maskotki na Temat: „Dla mnie to oczywiste, że pani Danuta Holecia nie powinna być już na ekranie”, odparł pan Braun. Tylko jeszcze te cholerne wybory trzeba wygrać, kto wymyślił tę demokrację...

Jeśli wygramy wybory, obiecuję
w każdym domu LGBT
za darmo!



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 93
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORIZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI,
PIOTR CYWINSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSSETTE,
MARCIN FIOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-
ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA,
JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-
ZIELIŃSKA, JACEK KARŃOWSKI, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD
KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR
KWATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD
MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ

POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA,
ALEKSANDRA RYBINSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŁUK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW
WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ŻYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOTEJKA:
ANNA ŁABECKA, ANIA ŁABECKA@FRATRIA.PL,
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY
NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

**WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:**

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENIA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEWYDAWCY JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: SHUTTERSTOCK, ANDRZEJ WIKTOR, MATERIAŁY PRASOWE

SokzBuraka na etacie w PO



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

To najbardziej hejterski, a jednocześnie najbardziej popularny obszar internetu, w którym atakuje się Prawo i Sprawiedliwość. Z naszego śledztwa wynika, że stoi za nim człowiek Platformy Obywatelskiej, zatrudniony nie tylko w PO, ale też w warszawskim ratuszu. Partia sowicie go oplaca, choć nie chce się do tego przyznać. Ujawniamy jedną z największych tajemnic formacji Grzegorza Schetyny

SokzBuraka to przede wszystkim profile na Facebooku i Twitterze. Powszechnie uważa się go za stronę z memami, żartami związanymi z polityką. Ale do śmiechu jest tam tylko tym, którzy nienawidzą PiS, uwielbiają PO, nie przeszkadza im knajacki język publicznej debaty i nie silą się na weryfikowanie prawdziwości tego, co czytają. Bo SokzBuraka

to mieszanka drwin, manipulacji i kłamstw. Zawsze przeciw PiS i jego najważniejszym postaciom. Po bandzie, bez hamulców. To tutaj internauci zostali nakarmieni kłamstwem o aborcji, której miała dokonać Małgorzata Wassermann, oraz niewybrednymi kpinami z prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego. To tutaj była największa chyba

kumulacja fotografii Beaty Szydło czy Jarosława Kaczyńskiego z powykrzywianymi twarzami. Trzeba naprawdę się postarać, by znaleźć tak złe ujęcia i dodać do nich jeszcze zmyślane cytaty. Robione jest to z zajądlnością i konsekwencją, która wskazuje, że nie mamy do czynienia ze spontaniczną działalnością pasjonata PO.

Z komentarzy pod postami widać, że budzi to perwersyjną radość wśród przeciwników PiS i ich rozzuchwala. Odpowiedzi na wpisy SzB to kompletny rynsztok.

Profil obserwuje ponad 800 tys. osób. Jest on więc potężnym narzędziem politycznym wykorzystującym bardzo kontrowersyjne metody, dlatego decydujemy się podać personalia jego twórcy. Oficjalnie politycy PO od SzB się odcinają, niektórzy twierdzą, że w ogóle o nim nie słyszeli, choć bez trudu można sprawdzić, że to fałsz. Dotarliśmy do dokumentów i ludzi potwierdzających, że SokzBuraka to oręż Platformy w politycznej walce. Wiemy, kto za tym stoi.

DOBRE INFORMACJE

- Dzień dobry, panie Mariuszu, piszemy tekst o SokzBuraka. Wiem, że kiedyś założył pan tę stronę...
- Wie pan co, chyba próbuje pan tutaj jakąś prowokację zrobić w stosunku do mnie.
- Prowokację? Nie. Po prostu pytam. Przedstawiam się i pytam.
- Bo próbuje mi pan coś tutaj sugerować, podawać informacje, o których ja nie wiem...
- Czyli to nie pan założył stronę SokzBuraka?
- No chyba nie ma pan dobrych informacji. Bardzo mi przykro. Koniec rozmowy.

Fakty są inne. Mariusz Kozak-Zagózda to sprawny piarowiec. Przez lata pracował dla dużych koncernów, był m.in. dyrektorem ds. strategicznych projektów marketingowych w LPP SA (to właściciel znanych marek Reserved i Cropp), później robił kampanie m.in. dla Vistuli, Wólczanki, W. Kruk. Z naszych ustaleń wynika, że domenę sokzburaka.pl wykupił 12 marca 2014 r., korzystając z wi-fi w Lord Hotel & Conference Center w Warszawie.

Dzisiaj na tej stronie nie ma niczego, ale przeglądanie archiwalnych widoków witryny, co umożliwiają ogólnodostępne narzędzia, to pasjonujące zajęcie. Dowiadujemy się, że strona od początku powiązana była z założonym wcześniej profilem na Facebooku SokzBuraka. Do niego jeszcze wrócimy.

SzB mocno dawał się we znaki Patrykowi Jakiemu w kampanii samorządowej w Warszawie. Niektóre memy są wyjątkowo perfidne, podawane w nich kłamstwa (np. dotyczące rzekomego wypuszczenia przez Jakiego z więzień przestępców, którzy znów mordują) są trudne do odrzucenia, bo rozprzestrzeniają się w sieci w zaskakującym tempie, 800-tysięczna rzesza obserwujących profil robi swoje. Kandydat Zjednoczonej Prawicy

postanawia ścigać hejtera. Policja ustala, że należy przesłuchać Mariusza Kozaka-Zagózdę. Pierwsza próba dotarcia do niego kończy się fiaskiem, funkcjonariusze zastają w domu żonę. Z mężczyzną rozmawiają przez telefon, jednak ten stanowczo odmawia stawienia na przesłuchanie. Dochodzi do niego ostatecznie dwa tygodnie później, 30 stycznia (dzień wcześniej udziela pełnomocnictwa adwokat z kancelarii Romana Giertycha). Spotkanie na komisariacie trwa ledwie 25 minut. Kozak-Zagózda przedstawia się jako dziennikarz. Przyznaje, że założył domenę sokzburaka.pl, ale pozbył się jej w 2017 r. Nie pamięta, komu ją odstąpił. Nie był to nikt z jego znajomych. Takie tłumaczenie zakrawa na żart, policjanci słusznie nie dają więc wiary w tę zaskakującą amnezję, ale to niedopowiedzenie na razie zostaje w protokole. Mężczyźnie widocznie bardzo zależy na tym, by podkreślić, że nie ma z SzB już nic wspólnego. A kto ma? Tu próbuje urwać trop i dodaje, że nie wie, czy ma gdzieś dokumenty z rzeczowej cesji.

23 lipca br. trzyosobowy patrol ponownie stawia się przed drzwiami państwa Kozaków-Zagózdów. I znów zastaje w domu tylko żonę, mąż jest z dzieckiem na wyjeździe. Tym razem jednak, po rozmowie przez telefon i aby uniknąć przeszkadzania mieszkani, przypomina sobie, gdzie ma dokumenty dotyczące cesji domeny i natychmiast przekazuje je e-mailem na adres jednego z policjantów. Stąd wiadomo, że rzeczywiście właścicielem domeny sokzburaka.pl od 24 października 2017 r. jest zarejestrowana w brytyjskim Watford spółka Domizz Ltd., reprezentuje ją Hubert Nowacki. Czy to kończy związek Mariusza Kozaka-Zagózdę ze stroną i profilem SokzBuraka na Facebooku i Twitterze? Sam zainteresowany bardzo by pewnie chciał, by tak uważać, ale my mamy dowody, że tak nie jest. Właściwie jest wręcz przeciwnie.

23 lipca br. trzyosobowy patrol ponownie stawia się przed drzwiami państwa Kozaków-Zagózdów. I znów zastaje w domu tylko żonę, mąż jest z dzieckiem na wyjeździe. Tym razem jednak, po rozmowie przez telefon i aby uniknąć przeszkadzania mieszkani, przypomina sobie, gdzie ma dokumenty dotyczące cesji domeny i natychmiast przekazuje je e-mailem na adres jednego z policjantów. Stąd wiadomo, że rzeczywiście właścicielem domeny sokzburaka.pl od 24 października 2017 r. jest zarejestrowana w brytyjskim Watford spółka Domizz Ltd., reprezentuje ją Hubert Nowacki. Czy to kończy związek Mariusza Kozaka-Zagózdę ze stroną i profilem SokzBuraka na Facebooku i Twitterze? Sam zainteresowany bardzo by pewnie chciał, by tak uważać, ale my mamy dowody, że tak nie jest. Właściwie jest wręcz przeciwnie.

23 lipca br. trzyosobowy patrol ponownie stawia się przed drzwiami państwa Kozaków-Zagózdów. I znów zastaje w domu tylko żonę, mąż jest z dzieckiem na wyjeździe. Tym razem jednak, po rozmowie przez telefon i aby uniknąć przeszkadzania mieszkani, przypomina sobie, gdzie ma dokumenty dotyczące cesji domeny i natychmiast przekazuje je e-mailem na adres jednego z policjantów. Stąd wiadomo, że rzeczywiście właścicielem domeny sokzburaka.pl od 24 października 2017 r. jest zarejestrowana w brytyjskim Watford spółka Domizz Ltd., reprezentuje ją Hubert Nowacki. Czy to kończy związek Mariusza Kozaka-Zagózdę ze stroną i profilem SokzBuraka na Facebooku i Twitterze? Sam zainteresowany bardzo by pewnie chciał, by tak uważać, ale my mamy dowody, że tak nie jest. Właściwie jest wręcz przeciwnie.

KTO SIĘ PRYZNA

Powyżej podaliśmy nazwę spółki Domizz Ltd. Z brytyjskich rejestrów dowiadujemy się, że firma zajmuje się produkcją stalowych konstrukcji oraz... nadawaniem sygnału radiowego. Chodzi o Wolne Radio Opornik, które ma studio na Wyspach i które tworzy legendę jako tak skrajnie opozycyjnego wobec PiS, że może działać tylko poza granicami Polski. Założycielami są – jak wynika z dokumentów – Norbert Nowacki i Andrzej Szuliński. Ten drugi mówił w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: „Działamy na zasadach i prawie angielskim. Bo widząc, co się dzieje z sądami, prokuraturą itd., spodziewaliśmy się, że w kraju będą przeszkadzać mediom opozycyjnym”. Trzecim z „ojców założycieli” radia ma być mieszkający w niemieckim Nortorf informatyk Andrzej „Andreas” Niemczuk.

Andrzej Szuliński jest również właścicielem polskich spółek o podobnej nazwie: Domizz Studio sp. z o.o. oraz Domizz

Oficjalnie politycy PO od SokzBuraka się odcinają, niektórzy twierdzą, że w ogóle o nim nie słyszeli, choć bez trudu można sprawdzić, że to fałsz



Food sp. z o.o. Panowie nie kryją związków z hejterskim SokiemiBuraka, wręcz się nimi chępią. „To było przed PiS-em, założyciele głównie zajmowali się tworzeniem śmiesznych memów, o polityce było delikatnie. Pod koniec 2015 r. zwrócili się do nas, spółki Opornika, żeby stworzyć wspólną redakcję przy radiu w Londynie. I tak się stało, nad »Sokiem« siedzą cztery osoby, co wieczór mamy kolegium i decydujemy, co będziemy publikować” – taką wersję przedstawiał Andrzej Szuliński. To rozmowa z 6 marca 2018 r.

Prawie dwa lata wcześniej, 17 sierpnia 2016 r. w serwisie koduj24.pl, związanym z rosnącym wtedy w siłę ruchem KOD, ukazuje się wywiad Magdaleny Jethon z SokiemiBuraka. Pragnący zachować anonimowość mężczyzna (fotografia tyłem i pod światło) opowiada, że obawia się o siebie, że w związku z jego działalnością ktoś może go nękać albo nawet „zrobić coś brzydkiego”. Mówi też o wspólniku: „Ten drugi, który mi bardzo pomaga, wziął na siebie ujawnienie się z imienia i nazwiska i nawet z numeru telefonu, a nawet, żeby było ciekawiej, założył firmę po to, żebyśmy mogli też świadczyć jakieś usługi komercyjne. To jest zupełnie inna opowieść, bo SokzBuraka od tworzenia partyzanckiego i robionego przy okazji, stał się tak dominujący w moim życiu, że zrezygnowałem z pracy. Jestem właśnie na wypowiedzeniu...” – opowiada anonim. Rozwijając się w temacie swojego doświadczenia zawodowego, analizuje zawodowo rynek reklamy i mechanizmy zachęcania klientów do kupowania tych, a nie innych marek. Zupełnie jakby był kiedyś dyrektorem ds. strategicznych projektów marketingowych w jakiejś dużej korporacji...

Czas na puentę tego rozdziału naszej opowieści. Mariusz Kozak-Zagózda być może formalnie oddał domenę sokzburaka.pl, ale nie jest prawdą, że nie ma nic wspólnego z hejterskimi profilami SzB w mediach społecznościowych. Do administrowania profilem SzB na Twitterze służy jego e-mail, a także używany przez niego numer telefonu. Co więcej, telefon Mariusza Kozaka-Zagózdy – tego, który rzekomo nie ma już nic wspólnego ani z SokiemiBuraka, ani z nowymi właścicielami domeny – jest zarejestrowany na firmę Domizz Studio sp. z o.o.

CHCIAŁBY POMÓC

Przy pierwszym kontakcie z Kozakiem-Zagózda stosujemy dziennikarską prowokację. Dzwonimy, podając się za współpracowników jednego z kandydatów Koalicji Obywatelskiej w nadchodzących wyborach na Podkarpaciu. Chcemy porozmawiać o pomocy przy internetowej kampanii i uderzeniu w lokalny PiS. Nasz rozmówca godzi się porozmawiać, jednak prosi o połączenie poprzez szyfrującą aplikację WhatsApp.

Po chwili, już na „bezpiecznym” łączu, twórca SokuzBuraka poświęca nam więcej czasu. Szczegółowo opisujemy sytuację: PO na Podkarpaciu ma pod górkę, bo nie dość, że dostała „spadochroniarza” w postaci Pawła Poncylijusza, to region jest tradycyjnie pisowski, więc kandydat, z którym współpracujemy, nie może osobiście zbyt ostro atakować PiS. Kozak-Zagózda pyta, skąd mamy jego numer. Odpowiadamy, że od jednego z posłów PO obecnych w sztabie KO, ale nie jesteśmy upoważnieni, by podawać nazwisko. Mimo to uważnie słucha dalej, przedstawiamy więc pomysł na uderzenie w partię rządzącą, m.in. z wykorzystaniem „afery samolotowej” Marka Kuchcińskiego. Jest zainteresowany, przytakuje. – Chcielibyśmy jakoś mocniej depnąć w internecie i może byłaby jakaś szansa na współpracę, może na SokuzBuraka coś mogłoby się pojawić? – pytamy. – Nie wiem, czy na SokuzBuraka, tylko musiałbym po pierwsze, wiedzieć dokładnie, od kogo pan dostał namiar i musiałbym to potwierdzić.

Zapowiadamy więc, że zapytamy o możliwość podania nazwiska „posła ze sztabu”. Umawiamy się na kolejny kontakt, a na koniec upewniamy się, czy jeśli posel da zielone światło, współpraca będzie możliwa. – Nie wiem, czy akurat tam, ale na pewno mogę jakoś pomóc – słyszymy. Więcej nie mamy już po co dzwonić. Ale wiemy, że telefonu zarejestrowanego na Domizz

używa Kozak-Zagozda i że jeśli tylko jego partyjni mocodawcy nas autoryzują, pomoże hejtować podkarpackie PiS. Wiemy też, że jest bardzo ostrożny. Nic dziwnego. W prokuraturach trwa kilka śledztw w sprawie kłamstw, jakie publikował SzB, więc przy każdej okazji nasz bohater odcina się od tego projektu.

Ale chyba kusi go wizja zarobienia dodatkowych pieniędzy od lokalnych działaczy – po kilku godzinach dopytuje na czacie, dla którego posła pracujemy. Powtarza, że „chętnie pomoże”, choć „jest mały problem”: – Sprawdziłem i strona, o którą pan pytał, nie współpracuje z nami. Przynajmniej ja o tym nie wiem. Wygląda to na chęć zastrzeżenia „na papierze”, że o SzB kompletnie nic mu nie wiadomo.

SOK DLA ELITY

Postać Mariusza Kozaka-Zagozdy do dziś owiana była tajemnicą, przez lata wiele osób próbowało odkryć jego tożsamość. Wiedza o tym, kto jest SzB, była zarezerwowana dla elity, najbardziej zaufanych dziennikarzy wojujących ramieniem z opozycją i polityków z czoła partii niezadowolonych z dobrej zmiany. Znać się z SzB to był szpan, niektórzy w przechwałkach powinni być bardziej uważni. Co spowodowało, że ten układ ostatecznie stracił hermetyczność? Że wiedza o tym zaczęła docierać także do nas, co pozwoliło podjąć dziennikarskie śledztwo? Frustracja, zarówno ta duża, na którą mają wpływ dołujące sondaże PO i jej koalicjantów, jak i mniejsza, u szeregowych członków partii. Usłyszeliśmy taką historię: ktoś chciał poprosić SzB o pomoc, ale usłyszał od członków sztabu, że jest za mały, że nie warto marnować takiego działacza na nic nie wartą wojenkę. I pękło. „Mnie nie pomoże, to i innym też nie. A poza tym to cała ta Platforma i tak idzie pod wodę”.

W ten sposób twórca SzB narobił sobie wrogów nie tylko tam, gdzie chciał, czyli wśród „pisiorów”, ale i u swoich. Tym bardziej że zaczęły krążyć legendy o jego zarobkach, a cudze pieniądze nigdy na ludzi nie działają uspokajająco.

Udało się nam dowiedzieć, że od kwietnia br. Mariusz Kozak-Zagozda jest zatrudniony w warszawskim urzędzie miasta, w biurze marketingu. Dzwonimy do sekretariatu. – U nas go w biurze nie ma. I powiem panu szczerze, że nawet nie mam żadnego telefonu do tego pana. Nie wiem, czy on pracuje zdalnie, trudno mi powiedzieć, bo bardzo rzadko go tu widuję.

Po więcej informacji zostaliśmy odesłani do Magdaleny Jadziewicz-Kasak, szefowej Wydziału Nowych Mediów. Pani naczelnik nie chciała odpowiedzieć na żadne pytanie, odsyłając do Wydziału Prasowego urzędu. Na nic były argumenty, że ten wydział nie chce odpowiedzieć na nasze pytania.

Nie wiemy więc, co dokładnie robi dla stołecznego ratusza Kozak-Zagozda. Ale wiemy, ile zarabia. Przez ostatnie pięć miesięcy (od kwietnia) otrzymał co najmniej 25 tys. zł.

Dlaczego wiosną tego roku sięgnięto w ratuszu właśnie po niego? Czy miała na to wpływ ostra internetowa kampania przed

wyborami samorządowymi, która pomogła Rafałowi Trzaskowskiemu wygrać wyścig o prezydenturę stolicy?

CZAS Z GUMY

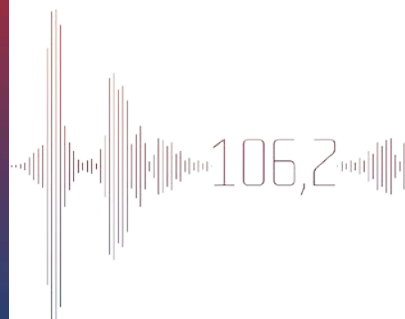
Drugim etatem Kozaka-Zagozdy jest praca w partii Platforma Obywatelska. Jest tam zatrudniony od lutego 2018 r. do dziś. Jego wynagrodzenie to miesięcznie od kilku do kilkunastu tysięcy złotych (w sumie ponad 150 tys.). W tym samym czasie współpracuje także z Klubem Parlamentarnym Platforma Obywatelska – Koalicja Obywatelska, co miesiąc takie same

pieniądze, też kilka tysięcy. Najlepszym czasem do zarobku są kampanie wyborcze. Jak ustaliliśmy, we wrześniu, październiku i listopadzie 2018 r. wykonuje zlecenia dla KKW Platforma Nowoczesna Koalicja Obywatelska (przed wyborami samorządowymi), w kwietniu i maju 2019 r. dla KKW Koalicja Europejska PO-PSL (przed wyborami do PE). Bierze za to od kilku do nawet ponad 20 tys. zł miesięcznie.

Od marca do maja 2019 r. zarabia także po kilka tysięcy na zleceniach dla współpracującej z PO Polskiej

Mariusz Kozak-Zagozda być może formalnie oddał domenę sokzburaka.pl, ale nie jest prawdą, że nie ma nic wspólnego z hejterskimi profilami SzB w mediach społecznościowych

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

62/0819/F

Fundacji im. Roberta Schumana. Do zamknięcia tego numeru tygodnika tylko od nich dostaliśmy odpowiedzi na zadane pytania. „Pan Kozak-Zagózda współpracował z Fundacją przy promocji działań Fundacji i jej misji (tworzenie grafik i treści, przede wszystkim Parada Schumana, informacje o działaniach UE). Nie udzielamy informacji na temat szczegółowych warunków współpracy z konkretnymi osobami. Zgodnie z ogólnie przyjętą siatką płac w Fundacji, pracownicy merytoryczni mogą zarobić pomiędzy 4.000, a 5.000 złotych brutto w przypadku pracy na cały etat (przy mniejszym wymiarze proporcjonalnie)”.

Mariusz Kozak-Zagózda na stałe jest w partii, na stałe w ratuszu, ma ciągle zlecenia z klubu parlamentarnego i od czasu do czasu robi przy kampaniach, a to nie koniec. Od dekady jest jeszcze dyrektorem projektów strategicznych w jednej z warszawskich agencji reklamowych. Ta naprawdę rozległa działalność musi budzić swego rodzaju podziw i może zaprzeczać tezie, że doba ma tylko 24 godziny.

AMNEZJA W PO

O informacje, do których dotarliśmy, zapytaliśmy pierwszoplanowych polityków PO. Sławomira Neumanna pytamy o opinię na temat SzB. – Jest profilem, moim zdaniem, politycznym, w kontrze do obecnej władzy – odpowiada szef klubu parlamentarnego PO-KO. Gdy dopytujemy, czy SzB przekracza standardy, czy zachowuje się fair. – Nie obserwuję go na tyle uważnie, żeby się tu wypowiadać – odpowiada. Trochę się chyba kryguje, bo profil znajdujemy wśród polubionych przez posła. Pytamy więc o twórcę SzB. Nazwisko Mariusz Kozak-Zagózda nic politykowi nie mówi. Wyjaśnia, że klub PO zatrudnia kilkadziesiąt osób. – Wie pan, może pracować z nami zdalnie, mamy grafików zdalnie z nami pracujących, różnie jest. Nazwiska nie kojarzę, musiałbym człowieka zobaczyć. Nie mam pamięci do nazwisk.

Dopytujemy, czy PO przekazywała kiedyś jakieś środki na SokzBuraka albo ludziom związanym z tym profilem? – Nie mam zielonego pojęcia, proszę zapytać skarbnika Platformy – pada odpowiedź.

Dzwonimy więc do Mariusza Witczaka. Strażnikiem partyjnej kasy został w 2016 r., zastępując Stanisława Gawłowskiego. W partii zrobił sporą karierę, w gabinecie cieni PO figuruje jako szef KPRM, na pewno dużo wie. O SokzBuraka niewiele ma jednak do powiedzenia. – Nic nie sędzę, bo nie kojarzę takiego profilu – zdążyliśmy od niego usłyszeć, po czym rzucił słuchawką. Napisaliśmy więc esemesa: „Nieelegancko się tak rozłączać. A czy kojarzy Pan Mariusza Kozaka-Zagózdę? Pytamy Pana zwłaszcza jako skarbnika PO”. Wiadomość pozostała bez odpowiedzi.

Przypomnijmy, w ciągu ostatniego półtora roku z partyjnej kasy dla Kozaka-Zagózdę wypłacono ponad 150 tys. zł. Skarbnik chyba powinien o tym wiedzieć. Co zaś do „kojarzenia” posła

Witczaka, warto, by przejrzał polubione przez siebie strony na Facebooku. Jest wśród nich SokzBuraka.

Niezbyt rozmowny był też poseł Arkadiusz Myrcha: – Nie mam specjalnie opinii. Widzę, że jest i ma memy jakieś tam najczęściej, tak? Teraz jestem trochę zajęty wieszaniem banerków, tak więc przykro mi, ale nie mogę rozmawiać.

Hejtu w sieci doświadczyła poseł Agnieszka Pomaska, która w tej sprawie wygrała nawet proces. Reporter telewizji wPolsce.pl zapytał ją, czy SokzBuraka nazwałaby profilem hejterskim. Parlamentarzystka odpowiedziała: – Nie śledzę wszystkich portali, które by pan pewnie chciał, żebym oceniała. Oczywiście każdy ponosi odpowiedzialność za słowo i powinien ponosić odpowiedzialność, również przed sądem.

Poseł Michał Szczerba zaś zapytany o powiązania PO z hejterskim profilem mówi: – Nie wiem nic o jakichkolwiek związkach. Czasami oglądam, w internecie pojawiają się – na Twitterze, na

Facebooku – ich infografiki. Jedne są lepsze, drugie są gorsze. Natomiast musiałbym ocenić każdą z nich indywidualnie, żeby dokonać oceny. Niewątpliwie jest to portal krytyczny wobec rządów PiS, i to rzeczywiście władzę pisowską bardzo boli.

SIEĆ POWIĄZAŃ

Powiązań z SzB Platforma się nie wyprze. Teraz znamy je już bardzo dokładnie. A przecież jest jeszcze cały szereg innych związków. Pierwszym profilem, który dowiedział się o istnieniu SzB i zaczął go obserwować na Twitterze, był Instytut Obywatelski, czyli think thank Platformy.

To zapewne przypadek. Podobnie jak to, że PO i SzB tworzą podobne grafiki – w tych samych kolorach, z charakterystycznym ciemnym różem, rzadko używanym przez grafików, czy przekontrastowanych czarno-białych zdjęć. Rafał Trzaskowski w kampanii samorządowej grafikę SokzBuraka wykorzystywał na konferencji prasowej.

W październiku 2017 r. strona sokzburaka.pl reklamowała facebookowe profile Nie lubię PiS-u i Racjonalna Polska. Czy również w nie zaangażowany jest (bądź był) Kozak-Zagózda? Wyglądają podobnie – niestrudzenie atakują obóz władzy w niewybredny sposób, promują Platformę, udostępniają wzajemnie swoje wpisy, mają gigantyczne zasięgi („lubi je” odpowiednio 431 tys. i 250 tys. użytkowników – dla porównania dodajmy, że PO ma fanów 188 tys., a PiS – 223 tys.). Takie same skojarzenia budzą Prawicowa Rzeczpospolita Ludowa czy memnews.pl, jak gdyby wszystkie te profile tworzyła ta sama ekipa.

PO nie skąpi pieniędzy na polityczną walkę w internecie. W jednym tygodniu trwającej obecnie kampanii potrafiła wydać na swoją promocję na Facebooku pół miliona złotych (PiS – 40-krotnie mniej).

Z każdej złotówki wydanej na reklamę spokojnie się wytłumaczy, ale nie przejdzie wydanie choćby grosza na nieczystą grę. 

PO nie skąpi pieniędzy na polityczną walkę w internecie. W jednym tygodniu trwającej obecnie kampanii potrafiła wydać na swoją promocję na Facebooku pół miliona złotych (PiS – 40-krotnie mniej)



WOJENNE DZIEWCZYNY

Niedziela
20:15

TVP 1

JAROSŁAW
KACZYŃSKI

Państwo dobrobytu

Czy przedstawiona przez PiS wizja silnego państwa, kierującego się w pierwszym rządzie dobrem tworzącej go wspólnoty, zdoła skutecznie się przeciwstawić dominującym nurtom liberalnym? Odpowiedź na to pytanie poznamy 13 października



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Polski model państwa dobrobytu – taki tytuł nosi opublikowany tydzień temu program wyborczy PiS. W porównaniu z dotychczas przedstawionymi ofertami opozycji, tych wszystkich sześciu i siedmiopaków, program zaproponowany wyborcom przez PiS jest obszerną (232 strony), przemyślaną i spójną wizją przywrócenia podmiotowości państwu

oraz planem budowy wokół niego silnej wspólnoty. Jest to wizja idąca na przekór dominującym w dzisiejszej Europie tendencjom zmierzającym do ograniczania roli państwa, tworzenia struktur ponadnarodowych oraz rozmywania narodowych tożsamości. W tym znaczeniu ma ona oryginalny charakter.

KRAJ DLA WYBRANYCH

Specyfika tej wizji wynika przede wszystkim z odmiennych doświadczeń historycznych naszego regionu Europy. Polska znalazła się w 1989 r. w podobnym miejscu do tego, w którym większość państw Europy Zachodniej znajdowała się kilkadziesiąt lat temu, gdy przyszło im urządzić się na nowo po kataklizmie

II wojny światowej. Mniej lub bardziej udane rozliczanie z doświadczeniem nazistowskiego totalitaryzmu, odbudowa zdewastowanej gospodarki oraz przywracanie, a w niektórych przypadkach, tworzenie demokratycznych struktur od podstaw, były dla europejskich społeczeństw ogromnym wyzwaniem obliczonym na wiele lat.

Przy czym społeczeństwa te startowały z zupełnie innego poziomu niż Polska po 1989 r. Nie licząc Niemiec, ich doświadczenie życia w systemie totalitarnym było zbyt płytkie, aby pozostawić trwałe ślady, wojenne zniszczenia mniejsze, a akumulowane przez dekady zasoby kapitałowe pozostawały wystarczająco duże, aby wraz z zaoferowaną hojną pomocą z Ameryki stanowić motor napędowy



powojennej gospodarki. Tymczasem Polska nie tylko przeszła piekło wyjątkowo brutalnej okupacji niemieckiej, lecz również trafiła na pół wieku pod władzę komunistycznego totalitaryzmu, co pozbawiło ją tych wszystkich możliwości, które dały ogromną przewagę Europie Zachodniej. Nie miejsce tu na spekulacje, jak wyglądałaby dziś Polska, gdyby po wojnie otrzymała podobną szansę na rozwój, ale chyba dla nikogo nie ulega wątpliwości, że nie znajdowalibyśmy się w tym miejscu, w którym jesteśmy teraz. W ciągu powojennego półwiecza utrzymała się i pogłębiła cywilizacyjna oraz materialna przepaść dzieląca Polskę od zachodniej części Europy.

Nic dziwnego zatem, że po upadku peerelu w 1989 r. Polska była wprawdzie

wolna, ale jej nikle zasoby i wyczerpany potencjał znacząco ograniczyły jej podmiotowość zarówno w relacjach ze światem zewnętrznym, jak i wewnątrz kraju. Słabe państwo nie mogło bronić swoich interesów, stając się polem eksploatacji najpierw uprzywilejowanych grup wywodzących się z poprzedniego systemu, a potem zagranicznego kapitału i reprezentujących go lokalnych struktur o coraz wyraźniejszym kompradorskim charakterze. Krótko mówiąc, rozwój Polski po 1989 r. był bardzo nierównomierny. Widocznej modernizacji towarzyszył – przedstawiany jako nieunikniony koszt transformacji – ogromny wzrost nierówności prowadzący do trwałego wykluczenia ekonomicznego dużych grup społeczeństwa.

W rezultacie III RP stała się państwem dla wybranych. Państwem strukturalnie słabym, bo skierowanym głównie na zaspokajanie potrzeb wąskich elit. Współgrało z tym silne

Transfer środków przywraca wielu wykluczonym ich przynależność do wspólnoty, stają się oni na powrót obywatelami, którymi byli dotąd jedynie na papierze

uzależnienie od zagranicznych źródeł kapitału i – co za tym idzie – rosnąca niesuwerenność, również w wymiarze politycznym. W ten sposób społeczeństwo było stopniowo wykluczane ze współdecydowania o kształcie państwa.

Procesowi emancypacji elit od społeczeństwa towarzyszyła ofensywa ideologiczna liberalnej lewicy, nurtu dominującego w Europie Zachodniej i traktowanego jako warunek awansu w hierarchii społecznej. Pogłębiło to jeszcze bardziej wykluczenie wielu grup i zaostrzyło istniejące konflikty, nadając im silnie ideologiczny charakter.

Czwierćwiecze transformacji okazało się dla Polski tylko częściowo udane.

Polska wykonała duży skok cywilizacyjny, ale można sądzić, że byłby on znacznie większy, gdyby jednocześnie przeciwstawiono się strukturalnej niemocy państwa i zbyt nierównomiernemu dostępowi do korzyści płynących z przeprowadzanej modernizacji.

REANIMACJA PAŃSTWA

Realizowaną od 2015 r. strategię PiS można uznać za jedyną – jak dotąd – skuteczną próbę wyeliminowania błędów popełnionych po 1989 r. i wyrównania utraconych wówczas szans. Głównym celem jest eliminacja nabytych w tym czasie przywilejów wąskich grup społecznych oraz wzmocnienie roli państwa traktowanego jako gwarant bardziej sprawiedliwego i zrównoważonego rozwoju. Nieprzypadkowo opublikowany tydzień temu program wyborczy PiS nawiązuje swoją nazwą do koncepcji państwa dobrobytu,

które – sformułowane po raz pierwszy w odpowiedzi na Wielki Kryzys 1929 r. – przeżywało swój rozkwit w zrujnowanej, powojennej Europie, stając się później impulsem do jej intensywnego rozwoju. Koncepcje te głoszone m.in. przez Johna Maynarda Keynesa i Johna Kennetha Galbraitha zakładały – najogólniej rzecz ujmując – zwiększenie roli państwa jako instytucji stymulującej procesy gospodarcze. Galbraith zakładał

przy tym, że państwo powinno mocno inwestować w usługi publiczne (infrastruktura, edukacja, ochrona zdrowia), tak aby poprawiać ogólną jakość życia i ograniczać tym samym konflikty społeczne.

W Polsce, gdzie państwo jest jedynym realnym źródłem krajowego kapitału, jego rola jako stymulatora rozwoju gospodarczego jest nie do zastąpienia. Jego słabość skazuje nas bowiem na oparcie się wyłącznie na zagranicznym kapitale, który kieruje się własnym partykularnym interesem. Dowodem może być choćby kryzys finansowy z 2008 r., gdy znajdujący się w większości w obcych rękach polski

sektor bankowy ograniczył kredytowanie naszej gospodarki, w zamian kierując kapitał do przeżywających kłopoty centrali w Europie Zachodniej.

Jednym z głównych dochodów państwa była wówczas prywatyzacja resztek narodowego majątku. Tymczasem państwo pozbawione krajowych źródeł kapitału staje się coraz bardziej „państwem teoretycznym”, niesuwerennym, niezdolnym nie tylko do jakiegokolwiek rozwoju, lecz również wypełniania swoich elementarnych funkcji. Zatrzymanie atrofii państwa, która swoje apogeum osiągnęła w schyłkowym okresie rządów koalicji PO-PSL, było pierwszym zadaniem ekipy rządzącej po 2015 r. Jej elementami było m.in. załatwienie luki VAT-owskiej, repolonizacja banków (dziś w krajowych rękach znajduje się 54 proc. tego sektora), utworzenie wspierającego krajową gospodarkę Państwowego Funduszu Rozwoju oraz przeznaczenie uzyskanych środków na infrastrukturę, bezpieczeństwo i powstrzymanie dalszej degradacji usług publicznych.

POWRÓT OBYWATELA

Odbudowa państwa i przywrócenie jego funkcji do życia nie jest jednak – jak zastrzegają autorzy programu wyborczego PiS – celem samym w sobie. Chodzi bowiem o zagwarantowanie podmiotowości społeczeństwu rozumianemu w duchu konserwatywnym jako wspólnota. Przy czym wspólnota ta – co się wyraźnie podkreśla – ma charakter kulturowy, a nie etniczny. A zatem każdy, bez względu na narodowość i wyznanie, kto utożsamia się z polskością rozumianą jako dziedzictwo wspólnej historii i kultury, przynależy do tej szerokiej wspólnoty. Ten, kto tę wspólnotę odrzuca, jest wprawdzie – jak piszą autorzy programu PiS – szanowany, ale nie może, o ile nie zdobędzie wystarczającej większości, naruszać istniejących zasad. W tym sensie mamy tu więc do czynienia z odrzuceniem skrajnie demoliberalnej wizji, w której ochrona praw mniejszości nie opiera się na poszukiwaniu kompromisu z prawami większości, lecz zyskuje nad nimi absolutny priorytet.

Zadaniem państwa jest wspieranie rozwoju wspólnoty. Pomoc jest oparta

na zasadach sprawiedliwości i solidaryzmu społecznego. Wyrównywanie szans jest realizowane poprzez redystrybucję środków, czego szandarowym przykładem może być program 500+, ale również przez zrównoważony terytorialnie rozwój, dzięki przesuwaniu większych środków na infrastrukturę i usługi publiczne do najbardziej potrzebujących regionów kraju. W ten sposób stopniowo ogranicza się wykluczenie ekonomiczne szerokich grup społeczeństwa.

Podniesienie ogólnego poziomu życia jest fundamentem przyszłego dobrobytu, który musi mieć powszechny charakter, a nie ograniczać się tylko do wąskich, uprzywilejowanych grup

Podniesienie ogólnego poziomu życia jest fundamentem przyszłego dobrobytu, który musi mieć powszechny charakter, a nie ograniczać się tylko do wąskich, uprzywilejowanych grup. Wraz z dobrobytem wzrasta podmiotowość społeczeństwa, a zatem poszerza się wolność każdego z nas. Wolność bowiem jest sprzężona z równością, a ta z kolei jest wypadkową zamożności. To jasne, że równość w znaczeniu ekonomicznym jest niemożliwa, nikt zresztą jej w programie PiS nie postuluje, chodzi natomiast o wyrównywanie szans i konsekwentne działania na rzecz przezwyciężenia strukturalnego wykluczenia oraz włączenie jak najszerszych grup obywateli do współdecydowania o swojej przyszłości.

W tym kontekście szczególnie odpychająco brzmi oskarżenia części opozycji o „przekupywanie” wyborców. Nie tylko dlatego, że obecna opozycja ma swój ogromny udział w doprowadzeniu do pauperyzacji dużych grup społecznych, ale także dlatego, że transfer środków ma oprócz finansowego znacznie szerszy wy-

miar. Przywraca on bowiem wielu wykluczonym ich przynależność do wspólnoty, stają się oni na powrót obywatelami, którymi byli dotąd jedynie na papierze.

Nawet jednak sam ekonomiczny wymiar redystrybucji środków ma znaczenie, wzrost zamożności społeczeństwa (w tym planowane stopniowe podwyższanie płacy minimalnej w kolejnych latach), przekłada się bowiem – i widzimy tego dowody – na poprawę kondycji gospodarczej, a co za tym idzie, na siłę i sprawczość państwa.

Można tu odnaleźć pewne podobieństwa programu PiS do dawnych koncepcji ordoliberalizmu, które sformułowała po II wojnie światowej niemiecka chadecja. W przeciwieństwie do liberałów niemieccy chadecy uważali, że gospodarka pełni funkcję służebną w społeczeństwie. Jak pisał jeden z teoretyków chadecji Alexander Rustow, właściwym celem gospodarki jest służenie wartościom pozaekonomicznym, takim jak państwo, wspólnota i rodzina. A wzrost dochodów jednostek nie przekłada się automatycznie na poprawę zamożności całego społeczeństwa.

O wyższości człowieka i jego pracy nad kapitałem mówił też wielokrotnie – wiele lat później – św. Jan Paweł II, do którego myśli odwołuje się w swoim programie PiS. Zresztą na początku III RP ówczesna partia Jarosława Kaczyńskiego, jaką było Porozumienie Centrum, definiowała się jako formacja chadecka. W pewnym sensie Jarosław Kaczyński powraca więc w dzisiejszym programie PiS do korzeni.

Oczywiście współczesna chadecja zachodnioeuropejska ma niewiele lub zgola nie ma nic wspólnego ze swoim pierwowzorem. Jednak dla Polski, z powodu trwającej pół wieku izolacji od reszty Europy, niektóre jej dawne koncepcje zachowują walor aktualności. Czy taka wizja, oparta na solidaryzmie społecznym, na utrzymaniu silnej roli państwa kierującego się w pierwszym rzędzie dobrem tworzącej go wspólnoty, zdoła skutecznie przeciwstawić się dominującemu nurtom liberalnym? Jeśli Polacy ją przyjmą, to być może choć trochę uchronią się przed obowiązującą dziś w Europie ideologiczną monokulturą.

Wypłukana kampania



STANISŁAW JANECKI

Z kampanią wyborczą opozycji jest jak z homeopatią. Im bliżej 13 października, tym bardziej rozcieńczana jest jej zawartość. Aż w dniu wyborów w tym „roztworze” może nie być nawet śladu „substancji aktywnej”, czyli jakiegokolwiek oddziałującej na wyborców treści. I tak jak w homeopatii na pierwszy plan w finale kampanii wysuwa się potrząsanie zwane „dynamizowaniem”. Koalicja Obywatelska „dynamizuje” hasłem i akcją #SilniRazem, lewica tańcami, Koalicja Polska

*Trzy tygodnie przed
wyborami opozycja
w publicznej debacie
nie funkcjonuje
jako programowa
alternatywa dla Prawa
i Sprawiedliwości*

występami duetu Władysław Kosiniak-Kamysz i Paweł Kukiz, Konfederacja zaś – pretensjami do całego świata, że jej nie dostrzega. Efekt zmierzania do tego samego, co jest skutkiem nieskończonego rozcieńczania w homeopatii, czyli wody niezawierającej niczego poza wodą. To znaczy w opinii zainteresowanych ta woda ma „pamięć”, czyli właściwości terapeutyczne, choć z punktu widzenia fizyko-chemicznego „pamięć wody” nie istnieje. Tak opozycja reaguje na propozycje Prawa i Sprawiedliwości (zwłaszcza te z konwencji ugrupowania rządzącego w Lublinie), które można by nazwać „farmakologicznymi”, czyli stosowaniem konkretnych substancji aktywnych (jak wzrost płacy minimalnej do 4 tys. zł na koniec 2023 r.).

SEKTA #SILNI RAZEM

Po uderzeniu programowym, jakim była inaugurująca kampanię lubelska konwencja wyborcza PiS, z opozycji uszło powietrze. Wprawdzie przez kilka dni KO, blok lewicy oraz KP próbowały kwestionować propozycje PiS albo je przebijać, lecz skutki były niewidoczne (tak jak to jest w wypadku stosowania homeopatii, poza krótkotrwałym efektem placebo), także w sondażach – zarówno tych wskazujących na preferencje, jak i tych, w których pytano o spodziewanego zwycięzcę wyborów. Na przykład w badaniu IPSOS dla OKO.Press z początku września br. aż 82 proc. badanych twierdziło, że PiS wygra wybory i utrzyma władzę. W takich „okolicznościach przyrody” opozycja sprawia wrażenie, jakby nie wiedziała, co robić, albo nie mogła dojść do siebie po nokdaunie. I w największym stopniu dotyczy to KO. Zupełnym dla niej zaskoczeniem musi być to, że coraz więcej wyborców uważa, iż straciła ona tożsamość (wyplukana substancję czynną), gdy twarzą kampanii stała się Małgorzata Kidawa-Błońska, schowany został szef sztabu Krzysztof Brejza, w baranka zmienił się przewodniczący Grzegorz Schetyna i zmarginalizowane zostały wątki dotyczące obrony demokracji, praworządności czy konstytucji. „Nowa twarz” KO zaczęła jeździć po Polsce, ale efekt jest podobny, jak w wypadku pe-

regrynacji premier Ewy Kopacz latem 2015 r. Powszechne wrażenie jest takie, że kampania stała się nijaka, rozmowy zaś polityków KO z Polakami „w terenie” przypominają pogaduszki na „imiennach u cioci Kłoci”. Czyli mamy niemal wierną powtórkę z Kopacz, choć miała być zasadnicza zmiana, przede wszystkim jakościowa.

Spoiłem KO do czasu wymiany „twarzy” było zwalczanie PiS, często w bardzo brutalnych formach. W wersji z Kidawą-Błońską kampania tej formacji zaczęła być zlepkiem wszystkiego, ale nic z tego się nie wyróżniało. Od kilku tygodni KO próbuje rywalizować z PiS na zobowiązania dla różnych grup, ale mało kto, łącznie z działaczami koalicji, traktuje to poważnie. Poza tym uważane jest to za imitowanie PiS, podobnie jak za imitację partii rządzącej brane są podróże polityków koalicji po kraju. A momentami jest nawet gorzej, gdyż działania KO są postrzegane jako parodiowanie PiS, czyli czysta złośliwość.

Po krótkiej przerwie KO wróciła też do „obnażania” kolejnych „afer” rządzących, ale gdy jej politycy próbują o tym mówić podczas podróży po kraju, są albo ignorowani, albo wprost spotykają się z zarzutami, że nie rozliczyli się z własnymi aferami. A kolejne „afery” konferencje w Sejmie (często urządzone codziennie) z udziałem Mariusza Witczaka, Cezarego Tomczyka, Marcina Kierwińskiego, Kamili Gasiuk-Pihowicz czy Borysa Budki są traktowane jak szum informacyjny albo folklor bądź rytuał. W efekcie, zwłaszcza po wskazaniu Kidawy-Błońskiej jako kandydatki na premiera, KO stała przed problemem czytelności i zasięgu swojej nowej strategii: ludzie nie wiedzą, o co koalicji chodzi ani do kogo jej propozycje są adresowane. Tym bardziej, gdy politycy KO licytują się z PiS na obietnice, główny zaś ekonomista PO prof. Andrzej Rzońca w praktyce te obietnice obnaża jako nierealne bądź otwarcie kwestionuje możliwość ich wprowadzenia w życie.

Wyplukiwanie kampanii KO z treści przez pierwsze kilkanaście dni września br. sprawiło, że z ukrycia wyszedł Brejza, powrócił ostry język Schetyny, Kidawa-Błońska zaś praktycznie przestała być liderką kampanii mimo obje-

dzania kraju. Kampania KO nie wróciła na stare tory, ale stała się jeszcze bardziej zdeorganizowana. Symptomem pewnej desperacji w szeregach KO jest uruchomienie opcji #SilniRazem (mikrobusy, infolinia, grupy działania w mediach społecznościowych). Już na starcie niesie ona negatywne skojarzenia w związku z hejtem uprawianym przez kilka tygodni na (anonimowych głównie) kontach w mediach społecznościowych posługujących się tym hashtagem. Spotkała się też z zarzutami lewicy, że KO zawłaszcza oddolną inicjatywę. Jednak najważniejsze jest kompletne oderwanie się patronów akcji #SilniRazem od rzeczywistości. Już przekonanie o tym, że jakaś akcja prowadzona wewnątrz małej, zamkniętej, wykazującej wszelkie cechy sekty (tego nie da się opanować przy anonimowości internetu) grupy, realnie niemającej żadnego politycznego znaczenia, pokazuje, że sztab KO obraca się w świecie fikcji. Na realne wybory takie sekciarskie inicjatywy nie mają żadnego wpływu, a jeśli już, to negatywny. Przeciwni ludzie nawet nie chcą wiedzieć o hashtagach i stojących za nimi kampaniach oblewania się pomyjami. W efekcie uruchomiony przez takie akcje hejt uderza przede wszystkim w samych uczestników, a co najwyżej w konkurencyjne grupy, najczęściej równie sekciarskie. Co oznacza nieskuteczność, a właściwie strzelanie sobie w stopę, gdyż doraźne wspólnoty hejterskie są niekontrolowalne, a ich polityczna efektywność jest żadna. Nawet wskazuje to na desperację, czyli uznanie porażki, i tylko bezsilne obrzadzanie spodziewanych zwycięzców – w grupach, które nie zajmują się niczym innym poza wylewaniem pomyj i obrzucaniem obelgami, a ich przecież nie trzeba do niczego przekonywać. Przyjęcie takiej „samobójczej” strategii wskazuje też na niedostatki intelektualne i koncepcyjne kampanii wyborczej, nawet w wersji już kompletnie wypłukanej z treści, czyli opcji wody w wodzie.

BEZ TOŻSAMOŚCI

Kampania lewicy (formalnie Komitetu Wyborczego Sojuszu Lewicy Demokratycznej) też jest wypłukana

z treści, tylko w stylu retro. Praktycznie zniknęły programowe propozycje Wiosny i Partii Razem, np. dotyczące gwarantowanej emerytury minimalnej – 1,6 tys. zł (Wiosna) czy mieszkalnictwa (Partia Razem), SLD zaś przed wyborczym zjednoczeniem lewicy nie zdążył nawet przekonać wyborców, że ma jakiś program. Zjednoczona lewica nie pali się do mówienia o konkretach gospodarczo-społecznych zapewne z tego powodu, że nie jest w stanie przebić propozycji PiS (farmakologia) i obietnic KO (homeopatia). To sprawia, że kampania lewicy stała się jeszcze bardziej nijaka niż łagodna wersja kampanii KO z Kidawą-Błońską. Ale w sukurs lewicy przyszła KO z powrotem antypisu. W tej sytuacji zamiast forsowania programu pozytywnego lewica cofnęła się do połowy lat 90., czyli do pierwszej kampanii prezydenckiej Aleksandra Kwaśniewskiego. Jej istotą było przekonanie wyborców, że postkomuniści nie są krwiożerczymi bolszewikami, lecz fajnymi, wyluzowanymi pragmatykami. Akces Wiosny i Partii Razem do KW SLD od razu zdjął z postkomunistów „bolszewickie” brzemie, skoro wcześniej był to jeden z fundamentalnych zarzutów obu koalicjantów. I teraz Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń oraz Adrian Zandberg mogą się skupić na ludyczności (tańce liderów lewicy na scenie wprost nawiązywały do płaśów Kwaśniewskiego w kampanii prezydenckiej w 1995 r.) oraz przedstawianiu lewicowości jako czegoś fajnego, atrakcyjnego, mało wojenniczego. Wprawdzie w 2019 r. może to być tylko obyczajowo-kulturową ciekawostką, nie zaś programem wyborczym, lecz przy agresji KO w wersji #SilniRazem staje się czymś pozytywnym. W efekcie małymi środkami lewica utrzymuje kilkunastoprocentowe poparcie w sondażach, a jej wzrosty oznaczają proporcjonalne spadki poparcia dla KO. Fajność lewicy może być doceniana w sondażach, ale w realnym głosowaniu to może nie wystarczyć. Jednak KO i jej sztab pod wodzą Brejzy robią wiele, żeby wystarczyło,

czyli żeby wynik KO „zjechał” poniżej 20 proc. poparcia, a wynik lewicy zbliżał się do tej granicy.

Koalicja Polska (Polskie Stronnictwo Ludowe i Kukiz'15) wybrała trzecią drogę, czyli prezentuje się jako siła spokoju oraz alternatywa wobec wszystkich pozostałych opcji. Do opinii publicznej przebiły się właściwie tylko dwie kwestie programowe: emerytura bez podatku dochodowego (PSL) oraz wiążące referendum ze stosunkowo niskim progiem frekwencyjnym (Kukiz '15). Oba ugrupowania walczą jeszcze m.in. o dobrowolny ZUS dla przedsiębiorców, jednomandatowe okręgi wyborcze oraz powoływanie sędziów pokoju, jednak to się średnio przebijają

Symptomem pewnej desperacji w szeregach KO jest uruchomienie opcji #SilniRazem (mikrobusy, infolinia, grupy działania w mediach społecznościowych). Już na starcie niesie ona negatywne skojarzenia

albo już się osłuchało (JOW). Atutem KP ma być też gwarancja pokoju społecznego – w kontrze do wojny KO-PiS. Problemem jest to, że połączenie postulatów i propozycji PSL oraz Kukiz '15 sprawiło, iż KP straciła tożsamość swoich elementów składowych. Teraz nie jest ani partią chłopską (wiejską, małomiasteczkową), ani antysystemową. I właściwie nie wiadomo, do jakiego elektoratu się odwołuje. Liderzy sądzą, że do każdego, stąd nazwa, jednak w walce o konkretne głosy to niekoniecznie działa. Tym bardziej, gdy poparcie dla KP niewiele przekracza 5-proc. próg.

Oficjalnie KP ma być alternatywą, faktycznie może być tylko jęczyzkiem u wagi, co wyborcy dostrzegają, szczególnie znając obrotowość PSL od wyborów w 1991 r. oraz antysystemowość Kukiz'15 po związaniu się z ludowcami. W efekcie KP może nie być alternatywnym „farmaceutyką”, lecz inną wersją homeopatii.

Choć do wyborów pozostały zaledwie trzy tygodnie, Konfederacja nie prezentuje wyrazistości znanej z kampanii europejskiej. Może to wynikać z braku środków na kampanię (w europejskiej było je widać) albo z wyczerpania się głównego paliwa, czyli kwestii konsekwencji amerykańskiej ustawy 447, co jednak nie zadziałało wystarczająco w kampanii europejskiej. Praktycznie niewidoczne są postulaty wolnorynkowe Konfederacji, choć jej elementy składowe miały programy nawet mocno wolnorynkowe. Trzy tygodnie przed wyborami Konfederacja skupia się na zwalczaniu wrogów (rzeczywistych i wymaganiowych), głównie spoza polityki, a nie na prezentowaniu atrakcji programowych. Docierają też sygnały o walkach wewnętrznych, co jednak nie musi się przekładać na poparcie, gdyż wyborcy Konfederacji są bardzo zdeterminowani i oddani, niezależnie od jej wewnętrznego kształtu. Dotychczasowy przebieg kampanii Konfederacji nie uprawnia jednak do tego, by twierdzić, że funkcjonuje ona bardziej jak farmaceutyk, a mniej jak homeopatia.

Trzy tygodnie przed wyborami mamy opozycję, która w publicznej debacie nie funkcjonuje jako programowa alternatywa dla PiS. W ogromnej większości jej propozycje są traktowane jak tzw. leki homeopatyczne. Gdy stan zdrowia jest zadowalający, czyli gdy nie chodzi o wybór przyszłości przy urnie, można je stosować, bo to nie wiąże się z ryzykiem. Gdy jednak uwzględnić zagrożenia oraz skuteczność, wyborcy wolą farmaceutyki zamiast wody rozpuszczonej w wodzie. Nawet gdy ta woda staje się kwaśna, jak to jest w wypadku po raz kolejny zaost-rzanej kampanii KO.

Przebiliśmy wszystkie szklane sufity

Kiedys się mówiło, że szklany sufit dla nas to 30 proc., później że 40. Wybory europejskie pokazały, że stać nas na wynik na poziomie 45 proc., a dziś słyszymy o sondażach wokół 50 proc.

– mówi *Krzysztof Sobolewski*, przewodniczący Komitetu Wykonawczego PiS, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Czy w kampanii wyborczej partia działa w jakimś stanie wyjątkowym?

Krzysztof Sobolewski: Patrząc na ostatnie półtora roku, to trzeba raczej mówić o sile rozpędu. To już trzecia z rzędu kampania: najpierw mieliśmy wybory samorządowe, później europejskie, a teraz parlamentarne.

Ludzie w regionach nie mają dosyć? Znowu plakaty, ulotki, banery... Ileż można?

Każde wybory są inne. Przy samorządowych mieliśmy 33 tys. kandydatów – najwięcej w historii. To armia, która

robiła kampanię dla PiS, ale przede wszystkim dla siebie, walcząc o mandaty radnych, burmistrzów, prezydentów. Nikt nie miał prawa narzekać na zmęczenie. [śmiech]

A później?

Później emocje opadają. W europejskich wyborach mieliśmy 130 kandydatów. W takiej sytuacji pracuje się na partię, a nie na poszczególne nazwiska. To zupełnie inna kampania, inny tryb działania. Przejście z jednej kampanii w drugą jest o tyle łatwiejsze, że staramy się utrzymać podobny layout plakatów, kolorów etc., idąc w myśl zasady, że lepsze jest wrogiem dobrego.

Wybory europejskie to był mecz na wyjeździe?

Dla nas to był w zasadzie dwumecz na wyjeździe, bez możliwości rewanżu u siebie. Wyborcy PiS postrzegają te wybory z perspektywy kosmosu: ktoś tam w Brukseli decyduje o czymś abstrakcyjnym. Ale pierwszy raz udało nam się przekonać sympatyków, że ten cały Parlament Europejski nas dotyczy. Udało się przekierować ich uwagę – począwszy od mieszkańców wsi, których przekonaliśmy, że UE jest ważna, bo zapadają tam decyzje, które przekładają się na to, czy obok powstaje chodnik, czy sala gimnastyczna.

Mobilizacja się powiodła?

Tak, zdecydowanie, chociaż po gruntownych analizach mogę przyznać, że mieliśmy jeszcze pewną rezerwę w mobilizacji.

O jakiej rezerwie w procentach mówimy?

Od 10 do 15 proc. Mówię o mobilizacji elektoratu Prawa i Sprawiedliwości: w niektórych powiatach, mimo frekwencji dużo wyższej niż w roku 2014, do wyborów poszło mniej osób niż w 2015. To oznacza jedno: ciągle jest konieczność mobilizowania wyborców.

Co jest trudniejsze? Mecz na wyjeździe i mobilizacja, jak w maju, czy ten mecz u siebie, jak dziś, gdy wyborcy mogą mieć z tyłu głowy, że i tak wygracie, że jest pozamiatane?

Dzisiaj jest trudniej. Choć wtedy w maju myśleliśmy, że wybory europejskie będą trudniejsze. I dlatego dzisiejsza kampania jest mobilizacyjna.

Jak się mobilizuje? Strachem przed uchodzącą, gejem, Tuskiem?

To zależy, kto jak na to patrzy. My mówimy wprost, że gwarantem kontynuacji dobrej zmiany jest wyłącznie PiS. To pozytywny aspekt, ale z drugiej strony ktoś odbierze to jako straszenie, bo mówimy wprost: jeśli nie wygramy, to przeciwnicy nie będą tego kontynuować. Cysterny wstydu PO-PSL przypominają, jak wyglądała Polska za rządów naszych poprzedników.

Zostawmy to. Po wyborach wygląda to tak, że siadacie z prezesem czy



ROZMOWA
Fijołka

w ramach sztabu przy mapie powiatów i krok po kroku analizujecie, gdzie struktury zadziałały?

Tak. Sprawdzamy wyniki, porównujemy je, analizujemy. Zaczynamy od frekwencji – wiemy, jaka jest struktura mobilizacyjna i potencjał PiS. Prezes zawsze wtedy mówi, że działa tu reguła wielkich liczb: to znaczy, że przez lata na podstawie wyników można oszacować potencjał prawicy. A w danym okręgu potencjał miejsc biorących.

Wychodzą przy okazji tego rodzaju analiz jakieś ciekawostki?

Z ostatnich szacunków wynika na przykład, że najlepsze miejsca na listach to jedynek, dwójka i ostatnie miejsce. Tak samo według tej reguły wielkich liczb możemy na podstawie okręgów, powiatów, a nawet gmin sprawdzić, gdzie nam przybyło.

Jaki jest realny potencjał prawicy w Polsce? Jaki wynik jest w zasięgu PiS?

Sky is the limit. Nie można stwierdzić tego co do procenta – każda kampania ma swoją specyfikę, w każdej decyduje szczegół. Można robić kampanię mobilizacyjną, zakładać różne scenariusze, a jedna rzecz jest zrobiona nie tak, jak trzeba, albo ludzie odbiorają inaczej i wszystkie obliczane pułapy biorą w łeb.

To jest jasne, chodzi mi o zakres, o szklany sufit.

Kiedys się mówiło, że szklany sufit dla nas to 30 proc., później, że 40. Wybory europejskie pokazały, że stać nas na wynik na poziomie 45 proc., a dziś słyszymy o sondażach wokół 50 proc. Widać to po eurowyborach: kto by powiedział, że osiągniemy taki wynik? Przebiliśmy w maju każdy sufit.

Wróćmy do tej kampanii, która czasem wyklada się na ostatniej prostej. W czym rzecz?

Podam przykład: dziennikarze czasem wracają do spotu o uchodźcach przy wyborach samorządowych. Ten klip paradoksalnie może nam zaszkodzić

Dobijamy do tego momentu, gdy internet może przeważać o losach wyborów

w dużych miastach (dostaliśmy tu srogą naukę, muszę to przyznać), ale pomógł na poziomie sejmikowym.

Na Mazowszu akurat nie poszło to równolegle.

Tutaj nam akurat zaszkodziło, bo w Warszawie straciliśmy dwa mandaty, które mieliśmy wcześniej.

Kluczowe mandaty.

Tak, te mandaty były decydujące o większości w sejmiku.

Kampania to nieustannie pole minowe? Badanie, co się opłaca, a co nie?

Czasem trzeba umieć zważyć: czy mobilizujemy swoich wyborców, czy demobilizujemy innych. Przy okazji upadają różne kampanijne mity: jak na przykład ten, że kto wygrywa na Śląsku, ten wygrywa w Polsce. W 2015 r. przegraliśmy tam i wybory prezydenckie, i parlamentarne, a mimo to wygraliśmy.

Ale premiera wysyłacie na Śląsk...

Ponieważ szukamy możliwości, by i tam wygrać.

Jest jeszcze jeden mit: że mamy trzy rodzaje wrogów w polityce: wróg śmiertelny, wróg koalicyjny, a najgorszy to kolega partyjny.

Coś w tym jest. [śmiech] Jako pełnomocnik wyborczy i osoba nadzorująca struktury przeżyłem już chyba 13 kampanii. Coś w tym powiedzeniu jest, ale do pewnego momentu – jeśli ta rywalizacja mieści się w pewnych granicach, to jest z pożytkiem dla listy, ale jeśli przekracza te granice, to nie służy ani liście, ani samym kandydatom.

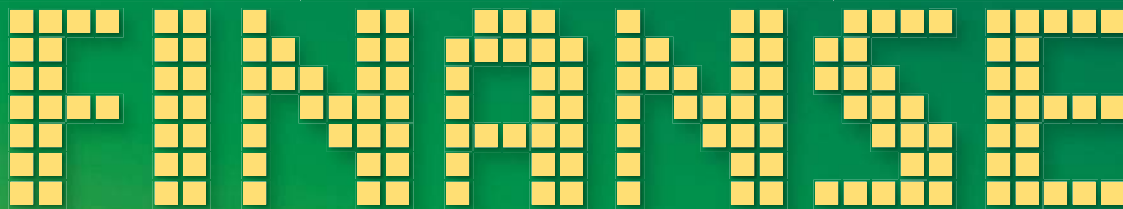
Widzieliśmy ostatnio taki wesoły film z posła Krynicką i jej konkurentami z listy PiS, gdy na konferencji próbowali się odciąć od mikrofonu.

I takie są uroki kampanii. [śmiech]

REKLAMA

Dobrze poukładane

STEF CZYK FINANSE



Sprawdź, ile możliwości czeka na Ciebie w placówce

✓ rachunki
płatnicze

✓ opłaty
domowe

✓ fundusze
inwestycyjne

✓ leasing

✓ pożyczki

✓ lokaty

✓ doładowania
energetyczne

✓ przelewy
zagraniczne

✓ ubezpieczenia

Lista placówek dostępna pod adresem:
www.kasastefczyka.pl/placowki-i-bankomaty

Usługi dostępne
w STEFCZYK FINANSE
dzięki współpracy z:



moje rachunki



pay cash. pay safe.

Jak się mobilizuje doły partyjne?

Spotkania, spotkania, spotkania.

Wyborcze? Partyjne?

Często to się łączy. Jeśli mamy spotkanie wyborcze, to organizuje je przecież struktura partyjna.

Zgoda, ale ciekawi mnie reakcja: kto ma reagować, gdy coś się dzieje?

Jeśli są potrzebne drastyczne środki (zawieszenie, wyrzucenie kogoś z partii), to jest to kompetencja prezesa Jarosława Kaczyńskiego. A jeśli trzeba tylko zareagować czy sprawdzić daną sytuację, to spada to na mnie albo na struktury.

I co wtedy? Kij? Marchewka?

Różnie bywa, ale kluczem jest rozmowa. To zawsze nie struktura czy masy do ulepienia, ale konkretni ludzie – ze swoimi charakterami, problemami, ambicjami etc. Nasza praca w partii to nie zarządzanie ludźmi, Prawo i Sprawiedliwość nigdy nie było ani nie będzie korporacją.

Dużo się zmieniło w czasie tych kilkunastu kampanii z perspektywy ich prowadzenia?

Sporo. Kiedyś kampanie opierały się tylko na billboardach czy plakatach. Dziś plakatów nie ma tyle, ile wcześniej.

Dlaczego?

Zbyt duża liczba plakatów powoduje, że kandydat kojarzy się z proszkiem do prania albo nową pralką. Bardzo dużo zyskał natomiast internet.

Jak mocno?

Internet w tej chwili to już prawie połowa wyniku wyborczego. Rzecz jasna kampania w terenie nigdy się nie zmieni, spotkania z wyborcami, door-to-door, są i będą ważne. Ale dobijamy do tego momentu, gdy internet może przeważać o losach wyborów.

Dlaczego tak się dzieje?

Dzięki temu, co dzieje się w świecie nowych technologii, mało jest już białych plam, gdzie nie ma w Polsce internetu. Niemal każdy ma komórkę, a kolejne pokolenie wchodzące na



Fot. Andrzej Wiktoria

rynek wyborczy jest w internecie od zawsze. I tutaj zaczynamy dyskusję, co przeważa w takiej kampanii internetowej: portale, media społecznościowe czy może jeszcze jakieś inne kanały.

Czyli czas, gdy dwóch spin doktorów wymyślało tematy dla 40 mln Polaków minęły bezpowrotnie?

Kiedyś faktycznie można było to narzucić, ale dziś, jeśli nie trafi się z badaniami, to takie narzucanie nic nie da.

Co badacie?

Wszystko. Reakcje ludzi na obraz lub dźwięk przy konkretnym problemie albo pytamy, co ich denerwuje, o czym nie chcą słuchać.

Powie ktoś, że to wypaczenie demokracji, że po takich badaniach mówicie ludziom tylko to, co chcą usłyszeć.

Ale na tym chyba polega demokracja – jeśli Polacy czegoś oczekują i można to zrealizować tak, by była z tego dla nich korzyść, a państwo na tym nie straci, to dlaczego tego nie robić?

To jasne, bo to demokracja. Pytam o strachy czy zagrożenia, które**gdzie się w społeczeństwie tłą, a które nie są oparte na realnych przesłankach.**

Po takich badaniach można te strachy zniwelować albo w ogóle wykluczyć. Te badania są również po to, by tak reagować.

Nie czujecie się po takich badaniach jak władcy umysłów i dusz?

A skąd. [Śmiech] Polacy są na tyle przekorni, że żadne badanie nie wytłumaczy złożoności reakcji naszego społeczeństwa.

Pan wychodzi dziś z cienia po tych kilkunastu kampaniach na zaplecze i sam startuje do Sejmu. Ma pan ambicje polityczne?

Panie redaktorze, jestem skromnym pracownikiem winnicy partyjnej i nieustannie tak sobie wyobrażam swoją pracę. Mandat poselski byłby dla mnie nowym odcinkiem, gdzie można się sprawdzić. W strukturze partyjnej nic to nie zmieni – jestem, gdzie jestem, i nie planuję zmian. Proszę mi wybaczyć, ale musimy kończyć. Prezes czeka, musimy dopiąć szczegóły kolejnych konwencji i spotkań.



Córka generała chce do Senatu



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Coś się nie zgadza, nie pasuje w stylu i treści rozmów, jakie odbył Robert Mazurek z Moniką Jaruzelską w radiu RMF FM. Dziennikarz, niezrównany w dziedzinie przeprowadzania wywiadów, traktował córkę gen. Wojciecha Jaruzelskiego niezwykle łagodnie, ba, nadzwyczaj ulgowo. Nie zawstydzał krepującymi pytaniami, nie szukał jej niewiedzy, błędów, niekonsekwencji, nie tropił wpadek, jak to zawsze robi na antenie wspomnianego radia. Wreszcie nie poruszył najbardziej oczywistego wątku – jak się wchodzi do polityki z perspektywy córki komunistycznego dyktatora.

Mazurek, który w swoim dorobku ma rozmowy z ortodoksyjnymi komunistami spod znaku Kazimierza Mijala czy rzetelne i bezkompromisowe artykuły o zbrodniach bezpieki, Monikę Jaruzelską potraktował tak wyjątkowo, że w niektórych momentach można odnieść wrażenie, że to Mazurek jest odpytywany: tłumaczy się, że wcale nie chce zmiany nazwy ulicy 17 Stycznia (nadanej na cześć daty wkroczenia komunistycznej armii do Warszawy) i że wcale nie mówił nic o ulicy dla żołnierzy wyklętych (a szkoda).

Trudno napisać inaczej: Robert Mazurek obdarował Monikę Jaruzelską przywilejem łagodności, której nie znaleźli inni jego rozmówcy. Ale redaktor nie jest tu wyjątkiem. Świat polityki jest niezwykle łaskawy dla córki autora stanu wojennego.

TEMAT TABU?

Swoim książkowym debiutem Monika Jaruzelska weszła do świata publicystyki nie tylko modowej – wcześniej zajmowała się właśnie lekkim lifestylem, z domieszką psychologii czy problemów społecznych (publikowała w pismach dla kobiet). Ale nie

Monika Jaruzelska startuje w wyborach parlamentarnych jako kandydatka do Senatu. Z jednej strony prezentuje się jako człowiek kompromisu, zrozumienia dla wszystkich stron politycznego sporu, z drugiej – nie odcina się od dzieł swojego ojca: antysemickiej czystki w wojsku w 1968 r. czy wprowadzenia stanu wojennego. Jak córka generała godzi dwie strony swojego światopoglądu?

będziemy w tej książce śledzić beztrojskiego dzieciństwa z wysokiej półki komunistycznych elit – tych wspomnień jest na polskim rynku wydawniczym całkiem sporo i niewiele się one różnią od siebie. Autorka jednak już na pierwszych stronach stawia sprawę jasno: „Każdy, kto spodziewa się gloryfikacji czy też politycznych uzasadnień, do których winna być zobowiązana córka komunistycznego dyktatora, może poczuć się rozczarowany” – pisze w książce „Towarzyszka panienka”. Jaruzelska zapewnia, że to będzie „opowieść o normalnej rodzinie, choć uwikłanej historycznie”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że komentowanie rozwijającej się kariery politycznej Jaruzelskiej naznaczone jest właśnie pieczęcią „Nie oczekiwać wyjaśnień”.

PIERWSZE KROKI W POLITYCE

Próba zaprzęgnięcia Jaruzelskiej do maszyny politycznej lewicy była przedmiotem rozmów od kilku lat, jednak dopiero jesienią 2018 r. publicystyka modowa stanęła do wyborów – samorządowych w Warszawie. Może liczba ośmiu i pół tysiąca głosów nie jest na skalę stolicy zbyt imponująca, ale Jaruzelska stała się jedyną radną z ramienia SLD. Głośno jednak zrobiło się o niej, gdy w jednym z wywiadów skrytykowała czy może szerzej – nie wyraziła entuzjazmu dla aborcji. „Nie podoba mi się to sformułowanie” – mówiła o aborcji na życzenie i dodawała: „Ale gdybym miała decydować, to zagłosowałabym za tym, że jeżeli kobieta nie chce mieć

dziecka, to ma możliwość usunięcia ciąży. Ale czułabym się z tym niekomfortowo. Bo bym sobie wyobraziła, że za tym idą jakieś tragedie” – komentowała, by wreszcie dodać stwierdzenie, które było policzkiem dla polskiej lewicy: „Dla mnie aborcja po prostu nie jest czymś, co jest OK”.

W wyborach do Senatu Jaruzelska startuje jako kandydatka niezależna – wbrew „paktowi senackiemu” i nadziejom opozycji. SLD jej nie chciał, a sama zainteresowana zasugerowała w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, że nie chciał jej Włodzimierz Czarzasty ze względu na romans z rzeczniczką prasową swojej partii, która eliminuje polityczne rywalki ze swojego otoczenia. Ten cios w czerwonych przydał dobrego samopoczucia nie tylko prawicowym komentatorom, lecz uplasował Jaruzelską jako człowieka pomiędzy lewicą a prawicą. W dodatku córka generała wypowiada się niezwykle łagodnie, taktownie, występuje jako człowiek dialogu, a w jednej rozmowie z RMF FM rozważała, jak pogodzić zwaśnione strony wojny polsko-polskiej. Do roli rozjemcy podchodzi z pokorą, ale gdyby dostała się do parlamentu, to chciałaby „znieść podział na sorty”.

Także w radzie miasta Jaruzelska nie uchodzi za radykała. Choć deklaruje lewicowe poglądy, potrafiła wstrzymać się od głosu przy sprawie Karty LGBT, bo Platforma Obywatelska nie dopuściła radnych do otwartej dyskusji. Mierzi ją zideologizowanie tematów ekologicznych. – Wystąpiłam z konkretnym pomysłem niespieraną się o kwestie

klimatyczne, ale hasła miliona drzew dla Warszawy – wspomina swój rzeczowy postulat w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”. – Chciałam wiedzieć, ile mamy drzew, ile można zasadzić i jak o nie zadbać. Ale właśnie takie dyskusje ideologiczne, które niczego nie wnoszą, potrafią zdominować nawet najprostszy temat – dodaje. Podobnie radna z SLD myślała o połączeniu ekologicznej inicjatywy „Dnia bez mięsa” w szkolnych stołówkach z postnymi piątkami u katolików. Brzmi koncyliacyjnie?

ROZLICZENIE Z PRL

Nie sprzeciwia się nadaniu jednej z warszawskich ulic nazwy Żołnierzy Wykłętych, co znającym historię czytelnikom może zgrzytać – przecież jej ojciec należał do obozu mordującego żołnierzy podziemia niepodległościowego po 1944 r. Jak to pogodzić? – trudno nie zadać takiego pytania. Monika Jaruzelska tygodnikowi „Sieci” odpowiada na to pytanie. – Wychowałam się w otoczeniu, w którym z jednej strony byli ochroniarze mojego ojca, gdzie do niektórych mówiłam „wujku”, a z drugiej – moi znajomi krytycznie nastawieni do PRL, pochodzący z opozycyjnych domów. Musiałam ambiwalencję tego świata jakoś zaabsorbować. To procentuje także dzisiaj, bo potrafię wysłuchać ludzi i poszukać właściwego rozwiązania.

To koncyliacyjne oblicze trudno zakwestionować, bo Jaruzelska różni się od reszty środowiska beneficjentów PRL – nie jest agresywna jak Joanna Senyszyn, nie drwi z konserwatywnych wartości jak Jerzy Wenderlich, nie pudruje PZPR jak Włodzimierz Czarzasty.

No dobrze, ale co ze stanem wojennym? Dziś już wiemy, że o ile w marcu 1981 r. Sowietom mogli być gotowi do interwencji nad Wisłą, o tyle zimną sytuacja była zgola odmienna. Brytyjski historyk Archie Brown twierdzi, że przeciwko sowieckiemu wsparciu militarnemu dla Jaruzelskiego był nawet faktyczny przywódca ZSRS – szef KGB Jurij Andropow, co 10 grudnia 1981 r. miał oświadczyć w wąskim gronie czerwonej wierchuszki.

– Mam tutaj swoje przekonania i wiem, jak ta sytuacja wyglądała od środka – mówi Jaruzelska. – Miałam okazję we wcześniejszych latach obserwować z bliska, jaki np. stosunek mieli radzieccy generałowie do pomysłu wyemancypowania Polski z Układu Warszawskiego. Akurat mój ojciec nie kwestię interwencji radzieckiej stawiał jako powód wprowadzenia stanu wojennego, bo główną sprawą były prob-

W radzie miasta Jaruzelska nie uchodzi za radykała. Choć deklaruje lewicowe poglądy, potrafiła wstrzymać się od głosu przy sprawie Karty LGBT

lemy gospodarcze – tłumaczy. Choć wiedząc, że stan wojenny gospodarce nie pomógł, trudno zapomnieć o innych motywach wyprowadzenia wojska na ulicę. – Wiadomo, że ja, córka generała, mogę się wydawać niewiarygodna w roli jego adwokata, bo obowiązkiem dzieci jest bronić rodziców – mówi z empatią. W swojej pierwszej książce opisała wrażenia z 13 grudnia 1981 r. „To oczywiste, że rodziny internowanych miały nieporównanie gorzej, ale i dla nas był to bardzo trudny czas” – wspomina w „Towarzysze panience”.

ICH PROBLEM CZY NASZ PROBLEM?

Córka Wojciecha Jaruzelskiego nie jest odosobniona w swoich wspomnieniach z PRL – wiele dzieci komunistycznych dygnitarzy pozostawiło swoje wspomnienia – od rozmówców Teresy Toruńskiej z lat 80., przez pojedyncze książki, jak „Syn czerwonego księcia” Antoniego Zambrowskiego, po niedawno wydany zbiór wywiadów Krystyny Naszkowskiej z dziećmi wysoko postawionych komunistów. Wiele jest zbieżności pomiędzy ich oceną dawnej rzeczywistości – wszyscy przekony-

wali, że żyli stosunkowo skromnie (!), byli niechętni rosyjskim komunistom, szukali zrozumienia, byli i są przeciwnikami radykalnych poglądów, wzmożenia nastrojów społecznych. Z ich wypowiedzi bije jakiś umiar i spokój, ale nie towarzyszy temu potępienie konkretnego aspektu życiorysu swoich rodziców. Nikt nie postuluje wyrzeczenia się rodzinnej miłości, choć przecież Antoni Zambrowski, jedno z dzieci aparatczyków PRL, porzucił czerwone standardy, przeszedł na katolicyzm, gorliwie bronił konserwatywnych wartości od 1968 r. aż po swoją śmierć kilka miesięcy temu. Syn Hansa Franka, zarządzającego Generalnym Gubernatorstwem za niemieckiej okupacji, opisywał ojca na dwóch płaszczyznach – opiekuńczego ojca, ale i wojennego zbrodniarza, tymczasem w rozliczeniach z PRL ten proces utknął kilka dekad temu.

Dzieci czerwonej nomenklatury często zapewniają, że ich rodzice nie wiedzieli o skali zbrodni, że były one nadużyciami, a nie regułą ówczesnej rzeczywistości, że sami mieli z nimi niewiele wspólnego. Przypomina to pielgrzymki funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, którzy po uchwaleniu ustawy dezubekizacyjnej przychodzą do Instytutu Pamięi Narodowej, zapewniając, że byli jedynie w administracji bezpieki, kobiety – że były sekretarkami (w randze majora?), a mężczyźni – kierowcami.

Nie można mieć żalu do Jaruzelskiej o to, że jest córką komunistycznego generała. Można żałować, że nie oddziela prawa do osobistych uczuć od twardych faktów, które nie pozostawiają złudzeń co do służalczości generała względem Moskwy. Jej szanse na miejsce w Senacie nie są wielkie (głosy antypisu rozbijają się między nią a kandydatem Koalicji Obywatelskiej), ale to znamienne, że 30 lat po upadku komunizmu do izby wyższej kandyduje bliska rodzina przywódcy tamtego reżimu.

Trzy dekady miałości III RP stworzyły atmosferę polityczną, w której dobrym przepisem na uznanie jest symetryzm i rozdzielanie krytyki po równo na wszystkie strony sporu. A przecież prawda nie leży pośrodku. 



Rozbijamy mur postkomunizmu



**Michał Karnowski rozmawia
z wicepremierem, ministrem
kultury i dziedzictwa
narodowego, szefem Rady
Programowej PiS,
profesorem
Piotrem Glińskim**

Ostatni miesiąc kampanii wyborczej w pełni, a my rozmawiamy w pociągu do Berlina. Nie wolalby pan być w wyborczym tzw. terenie?

Piotr Gliński: W kampanię jestem oczywiście zaangażowany, ale muszę też pamiętać, że jeżeli chodzi o politykę historyczną, to nasz teren rozciąga się poza granice Polski. Jestem współodpowiedzialny za obronę polskiej racji stanu w tej kwestii. Wcześniej w zasadzie takiej polityki poważnie prowadzonej nie było, a jeśli coś tam robiono, to ulegając narracji innych grup interesu i ośrodków. Dlatego jedziemy teraz wraz ze współpracownikami, żeby otworzyć oddział Instytutu Pileckiego i wystawę stałą o obozie do Auschwitz, człowieku, który alarmował świat o niemieckich zbrodniach.

Nie wystarczyłaby wystawa?

Wystawa jest bardzo dobra, nowoczesna, multimedialna, dobrze pokazująca to, że rotmistrz Pilecki był świadkiem i ofiarą barbarzyństwa dokonywanego przez oba totalitaryzmy, niemiecki i sowiecki. Z oboma też aktywnie walczył. Ale nie chodzi tylko o wystawę. W naszych działaniach chodzi o tworzenie instytucji, które będą trwale i konsekwentnie realizowały polską rację stanu, prezentowały prawdę historyczną, kreowały i utrwały ważne dla nas wartości. Oddział Instytutu Pileckiego w Berlinie ma edukować o historii, przedstawiając polski punkt widzenia. Jest świetnie położony, kilkadziesiąt kroków od Bramy Brandenburskiej. Niestety, na świecie niewiele wiadomo nie tylko o rotmistrzu Pileckim, lecz w ogóle o polskich, absolutnie wyjątkowych, doświadczeniach czasu II wojny światowej. Ma to znaczenie dla współczesności, bo dziedzictwo tej wojny do dzisiaj wpływa na kształt, charakter

Fot. Andrzej Skwarczyński

Niestety, na świecie niewiele wiadomo nie tylko o rotmistrzu Pileckim, lecz w ogóle o polskich, absolutnie wyjątkowych, doświadczeniach czasu II wojny światowej. Ma to znaczenie dla współczesności, bo dziedzictwo tej wojny do dzisiaj wpływa na kształt, charakter

oraz problemy naszej wspólnoty narodowej, a także pozycję Polski na świecie.

Również kształt granic z tej wojny wynika.

Oczywiście. Witold Pilecki jest postacią piękną i heroiczną, w tym sensie należy jego postać popularyzować z perspektywy wartości ogólnoludzkich. Ale symbolizuje on także to, co Polska przeżyła w czasie wojny i jakie były tego konsekwencje dla nas. Jego śmierć, strzał w tył głowy, z rąk sowieckich okupantów i ich miejscowych pomocników w 1948 r., fakt, że ciało bohatera – jak wielu innych – celowo zagrzebano w nieznanym miejscu, by go anihilować i zhańbić nawet po śmierci, dobrze pokazuje, z jaką antycywilizacją mieliśmy do czynienia i jak wyglądała Polska po II wojnie światowej.

Powarszawskich obchodach 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej pojawiły się opinie, także w prasie niechętniej Polsce, w Izraelu czy Niemczech, że Polska zaczyna wygrywać tę bitwę o pamięć. Podziela pan premier ten optymistyczny pogląd?

Nie mnie to oceniać. Widzę i obserwuję pewne przejawy zmian, ale to wciąż początek drogi. Zaczęliśmy tę pracę na serio dopiero niespełna cztery lata temu i nie jest to tylko wysiłek państwowy – działają w tym kierunku stowarzyszenia i indywidualnie wielu ludzi dobrej woli. Na pewno z dzisiejszej perspektywy widać znaczenie i wagę deklaracji wspólnej premierów Polski Mateusza Morawieckiego i Izraela Beniamina Netanjahu z czerwca 2018 r. Widać też już skutki odrzucenia tej propagandowej presji, mającej wymusić przyjęcie przez Polaków tzw. pedagogiki wstydu, uznania podrzucanych nam na siłę fałszywych narracji.

Celem kłamstwa byli także sami Polacy, bo dopóki my nie zapomnieliśmy, jak było naprawdę, dopóty manipulatorzy nie mogą ogłaszać pełnego zwycięstwa.

Na pewno też. Stąd ta szaleńcza próba uczynienia z narodu ofiar – narodu sprawców. Rzecz niebywała, ale są

ośrodki, ludzie, instytucje, które w dalszym ciągu próbują to zrealizować. Dla nas najważniejsze jest to, że udało się zbudować pewien system instytucji służących państwu, które odważnie reagują na kłamstwa i pokazują prawdę. Powstają one w poszczególnych ministerstwach, w tym kierowanym przeze mnie (m.in. są to działania Instytutu Pileckiego, ale także wielu innych nowych instytucji; my przede wszystkim budujemy też sieć ok. 30 muzeów wypełniających białe plamy polskiej pamięci), ale to także Instytut Pamięci Narodowej, Polska Fundacja Narodowa, nie przypadkiem tak wyraźnie wzięta ostatnio na celownik.

Stwierdzić, że to wielki sukces, też chyba trudno?

Ten nie popełnia błędów, kto nic nie robi. Ale to jest potrzebne narzędzie. Choćby ostatnio PFN sfinansowała akcję zamieszczenia wkładek przypominających o napaści Hitlera na Polskę w największych gazetach światowych, to ona jest zaangażowana w powstający film o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, to ona wspomogła powstanie anglojęzycznej książki o nim, którą już jest na rynku. A projekt filmu hollywoodzkiego o historii Polski też jest realizowany.

Jakieś szczegóły pan premier może podać?

Mogę powiedzieć tyle, że scenariusz został już zaakceptowany, ruszają przygotowania do produkcji.

Jednocześnie zdarza się słyszeć narzekania części ludzi życzliwych obozowi władzy, że sfera kultury nie jest odpowiednio solidnie traktowana. Ostatnio mówił o tym na łamach „Sieci” także Jerzy Żelnik. Skąd to napięcie? Może z poczucia, że sfera popkultury pozostaje tak odległa od wartości nam bliskich?

Narzekania oczywiście do mnie docierają. Ale musimy rozmawiać o faktach, bo inaczej zwariujemy. Udało mi się zwiększyć finansowanie kultury o ponad 30 proc. (same programy ministra przez cztery lata to 1,5 mld zł dla kultury), zbudować kilkadziesiąt nowych instytucji, pobudzić rynek filmowy, w tym produkcji dotyczących historii. Może

to za mało, może trzeba jeszcze bardziej się starać. Ale też z drugiej strony bardzo często, gdy pytam kogoś, komu czegoś brakuje, czy złożył projekt, czy przygotował działanie, które moglibyśmy wesprzeć, słyszę, że jeszcze nie. Jeśli już mówi pan o słowach wspaniałego Jerzego Żelnika, to on często dzwoni do mnie np. z wołaniem o pomnik Cypriana Kamila Norwida. I ja się z nim zgadzam, że powinien jak najszybciej powstać. Ale czy powstał komitet społeczny budowy? Czy zwrócił się formalnie o wsparcie ze środków publicznych? To co mamy wesprzeć, jaką inicjatywę? Podobnie jest z teatrami – chcacie w nich zmian, startujcie w konkursach na dyrektorów. Nie mówiąc o tym, że większość z nich jest samorządowa. To, co mogę, robię. Ale to nie jest PRL, gdzie minister sterował wszystkim ręcznie. I dobrze, że tak nie jest, jesteśmy w kraju wolnym i demokratycznym.

Wiele jest żalów, że muzeum Polin, finansowane przez polskiego podatnika, nadal realizuje politykę tak mocnego zaangażowania w wiele wątpliwych z punktu widzenia polskiej racji stanu i prawdy historycznej działań.

Muzeum Polin jest prowadzone przez trzy podmioty. Obok MKiDN jest to miasto i Stowarzyszenie ŻIH. Minister nie jest tu wolny w swych decyzjach. Ale publicznie wielokrotnie występowałem przeciwko upolitycznieniu tej instytucji. Podkreślam: nie chodzi tu o samą ekspozycję Polin, bo choć pewnie można ją było zrobić lepiej, to jest ona do zaakceptowania. Skandaliczna była prowadzona tam celowo, tendencyjnie, bieżąca działalność polityczna, sprzeczna ze statutem tej placówki i intencjami jednego z jej głównych inicjatorów, prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Notabene, co jest skandalem, pan prezydent Lech Kaczyński został wygumkowany z przestrzeni tej instytucji.

Łączy pan też zespoły filmowe. Dlaczego? Krzysztof Zanussi twierdzi, że ma powstać coś w rodzaju Moskwy.

Nie bardzo wiem, jak odpowiadać na takie inwektywy. Pan Krzysztof Zanussi

robił – zresztą świetne – filmy w komunizmie, zna historię i wie, że w ten sposób przypisuje demokratycznemu politykowi totalitarne, komunistyczne działanie. To jest obraźliwe. Namawiałbym do miarkowania słów, bo one zostają. A sama decyzja wynika wyłącznie z merytorycznej, spokojnej analizy, jak to do tej pory działało i czy może być lepiej. Po pierwsze, to decyzja podjęta jeszcze w grudniu zeszłego roku, która teraz – zgodnie z procedurami – zaczyna być realizowana. Po drugie, zainspirowana została przez część środowiska filmowego. Przypominam – Kazimierz Kutz rzucił legitymacją Stowarzyszenia Filmowców Polskich, bo nie życzył sobie, żeby owe studia filmowe dysponowały prawami autorskimi do jego filmów, a tak było. Samo środowisko filmowe jest podzielone w tej sprawie. Po trzecie, istotą tej decyzji jest przekonanie, że była to nieuzasadniona, niesprawiedliwa przewaga konkurencyjna tych grup producenckich wobec innych producentów. Nie jest też prawdą, że były to organizmy filmowe zdolne same się utrzymywać i produkować filmy. Zawsze przychodziły po wsparcie do MKiDN czy PISF. I takie wsparcie, wielomilionowe, otrzymał ostatnio i pan Zanussi, i pan Bajon (na „Piłsudskiego” Michała Rosy).

To jest najczęściej podnoszony argument – te zespoły filmowe miały sobie świetnie radzić na rynku.

Niestety, tak nie było. One się utrzymywały z dotacji publicznych i praw do filmów, które były tam produkowane przez całe lata, jeszcze w PRL. A to są filmy produkowane za państwowe, publiczne pieniądze. Nie ma żadnego powodu, żeby o zyskach z nich decydowały wąskie grupy osób, a nie instytucje posiadające demokratyczny mandat wyborców, predystynowane do odpowiedzialności za polską kulturę. Inaczej możemy mówić o swoistej prywatyzacji tych zasobów. Były zresztą przypadki, że z dumą ogłaszano, iż licencje na pakiety tych filmów sprzedano stacji komercyjnej, bo oferent publiczny

proponował mniej. Takie myślenie odrzucam. Jestem odpowiedzialny za majątek państwowy i dobro publiczne. A w interesie polskiego państwa jest wspieranie podmiotów publicznych.

Co ma powstać w zamian?

Te zespoły były za małe, by podjąć większe wyzwania. A my chcemy mieć wytwórnę, tak, państwową, która będzie zdolna do realizacji dużych produkcji, mogących konkurować na świe-

Obóz, który reprezentuję, wybrany demokratycznie, wbrew wielkiemu biznesowi i mediom, oskarżany jest przez oligarchię o zamach na demokrację. Jest dokładnie odwrotnie – realizujemy demokratyczną wolę Polaków, działamy wyłącznie metodami demokratycznymi

cie także o masowego widza. Ale chcę podkreślić: zachowujemy wszystkich pracowników, wszystkich twórców, szefem nowej instytucji jest osoba, która dotychczas kierowała największą złączonych instytucji. Nie jest to zatem rewolucja tak duża, jak to się opisuje. Raczej szukanie usprawnienia.

„Legiony” pan premier już widział?

Nie, premiera odbywa się dzisiaj, a my właśnie jedziemy do Berlina. Obejrzę najszybciej, jak będę mógł. Ale podkreślam: i „Legiony”, i „Kurier”, i film „Piłsudski”, i serial o młodym Piłsudskim powstały dzięki finansowaniu przez MKiDN. To tak à propos stwierdzić, że mało się w kulturze zmieniło. Powtórzę: powstało 30 nowych muzeów, produkujemy obecnie ok. 40 filmów historycznych, budujemy Muzeum Historii Polski, ogromną

inwestycję, potwornie trudną. A musieliśmy i nadal musimy sprzątać po poprzednikach, którzy zostawili to niesamowicie zabałaganione. Nie było projektu, przygotowanego miejsca, nic. Przelamujemy to i w listopadzie będzie już gotowy stan surowy inwestycji na Cytadeli. Wyprowadziliśmy z kryzysu budowę Muzeum Piłsudskiego, też wielkiej placówki, tylko dwa razy mniejszej niż ta na Cytadeli.

Bardzo mnie ucieszyło, że udało się odzyskać dla sprawy polskiej teren Westerplatte. Ale awantura była straszna.

Decyzja, że trzeba to miejsce godnie zagospodarować, została podjęta w pierwszych dniach naszych rządów. Powołałem wtedy Muzeum Zbrodni w Piaśnicy i Muzeum Westerplatte. W tym ostatnim przypadku samorząd gdański – mimo naszych propozycji – niestety nie chciał poważnie współpracować. Przypomnę, że powołaliśmy także Instytut Dziedzictwa Solidarności, bo mamy niestety do czynienia z zawłaszczeniem dziedzictwa Solidarności przez jedną wąską grupę polityczną. Tak się dzieje w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku. NSZZ „Solidarność” też się stamtąd wycofał...

Trwa tam teraz „tydzień demokracji”.

To, co tam się dzieje, jest swoistą próbą pieriekowki dusz. Zmiany znaczeń słów, zmiany ludzkiej pamięci, zmiany historii, próby ulepienia Polaka na nowo. Jestem z pokolenia Solidarności i moja Solidarność nie walczyła o coś takiego jak ECS; moja Solidarność jest w pobliskiej Sali BHP...

Obóz, który reprezentuję, wybrany demokratycznie, wbrew wielkiemu biznesowi i mediom, oskarżany jest przez oligarchię o zamach na demokrację. Jest dokładnie odwrotnie – realizujemy demokratyczną wolę Polaków, działamy wyłącznie metodami demokratycznymi i nigdy po inne nie sięgnęliśmy ani nie sięgniemy. Przypomnę, że kiedy w 2014 r. wynik wyborów samorządowych został ewidentnie zafałszowany, nie poszliśmy na żadną awanturę uliczną, zagryźliśmy

zęby i dalej ciężko pracowaliśmy. Bo jesteśmy demokratami. I to była świadoma i odpowiedzialna decyzja naszego szefa – Jarosława Kaczyńskiego.

Po czterech latach poparcie dla obozu Jarosława Kaczyńskiego przekracza 40 proc. Wybory dopiero 13 października, ale generalnie mandat z 2015 r. nie został zmarnowany. Co z pana perspektywy było tu najważniejsze?

To jest kwestia naszej wiarygodności, dotrzymania słowa i tego, żeby to dotarło do ludzi. Jeżeli niezafałszowana informacja dochodzi do adresata i jest dobra, to powinna zmieniać zachowania, wpływać na ludzkie postawy. I to nam się udało. Nie wszędzie oczywiście, bo propaganda treści przeciwnych wciąż jest silna i trwa od kilkudziesięciu lat – tyle czasu wdrażane są tezy przeciwne temu, co my głosimy i robimy. System Tuska opierał się przecież właśnie na monopolu medialnym. W wielu miejscach udało się go przełamać dzięki powstałym mediom niezależnym, ale też dzięki bezpośrednim spotkaniom, bo tutaj proponowaliśmy rewolucję. Wszyscy to zresztą próbują dzisiaj kopiować.

System medialny III RP zachował jednak zdolność wytwarzania skokowych wzrostów napięcia, zwykle na wątłych lub żadnych podstawach.

Wiem o tym i zapewne przed wyborami taki atak „paniki moralnej” zostanie jeszcze nieraz przeprowadzony. Trzeba to przetrzymać, konsekwentnie odkręcać kłamstwa i robić swoje. Każde wykonane zadanie, każde zrealizowane przedsięwzięcie służące Polsce to kolejne uderzenie tarana rozwalającego mur postkomunizmu. Tak w każdym razie myślę o swojej pracy od dnia, kiedy prezes Jarosław Kaczyński zaproponował mi dołączenie do tej ekipy.

Ciekawa była rzucona ostatnio przez prezesa Kaczyńskiego uwaga, że te lata po 2015 r. udowodniły,

że są jednak w Polsce inne elity, zdolne wziąć skutecznie i lepiej niż poprzednie odpowiedzialność za państwo.

One się też wytwarzały – wokół Kongresu Polska Wielki Projekt, w stowarzyszeniach studenckich, naszej partii i środowiskach z nią związanych, w wielu inicjatywach powstałych po 10 kwietnia 2010 r. Ci ludzie dzisiaj pracują dla Polski w licznych instytucjach. Stąd wściekłość części naszych przeciwników. Widzą to i wiedzą, że nowe instytucje i nowi ludzie to praw-

System Tuska opierał się na monopolu medialnym. W wielu miejscach udało się go przełamać dzięki powstałym mediom niezależnym, ale też dzięki bezpośrednim spotkaniom, bo tutaj proponowaliśmy rewolucję. Wszyscy to zresztą próbują dzisiaj kopiować

dziwy koniec systemu postkomunistycznego. A w każdym razie, że tak rzeczywiście może być. Oczywiście, że to jest wciąż walka niedokończona.

Totalna opozycja może wygrać? Ostatnio proponuje ugodową Małgorzatę Kidawę-Błońską i chce rozmawiać z Polakami o sprawach zwykłych ludzi.

Zwykle na chwilę, bo zaraz wraca do języka totalności i – niestety – pogardy. To tylko maska, trik wizerunkowy. Nie ma w tym żadnej propozycji mającej jakąś wiarygodność.

Chcą podobno skończyć z wojną polsko-polską.

Nie ma na to lepszego sposobu niż zaczęcie od siebie. Cztery lata obrażali, grozili, rzucali inwektywy, o mnie

mówiono, że dokonuję czystek stalinowskich i podobne bzdury.

Wynik wyborów jest już rozstrzygnięty?

W polityce nic nigdy nie jest rozstrzygnięte. Ale jeżeli wyborcy tak zdecydują, rzeczywiście będziemy mieć szansę, by kontynuować pracę dla Polski. Co jest zresztą olbrzymią odpowiedzialnością. Myślę o sobie, że gdybyśmy wygrali wybory, to po naszej stronie też jest konieczność dokonania jakiegoś nowego otwarcia. Z jednej strony będącego kontynuacją: trzeba pomyśleć o jeszcze dalszej perspektywie, trzeba zacząć planować z jeszcze większą odwagą i rozmachem. Ale trzeba też pomyśleć o naszej wspólnocie, porozumieniu, o tych, którzy na nas nie głoszą...

Obecny program jest zmianą cywilizacyjną dla Polski. Pierwszy krok to było wyprowadzenie milionów Polaków z beznadziei. Danie nam wszystkim szansy na godność.

Ich spolityzowanie, wciągnięcie do życia politycznego. Choć pytanie, czy to zadziała.

Na tym polega nasza kampania, to nasze zadanie. Każdy musi wiedzieć, że to wszystko nie jest oczywiste, że to może być zniszczone i zabrane. Polskie państwo dobrobytu to jest oferta PiS, wiarygodna, poparta dotychczasowymi działaniami. Po drugiej stronie jest to, co wszyscy znają z poprzednich lat.

Widzi pan siebie w rządzie na tym samym stanowisku w kolejnej kadencji?

Za wcześniej jest na deklaracje, ale jeżeli taka będzie decyzja wyborców i naszego środowiska politycznego, jest kilka spraw, które chciałbym kontynuować. Jednak nie zależy to tylko ode mnie. Zależy przede wszystkim od wyniku wyborów, a ten z kolei wynikać będzie z poziomu naszej mobilizacji. Dlatego proszę każdego, żeby poszedł do wyborów i zachęcał wszystkich dookoła. Tu naprawdę rozstrzygnie się przyszłość naszej ojczyzny w bardzo wielu wymiarach. Musimy Polskę obronić.



XI FESTIWAL FILMOWY NNW

NIEPOKORNI NIEZŁOMNI WYKLĘCI

1939-1989 PRZYWRACAMY PAMIĘĆ

26-29.09
2019/GDYNIA

XI



1918-2018

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania Niepodległości

ORGANIZATORZY



PARTNERZY GŁÓWNI



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW

MINISTERSTWA KULTURY

I ODDZIAŁU KULTURY

W GOSPODARSTWIE

NARODOWYM

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW

W RAMACH PROGRAMU

MINISTERSTWA KULTURY

I ODDZIAŁU KULTURY

W GOSPODARSTWIE

SPONSORZY



PARTNERZY INSTYTUCJONALNI



PATRONI MIEDZALNI



eprasa.pl eb21353739

Mity lobby gejowskiego



Dlaczego działacze spod znaku sześciobarwnej tęczy twierdzą, że istnieje gen homoseksualizmu, a geje i lesbijki stanowią 10 proc. społeczeństwa?



GRZEGORZ GÓRNY

Niedawno w programie „Strefa starcia” na antenie TVP Info czołowa działaczka SLD Joanna Senyszyn stwierdziła, że 10 proc. polskiego społeczeństwa stanowią homoseksualiści. Żadne znane badania nie potwierdzają jednak tezy, jakoby w naszym kraju żyło ponad 3,8 mln gejów i lesbijek. Gdyby przyjąć taki wariant, oznaczałoby to, że w Stanach Zjednoczonych musi być ich ponad 32 mln. Tymczasem najbardziej wiarygodne statystyki podają, że osób o skłonnościach homoseksualnych jest (w zależności od danego państwa) 1–2 proc., przy czym ok. 30–40 proc. z nich stanowią biseksualiści. Skąd więc wzięły się tak zawyżone liczby jak w wypowiedzi Joanny Senyszyn?

Fot. Shutterstock

AUTORYTET WIELKICH LICZB

Wydaje się, że ich źródeł należy szukać w osławionej książce „Zachowanie seksualne mężczyzny” (Sexual Behavior in the Human Male) z 1948 r., zwanej potocznie raportem Kinseya. Jej autor, amerykański entomolog, powołując się na własne badania, napisał, że ok. 37 proc. białych mężczyzn w USA miało za sobą stosunki homoseksualne. Jego publikacja szybko zdobyła za oceanem tak wielką popularność, że okrzyknięto ją nawet „biblią rewolucji seksualnej”.

Po latach okazało się, że Alfred Kinsey, który sam był seksualnym dewiantem, prowadził swoje badania na nie-reprezentatywnej próbie społecznej. Po pierwsze, były to niewielkie grupy, liczące zaledwie 71, 68 lub 59 osób, których zachowania rozciągał on później na całą populację Stanów Zjednoczonych. Po drugie, wśród badanych przeważali przestępcy seksualni, więźniowie, prostytutki i osoby z gejowskiego półświatka. Tylko w ten sposób można było uzyskać wyniki mówiące, że aż 95 proc. dorosłych Amerykanów ma za sobą „nieheteronor-

matywne” akty płciowe. Liczba 37 proc. okazała się nie do utrzymania, jednak w środowiskach LGBTQ rozpowszechniła się narracja mówiąca o 10 proc. homoseksualistów. To zawyżanie rzeczywistych danych jest zgodne ze strategią środowisk gejowskich opublikowaną w 1987 r. w słynnym już manifestie „Wyprzedzanie heteroseksualnej Ameryki” (The Overhauling of Straight America) napisanym przez dwóch autorów spod znaku sześciobarwnej tęczy: Marshalla Kirka i Huntera Madsena (ps. Erastes Pill). Stworzyli oni swoisty instruktaż, jak postępować, by oswoić społeczeństwo USA z orientacją homoseksualną, tak by uznało ją ono za normę. Nakreślony wówczas scenariusz jest z zadziwiającą precyzją realizowany do dzisiaj i przynosi sukcesy na całym Zachodzie.

Jednym z zaleceń było mówienie o gejach i lesbijkach jak najgłośniejszy i jak najczęściej po to, by stworzyć wrażenie, że kwestia homoseksualizmu jest ważna dla dużej części społeczeństwa. Temu służyło również zawyżanie statystyk dotyczących liczebności tej grupy. Dzięki temu przestawała być ona traktowana

jako znikoma część populacji, a stawiała się pokąźnym odłamem ludzkości. Automatycznie rosło więc jej znaczenie w odbiorze społecznym.

POSZUKIWANY GEN HOMOSEKSUALIZMU

Drugą tezę szczególnie rozpowszechnianą przez środowiska gejowskie jest twierdzenie, jakoby homoseksualizm był zjawiskiem wrodzonym, dziedzicznym, uwarunkowanym genetycznie lub hormonalnie. Nie potwierdzają tego jednak żadne badania naukowe. Skąd wzięło się zatem to przekonanie, które przedstawiane jest niekiedy wręcz jako oczywista oczywistość?

Otóż co jakiś czas światowe media obiegają sensacyjne wiadomości, że oto właśnie odkryto gen homoseksualizmu. Za każdym razem okazuje się to jednak nieprawdą. Ani jedna z nagłaśnianych informacji o rzekomych odkryciach biologicznych źródeł homoseksualizmu nie okazała się prawdziwa.

Tak było np. z pracą Simona LeVaya, który ogłosił, że za zachowania homoseksualne odpowiedzialna jest grupa neuronów o nazwie INAH3 znajdująca się w podwzgórzu mózgowym. Późniejsze badania dowiodły, że naukowiec się mylił, do czego zresztą sam po trzech latach się przyznał, mówiąc: „Nie dowiodłem, że homoseksualizm jest uwarunkowany genetycznie ani nie znalazłem genetycznych przyczyn bycia gejem. Nie wykazałem, że geje są gejami od urodzenia”.

Podobnie stało się z tezą Johna M. Baileya i Richarda Pillarda głoszącą istnienie genu odpowiedzialnego za zachowania homoseksualne. Okazało się, że czynnik genetyczny nie może determinować zachowań seksualnych, co potwierdziły badania nad wieloma parami bliźniąt jednojajowych. Choć posiadały one identyczny zestaw genów, to jednak niektóre z nich różniły się orientacją seksualną. Pod wpływem tej krytyki jeden ze wspomnianych naukowców – John M. Bailey, przyznał, że nie da się wyjaśnić zjawiska homoseksualizmu wśród bliźniąt inaczej niż przez wpływ otoczenia.

Negatywnie zweryfikowana przez naukowców została również teoria Deana Hamera, który twierdził, że źródłem homoseksualizmu jest szczególna sekwencja genetyczna wewnątrz chromosomu Xq28. Badania kanadyjskich uczonych obaliły jednak tę hipotezę, a sam Hamer po pięciu latach zmuszony był przyznać, że „te geny nie powodują, iż ludzie stają się homoseksualni”.

Wszystkie te rzekome odkrycia, nagłaśniane przez media niemal jak naukowe pewniki, łączyło kilka elementów. Po pierwsze, ich autorzy (Simon LeVay, John M. Bailey, Dean Hamer) byli zde-

Twierdzenia, jakoby homoseksualizm był zjawiskiem wrodzonym, dziedzicznym, uwarunkowanym genetycznie lub hormonalnie nie potwierdziły żadne badania naukowe

klarowanymi homoseksualistami. Po drugie, ich tezy szybko i skwapliwie były podchwytywane i rozpowszechniane przez lobby gejowskie. Po trzecie, utrwały one w opinii publicznej obraz homoseksualizmu jako zjawiska zdeteminowanego przez czynniki biologiczne. Podobnie było zresztą z tezami Laury Allen i Roberta Gorskiego, utrzymującymi, że za tego rodzaju skłonności odpowiada spoidło przednie, czyli wiązka włókien nerwowych łączących płaty czołowe mózgu. Także ta teoria została później przez badaczy obalona.

Ostatni cios wspomnianej narracji zadało renomowane amerykańskie czasopismo naukowe „Science”, które opublikowało niedawno wyniki badań przeprowadzonych na genetycznej próbie 470 tys. osób przez zespół ekspertów z Massachusetts Institute of Technology w Bostonie we współpracy ze specjalistami z Uniwersytetu Harvarda. Dowiedli oni, że nie istnieje coś takiego

jak gen homoseksualizmu, skłonności homoseksualne związane są z oddziaływaniem środowiska oraz kultury, wpływ zaś genów na takie zachowania szacują jako jednoprocentowy.

POZA KRYTYKĄ, POZA DYSKUSJĄ

W tej sytuacji rodzi się pytanie: dlaczego środowiska gejowskie, wbrew faktom, nadal uporczywie utrzymują, że homoseksualizm ma charakter wrodzony? Dlaczego wciąż głoszą, że jest on uwarunkowany biologicznie, a nie środowiskowo? Dlaczego twierdzą, że jego źródła należy szukać w genach lub hormonach, a nie w procesie dojrzewania i wychowania?

Odpowiedź wydaje się prosta. Jeśli orientacja homoseksualna nie jest wrodzona, lecz nabyta, wówczas osoba o tego typu skłonnościach może próbować zmienić swoje seksualne preferencje, a więc poddać się terapii. Uznanie zaś homoseksualizmu za zjawisko zdeteminowane biologicznie ma – poza odrzuceniem możliwości terapii – jeszcze jeden, o wiele dalej idący, skutek. Otóż stawia ono tę orientację seksualną nie tylko poza wszelką krytyką, ale nawet poza jakąkolwiek dyskusją. Nie można bowiem kryty-

kować kogoś z powodu tych składników jego tożsamości, które nie są wybierane, lecz przyrodzone. Można krytykować kogoś za światopogląd, preferencje czy zachowania, które nie są wrodzone, ale nie można za plec czy kolor skóry. Kiedy więc geje mówią: „Tacy się urodziliśmy” lub „Bóg nas takimi stworzył”, to w rzeczywistości stawiają się poza jakimikolwiek sądami wartościującymi.

Gdyby tak miało być rzeczywiście, wówczas sugestie pod adresem homoseksualistów, że mogą zmienić swój styl życia, byłyby równoznaczne z rasistowskimi apelami do czarnoskórych, żeby się wybielili. Wówczas też obowiązujące nauczanie Kościoła na temat homoseksualizmu byłoby nieludzkie jako gwałt zadany naturze. Dlatego właśnie środowiska gejowskie tak mocno wdrukowują w świadomość społeczną przeświadczenie, jakoby tacy się urodzili i nie mają wpływu na wybór swej tożsamości. Nauka pokazuje jednak, że jest inaczej. 

Złodziejstwo przestało się w Polsce opłacać

Po wprowadzeniu rozwiązań prawnych, które pozwoliły na kontrolę i monitorowanie rynku paliwowego, do Polski przestały wjeżdżać cysterny z lewym paliwem, a sprzedaż paliw w polskich rafineriach natychmiast wzrosła – w Lotosie o 20 proc., a w Orlenie o 38 proc.

Z Maciejem Wąsikiem,
zastępcą koordynatora służb specjalnych,
rozmawia Wojciech Biedroń



Nie ma tygodnia, by Centralne Biuro Antykorupcyjne nie zatrzymywało kolejnych oszustów i łapowników. Czy w Polsce nadal opłaca się kraść?

Maciej Wąsik: Wysyłamy jednoznaczny sygnał, że złodziejstwo przestało się w Polsce opłacać. Wykrywalność przestępstw korupcyjnych wzrasta, a Centralne Biuro Antykorupcyjne działa z pełną konsekwencją, nie patrząc, czy dana osoba jest z tego, czy innego rozdania politycznego. Do tego dochodzi nieuchronność surowej kary, która jest w tym przypadku elementem odstraszającym. Mamy jednak świadomość, że nielegalne, ale łatwe i duże pieniądze będą kusić wiele osób.

A może jest tak, że ciągle wielu ludzi w Polsce pozostaje bezkarnych? Głośny jest przypadek mecenasa Roberta N., jednego z głównych rozgrywających w dzikiej warszawskiej reprzywatyzacji, który decyduje

swoich kolegów z Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie znów jest czynnym adwokatem. Takich osób jest więcej.

Jestem rozczarowany tą decyzją. Wydawało się przecież, że środowisko adwokackie, po uwolnieniu zawodów prawniczych, zadbało o prestiż profesji. Taka decyzja nie buduje zaufania do adwokatury, wręcz niweczy jej wiarygodność. Do głosu powinny dojść tu środowiska, które rozumieją, że to niezwykle szkodliwe dla zaufania do palestry. Wobec Roberta N. skierowano poważny akt oskarżenia. Ignorowanie go rzutuje na całe środowisko.

W aferę reprzywatyzacyjną zamieszany jest także były dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej, który współpracował w przestępczym procederze m.in. z Robertem N.

Niestety tak. Afera reprzywatyzacyjna to także afery niektórych warszaw-

skich adwokatów i środowisk prawniczych. To rzuca nieciekawe światło na sporą część warszawskiej palestry.

Wyjaśnienie największych afer rządów PO-PSL nie mogłoby się odbyć bez pracy funkcjonariuszy CBA oraz innych służb specjalnych. Wskazują na to raporty komisji śledczych ds. VAT, Amber Gold oraz Komisji Weryfikacyjnej. Ma pan poczucie satysfakcji?

Oczywiście wyjaśnianie afer z poprzednich lat jest ważne, ale ja mam ogromną satysfakcję przede wszystkim, gdy widzę dochody budżetu państwa i gdy widzę tam ogromne, dodatkowe wpływy z podatków, i to bez ich podnoszenia. Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że jest to wynik wielu czynników. Mam tu na myśli działania prokuratury, zaostrzenie niektórych przepisów Kodeksu karnego, uszczelnienie przepisów dotyczących samego

podatku VAT. W Ministerstwie Finansów i urzędach skarbowych panuje zupełnie nowy duch. Warto też pamiętać o powołaniu Krajowej Administracji Skarbowej (KAS), czyli wyspecjalizowanej służby do ścigania przestępstw podatkowych. Intensywnie pracują także policja, CBA i ABW, które mają tu ogromne zasługi. Można śmiało powiedzieć, że programy społeczne są finansowane niemal w całości z uszczelnienia podatku VAT i lepszegością pozostałych podatków.

Służby na straży skarbu państwa?

Kiedy 31 lipca 2016 r. wprowadziliśmy pakiet paliwowy, czyli rozwiązania prawne, które pozwoliły na kontrolę i monitoring rynku paliwowego, do Polski przestały wjeżdżać cysterny z lewym paliwem. Po wprowadzeniu tych rozwiązań sprzedaż paliw w polskich rafineriach natychmiast wzrosła – w Lotosie o 20 proc., a w Orleniu o 38 proc. To są olbrzymie przedsięwzięcia, w których wzrost sprze-

daży o 3 proc. jest uważany za sukces. W ciągu miesiąca udało się osiągnąć taki skokowy wzrost.

Zyskują też polskie koncerny paliwowe.

Stacje, które zaopatrywały się np. w nielegalne tańsze paliwo, zostały od niego odcięte. Zwróćmy też uwagę na wzrost zysków polskich potentatów paliwowych. Zysk Orlenu został wielokrotniony w ciągu ostatnich kilku lat. Wzrosty są liczone w dziesiątkach miliardów złotych. Wystarczyły nie- zbyt skomplikowane, ale konsekwentne działania na wielu polach, rozwiązania ustawowe i nowy duch, który najpierw minister Paweł Szalamacha, a potem premier Mateusz Morawiecki tchnęli w urzędników, a minister Mariusz Kamiński w służby.

Czy udało się ostatecznie wygrać z mafią?

Luka VAT maleje z roku na rok, choć wciąż istnieje. W Europie jesteśmy

pokazywani jako wzór w uszczelnianiu systemu podatkowego. Ogromne transfery społeczne nakręcają koniunkturę, pomimo zadyszki koniunktury na Zachodzie. Jest jeszcze jedna kwestia, która mnie niezwykle i osobiście cieszy. Według Eurostatu polskie bezrobocie wynosi 3,2 proc. W zasadzie udało je się zlikwidować. To było zjawisko, które nas upokarzało, tworzyło ogromne obszary biedy, demoralizowało społeczeństwo. Dziś jest jednym z najniższych w Europie.

O tej nowej filozofii, pokonaniu niemocy państwa znanej z afer III RP mówił zawsze Jarosław Kaczyński.

To jego zamysł stanowił fundament dla zmian, które konsekwentnie wprowadzamy. Tu widać największą siłę lidera Zjednoczonej Prawicy. Chodzi o wiarygodność, która stanowi filar naszych sukcesów.

Media podały, że Jarosław Kaczyński zbiera różne informacje.

REKLAMA



Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 04-06 2019, audytoryum średniego kwadransu (kwadrans z audycją), dni powszednie.

ROBERT MAZUREK – zapraszam o 8:02

PORANNA ROZMOWA NR 1

W jednym z tabloidów prezes dał się sfotografować przy tajemniczych tęczkach.

Jarosław Kaczyński to człowiek, do którego piszą tysiące ludzi, często potrzebujących wsparcia i pomocy. Nigdy się nie zdarzyło, by prezes pozostał głuchy na takie prośby. Przekazuje też wszelkie informacje na temat możliwych nieprawidłowości w różnych dziedzinach naszego państwa. To ewenement w polskim życiu publicznym.

A porażki służb? Czego nie udało się zrobić?

Reorganizacja służb, nowi ludzie na dany rozpędu tym instytucjom. Oczywiście można się dopatrzeć minusów. Nie popełnia błędów tylko ten, który nic nie robi.

Pytam o te porażki nie bez przyczyny. Wojewódzki Sąd Administracyjny bowiem uznał, że wbrew decyzji Urzędu ds. Cudzoziemców Ludmiła Kozłowska, szefowa Fundacji Otwarty Dialog, ma prawo do pobytu w Polsce. Służby konsekwentnie się temu sprzeciwiały.

Sprawa jeszcze nie została ostatecznie rozstrzygnięta. Nie wydano ponownej decyzji. Moja ocena tej sprawy jest jednoznaczna. Gdyby, tak jak wskazał sąd, były jednoznaczne dowody, to sprawą zajmowałby się prokurator. My pokazaliśmy wiele informacji i poszlak, które wskazują, że pani Ludmiła Kozłowska nie powinna mieć prawa do przebywania ani w Polsce, ani na terenie Unii Europejskiej.

Ale decyzję sądu musicie uszanować.

Oczywiście, że tak, ale z tą decyzją diametralnie się nie zgadzam. Myślę, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego będzie przekonywała wymiar sprawiedliwości, iż ta decyzja powzięta przez Urząd ds. Cudzoziemców, na podstawie materiałów służb, nie była prawidłowa.

Ludmiła Kozłowska oraz jej fundacja są ważnym elementem szerokiej układanki opozycyjnej. Dziś opo-

zycja nie cofa się przed niczym, by pokonać Zjednoczoną Prawicę. Czy twarzą opozycji są dzisiaj nienawiść i działania ludzi związanych z #SilniRazem?

Niestety, wiele na to wskazuje. Mam takie wrażenie, słuchając niektórych wypowiedzi polityków Koalicji Obywatelskiej. Proszę zauważyć, że te wypowiedzi stoją w zupełnej sprzeczności z tym, o czym mówi desygnowana na premiera Małgorzata Kidawa-Błońska. Widać, że „ciągnie wilka do lasu”, a KO nie potrafi się przestawić na politykę miłości. Każdy, kto chce zweryfikować moje słowa, niech zobaczy, co kryje się w internecie pod hasłem #SilniRazem, jakie komen-

Ludmiła Kozłowska nie powinna mieć prawa do przebywania ani w Polsce, ani na terenie Unii Europejskiej

tarze są umieszczane w mediach społecznościowych. Sam doświadczam tych brutalnych ataków jako polityk startujący w nadchodzących wyborach. Moje banery na północnym Mazowszu są regularnie niszczone, dopisywane są na nich wulgaryzmy. To jest właśnie efekt czterech lat działań totalnej opozycji i używania języka agresji. W tym brylują niektórzy posłowie KO, tacy jak Brejza, Nitras czy Szczerba.

Posel Krzysztof Brejza jest dziś szefem kampanii wyborczej KO, którego podejrzewa się o stworzenie specjalnej komórki hejterskiej w inowrocławskim magistracie.

Rzeczywiście, doniesienia medialne wskazują na to, że poseł Brejza mógł za publiczne pieniądze prowadzić farmę trolli. Publikowane są relacje osób z Inowrocławia, które ten niezwykle wulgarny, wchodzący w życie prywatne hejt, opisują bardzo dokładnie.

Z kolei panu zarzuca się ukrywanie pod fikcyjnym kontem na Twitterze.

Ktoś najwyraźniej mierzy innych swoją miarą. Ja korzystam z mediów społecznościowych i zawsze piszę wszystko pod swoim nazwiskiem. Nie mam z tym najmniejszego problemu.

A może to służby specjalne powinny dziś tropić internetowy hejt i szukać jego źródeł operacyjne?

Służby oczywiście monitorują to, co dzieje się w internecie, ale tylko pod kątem swoich zadań. Monitorują choćby to, w jaki sposób służby specjalne innych krajów próbują ingerować w nasze życie publiczne. Często to obce służby stoją za publikacjami nieprawdziwych informacji w polskojęzycznych mediach. Dotyczy to kluczowych dla Polski tematów, np. projektów energetycznych czy stacjonowania wojsk amerykańskich. Mamy obraz tej sytuacji i staramy się temu przeciwdziałać. Widać tu różnego typu wpływy służb.

Zapachniało Kremlem.

To pan tak to nazwał, ale pewnie tak właśnie jest.

Przez ostatnie cztery lata służby wielokrotnie zatrzymywały osoby podejrzewane o działalność agenturalną lub zajmujące się lobbieniem i rozpowszechnianiem nieprawdziwych informacji. Czy mamy do czynienia z dobrze zorganizowaną akcją dezinformacyjną?

Widać próby tego typu działań. Pojawiają się różne zjawiska, jak choćby powstawanie egzotycznych farm trolli. W każdym kraju, w którym pojawia się ostry spór, zjawia się tzw. trzecia ręka ze wschodniego kierunku, która ten konflikt podgrzewa. Tak było np. w przypadku referendum o autonomii Katalonii i nie tylko.

Jesteśmy bezpieczni?

Jesteśmy krajem bezpiecznym, poziom poczucia bezpieczeństwa rośnie. To też powód do dobrej satysfakcji. Jednak nie oznacza to, że nie ma wyzwań w tym zakresie. Na pewno nie można spocząć na laurach. Nie popełnimy takiego błędu.



Z kamerą w obleżonej Warszawie

Mój tata nie przechwalał się tym, co w życiu zrobił, co osiągnął, jakie znane zdjęcia wykonał. To raczej ludzie w Polsce powiedzieli mi, że Julien Bryan był kimś wyjątkowym. To są chwile naprawdę szczególne, zwłaszcza gdy mówią bohaterowie jego zdjęć

Jacek Karnowski rozmawia z *Samem Bryanem*, synem Juliana, amerykańskiego korespondenta w obleżonej Warszawie, szefem Międzynarodowej Fundacji Filmowej – Archiwum Filmowego Juliana Bryana

Czy jako dziecko miał pan świadomość, że pana ojciec Julien Bryan zapisał się w historii Polski w sposób szczególnie i rzeczywiście znaczący, dokumentując podczas II wojny światowej zarówno naszą wielką narodową tragedię, jak i nasz heroizm?

Sam Bryan: Zrozumiałem to dopiero w 1974 r., gdy pierwszy raz byłem w Polsce, towarzysząc ojcu w jego wizycie, oraz w 2009 r., gdy przyjecha-

łem tu ponownie, już oczywiście bez niego. Mój tata nie przechwalał się tym, co w życiu zrobił, co osiągnął, jakie znane zdjęcia wykonał. To raczej ludzie w Polsce powiedzieli mi, że Julien Bryan był kimś wyjątkowym. To są chwile naprawdę szczególne, zwłaszcza gdy mówią bohaterowie jego zdjęć. Kilka dni temu spotkałem się z Kazimierą Miką, czyli dziewczynką, która na jednym z najbardziej znanych zdjęć ojca oplakuje swoją sio-

strę zabłądaną przez niemieckiego pilota. Nasze spotkanie odbyło się dokładnie 80 lat po tamtej tragedii, do której doszło 14 września 1939 r. Co ważne – przy grobie jej siostry. Opowieść pani Kazimieri o tym, co pamięta, co czuła wówczas i co czuje dziś, była czymś wspaniałym. Był z nami także Zygmunt Aksienow, bohater zdjęcia przedstawiającego chłopca z kanarkiem, również powszechnie znanego. To także bardzo energiczny człowiek.

W dziejach Polski zawsze będzie kimś więcej niż tylko fotografem czy reporterem. Mój kolega, też dziennikarz, gdy usłyszał, że mam przeprowadzić z panem wywiad, rzucił krótko: „Tak, Julien Bryan był bohaterem”.

To jest cudowna sprawa, rozumiem ten pogląd, choć myślę, że mój ojciec, gdyby słyszał takie słowa pod swoim adresem, byłby nieco speszony. Sądzę, że nie uważał się za bohatera, on po prostu z wielką pasją wykonywał swoją pracę. Jestem z niego ogromnie dumny, choć przecież to są jego zasługi, nie moje.

Ale jego postawa wobec Polski nie była chyba tylko „techniczna”. Czy według pana Julien Bryan czuł się szczególnie związany z tym dalekim, z perspektywy amerykańskiej, krajem gdzieś w Europie Środkowej?

Myślę, że tak było. Ojciec podróżował do wielu krajów, ale do Polski rzeczywiście bardzo często. Był tu w roku 1936, 1937, a później, we wrześniu 1939 r., podjął wielki wysiłek i wielkie ryzyko, by dostać się do Warszawy. To sporo mówi. Wracał tu przecież także po wojnie, najpierw z misją UNRRA [Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy – przyp. red.], filmując zarówno tę akcję pomocy dla zniszczonej Polski, jak i samą Polskę. To pokazuje, że chciał być na bieżąco, chciał wiedzieć, co tu się dzieje. Później były te niesamowite wizyty, już w innej roli, w latach 1958–1959, gdy odnalazł ponad 20 żyjących bohaterów swoich zdjęć.

Szukał tych ludzi przez ogłoszenia w gazetach.

Tak, ale też same gazety były sprawą żywo zainteresowane, wręcz podekscytowane. Publikowały jego wrześniowe zdjęcia, pytając czytelników, czy rozpoznają siebie albo kogoś innego. I ludzie przychodzili, nie tylko z Warszawy, również z odległych miejsc, mówiąc: tak, to ja, mój ojciec, mój brat. Albo informując, że ten i ten zginął w takich czy innych okolicz-

Kilka dni temu spotkałem się z Kazimierą Miką, czyli dziewczynką, która na jednym z najbardziej znanych zdjęć ojca oplakuje swoją siostrę zabita przez niemieckiego pilota. Nasze spotkanie odbyło się dokładnie 80 lat po tamtej tragedii

nościach. Czasem były to tragiczne historie, np. o nowo narodzonych bliźniętach, które Julien sfotografował w szpitalu w czasie oblężenia stolicy, a które zginęły w powstaniu dokładnie w dniu swoich piątych urodzin.

To właśnie w 1958 r. Julien Bryan odnalazł Kazimierę Mikę, czyli

dziewczynkę oplakującą swoją siostrę. To było zdjęcie ikoniczne, które naprawdę obiegło świat.

To osoba bardzo mi bliska, zawsze gdy się z nią spotykam, całuję ją i przytulam. Jest dla mnie przyjacielem, a może i kimś więcej. Jakiś czas temu ktoś mylnie powiedział mi, że Kazimiera nie żyje. Tak mnie to zasmuciło, że nie chciałem przyjeżdżać do Polski, na szczęście okazało się, że to nieprawda, że ma się dobrze. Ogromnie się uradowałem.

Są też zdjęcia, na których widać, jak Julien Bryan próbuje pocieszyć Kazimierę Mikę, wówczas Kostewicz: obejmuje ją, coś do niej mówi.

To musiał być bardzo trudny moment dla każdego, kto tam był. To zdjęcie dwóch sióstr nieprzypadkowo znalazło się na pierwszych stronach gazet na całym świecie, ono miało i wciąż ma w sobie potężną siłę.



Fot. Piotr Janeczko/Archivum IPN

Ono było powiedzeniem świata, że to będzie wojna, jakiej dotąd nie znano?

Julien Bryan wiedział, co to jest wojna. W czasie pierwszej wojny światowej jeździł ambulansem na froncie, także pod Verdun. Miał wówczas 17 lat i zaciągnął się do American Field Service, organizacji zrzeszającej wolontariuszy służb sanitarnych, pomagającej wówczas Francuzom i Brytyjczykom. Było to jeszcze przed przystąpieniem Stanów Zjednoczonych do wojny. Poznał więc, co znaczy wojna w okopach, wojna pozycyjna, artyleryjski ostrzał. Moim zdaniem zakładał, tak jak prawie wszyscy, że kolejna wojna będzie taka jak poprzednia. Nie spodziewał się zapewne, że piloci nisko lecących samolotów będą strzelali do cywilów, a tak przecież zginęła siostra Kazimierzy Miki.

Wspomnił pan, że pana ojciec podjął ryzyko dotarcia do Warszawy po wybuchu wojny w 1939 r. Jak to wyglądało?

Gdy wybuchła wojna, Julien Bryan pracował w Szwajcarii i Holandii, kręcił tam zdjęcia. Co ważne, miał w swoim paszporcie wizę do Polski, mógł więc w każdej chwili jechać. Ruszył więc do Bukaresztu, a stamtąd wsiadł w pociąg do Warszawy, o czym nasza rodzina nawet nie wiedziała. Później mama – ja już byłem na świecie, miałem sześć miesięcy – szukała ojca kanałami dyplomatycznymi. Pociąg nie dotarł do celu, tory i stacje były już bombardowane, ale ojciec zdołał dotrzeć do Warszawy. Zamieszkał w Hotelu Europejskim, teraz pięknie odnowionym, który żdażyłem już odwiedzić.

To było 7 września 1939 r.

Tak. Co ciekawe, a nawet szokujące, już wówczas stolicę Polski opuściła może nawet większość dyplomatów, ale także prawie wszyscy korespondenci. Do dziś tego nie rozumiem. Jak to jest: jeśli pracujesz dla agencji lub gazety i wybucha wojna, to uciekasz czy opisujesz to, co widzisz? Oni uciekli. A on przyjechał. Z aparatem foto-

graficznym i z kamerą. Został tu dwa tygodnie. Można powiedzieć, że nie miał wówczas konkurencji, miał, jak to się mówi, ekskluzywny materiał. Poważnie traktował swoją pracę. Utrwalał zarówno zdarzenia zwyczajne, codzienne, jak i te nadzwyczajne.

Pierwszą książkę zawierającą zdjęcia z Warszawy, wydaną w 1942 r., zadedykował Stefanowi Starzyńskiemu. Zapewne gdy ojciec dostał się do jego gabinetu, prezydent stolicy od razu zrozumiał, że człowiek mający odwagę robić zdjęcia i filmy na ulicach zagrożonego miasta będzie potrafił wywieźć tę dokumentację i pokazać ją światu

Co ważne, jego pracę wsparły władze miasta. Udzielały mu pomocy, co z perspektywy czasu było bardzo mądrą decyzją.

Pierwszą książkę zawierającą zdjęcia z Warszawy, wydaną w 1942 r., zadedykował Stefanowi Starzyńskiemu. Zapewne gdy ojciec dostał się do jego gabinetu, prezydent stolicy od razu zrozumiał, że człowiek mający odwagę robić zdjęcia i filmy na ulicach zagrożonego miasta będzie potrafił wywieźć tę dokumentację i pokazać ją światu. Władze miasta więc pomagały, dając samochód, ochronę, potrzebne przepustki; bez tego nie byłoby tych zdjęć.

Jak ojciec wy dostał się z Warszawy?

Wyjechał 21 września na północ, do Królewca. Stamtąd dostał się statkiem do Norwegii. Nie wszystkie szczegóły tej podróży są dla mnie jasne, ale na

pewno miał dużo szczęścia. Mało brakowało, a wszystko by stracił, bo nagle zniknęła walizka z całym materiałem filmowym! Gdzie jest, kto ją ukradł? Niemcy? Na szczęście znalazł ją kawalek dalej. Kolejny cud.

Wielką zasługą pańskiego ojca są nie tylko same zdjęcia i materiały, które zrobił w tak szczególnym momencie polskiej historii, lecz także to, że umiał je wykorzystać. Przygotował film pt. „Oblężenie” („Siege”), który opowiadał o losach Warszawy i który stał się ważnym elementem promującym polską sprawę.

Film „Oblężenie” był szeroko pokazywany w kinach, to była część kroniki filmowej. Szerszy materiał ojciec pokazał m.in. parze prezydenckiej w Białym Domu. Znał Franklina Delano Roosevelta i jego żonę Eleonor, bywał tam wcześniej, m.in. prezentując materiały z nazistowskich Niemiec. Żałuję, że Roosevelt już wówczas, gdy zobaczył, co spotkało Polskę, nie wypowiedział wojny III Rzeszy, że minęły jeszcze ponad dwa lata, zanim Stany Zjednoczone podjęły taką decyzję po ataku na Pearl Harbor. Z pewnością jednak zarówno film „Oblężenie”, jak i inne materiały miały duży wpływ na amerykańską opinię publiczną, wzmacniając tych, którzy mówili, że trzeba się zaangażować.

Gdy patrzy się na życiorys Juliana Bryana, uderzą jego niesamowita energia. Arkadiusz Gołębiewski, dyrektor Festiwalu Niepokorni Niezłomni Wyklęci w Gdyni, mówi, że czuje z pana tatą silne pokrewieństwo duchowe, bo podobnie jak on wszędzie chodzi i z kamerą, i z aparatem, i również wszędzie chciałby być.

Takim też go pamiętam. Jego dziedzictwo jest tak wielkie, że wciąż pozostało wiele do opublikowania i do opisania. W przyszłym roku Instytut Pamięci Narodowej ma wydać pracę prezentującą zdjęcia z powojennej podróży Juliana do Polski; mają się w niej

Jak to jest: jeśli pracujesz dla agencji lub gazety i wybuchła wojna, to uciekasz czy opisujesz to, co widzisz? Oni uciekli. A mój ojciec przyjechał. Z aparatem fotograficznym i z kamerą. Został tu dwa tygodnie



Fot. Piotr Jareczek/Archiwum IPN.22



znaleźć także fragmenty dziennika z podróży. To będzie także opowieść o interesującym fragmencie historii Polski, okresie bezpośrednio po odejściu Niemców.

Czy wiemy, co Julien Bryan myślał o powojennym losie Polski? O tym, że wpadła w ręce komunistów, że została skazana na życie za „żelazną kurtyną”?

Jestem pewien, że bardzo Polsce współczuł, że to go bolało. Ale też tę Polskę powojenną odwiedzał, był tu wielokrotnie, zawsze ciepło przyjmowany.

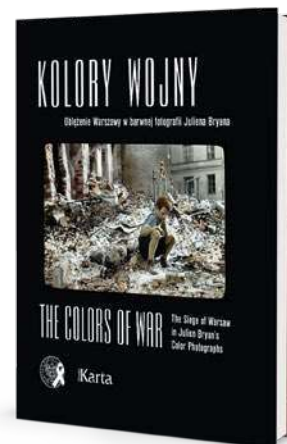
Szczególny charakter miała ostatnia wizyta, w 1974 r., tuż przed śmiercią. Był wówczas przyjęty szczególnie serdecznie, nawet z dużą pompą. Telewizja Polska nakręciła poświęcony mu film. Pan też wówczas towarzyszył ojcu. Jak do tego doszło?

Nie byłem zaproszony. Miałem wówczas 35 lat. Ale pojechałem, ponieważ moja mama nie czuła się najlepiej, przez co niespecjalnie miała ochotę na daleką podróż. Pamiętam, jak siedzieliśmy w domu przy stole, jedliśmy obiad, rozmawialiśmy na ten temat i powiedziałem: „Ja chętnie pojadę”.

I pojechałem. Wcześniej widziałem tylko zdjęcia Warszawy z okresu ruin, ofiar, walk, a teraz zobaczyłem żywe miasto. Zapamiętałem, że ojciec co chwila mówił: pamiętam to miejsce, byłem tu we wrześniu, stałem tu, ten budynek fotografowałem.

Jak pan patrzy na Polskę, na polską historię?

Wiem na pewno, że jest bardzo skomplikowana i że mierzyliście się z wieloma inwazjami. Dziś widzę wiele nowych budynków, widać, że wszystko rośnie. Nawet jeśli porównuję z tym, co widziałem pięć lat temu, podczas poprzedniej wizyty, jestem pod wrażeniem. Jesteście bardzo energicznym narodem, przed którym wielka przyszłość.





ULTIMATY

Kiedy ukaże się ta rozmowa, będzie już wiadomo, kto zdobył Złote Lwy, czyje kreacje pokochała festiwalowa publiczność. Tymczasem z panami Philippe'em Tłokińskim, aktorem, oraz jego tatą Miroslawem, byłym piłkarzem m.in. Widzewa Łódź, rozmawiałam po pierwszej konkursowej projekcji filmu „Kurier”. Wszystko było jeszcze przed nami

Zboiska na scenę

Fot. Kurlikowski/KPA

Z Philippe'em i Miroslawem Tłokińskimi rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy musi się zdarzyć tak duża impreza jak 44. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, żeby panowie mogli spędzić trochę czasu ze sobą?

Miroslaw Tłokiński: Ostatnio można tak powiedzieć. W ub.r. Philippe kręcił dwa filmy: „Kuriera” i „Geniuszy”, więc nie widzieliśmy go przez trzy czwarte roku. Dodatkowo my mieszkamy w Szwajcarii, on w Warszawie, więc kontakty są głównie telefoniczne.

Czy kiedy patrzy pan na swojego syna na ekranie, widzi: aktora, niezależnego mężczyznę czy może też chłopca, który miał kontynuować piłkarską karierę ojca?

Dla mnie jest mężczyzną. O tym świadczy sposób, w jaki od dobrych paru lat kieruje swoim życiem, jak postępuje, analizuje różne sytuacje, jak prezentuje się w wypowiedziach... ale ma urodę po mamie i mimo przekroczonej trzydziestki wygląda tak młodo, że do paru ról musiał się postarzać, np. zapuszczając brodę. Tak było m.in. przy filmie „Noc Walpurgii”, który również znalazł się w głównym konkursie festiwalu Gdyni. To było cztery lata temu.

Jest pan świetnie zorientowanym rzecznikiem swojego syna, ale zatrzymajmy się na chwilę przy piłkarskiej nomenklaturze: jaką pozycję na życiowym boisku zajmuje dziś Philippe?

Myślę, że jest pomocnikiem. Wszystko, co robi, jest poprzedzone namysłem, analizą. Obrońca, z piłkarskiego punktu widzenia, ma za zadanie jedynie „kosić”, nie myśleć. Za moich czasów o skrzydłowym mówiono, że ma klapki na oczach, bo jest tak skoncentrowany na piłce, a w pomocy trzeba było mieć nie tylko dużą sprawność techniczną, lecz również intelektualną, by w przestrzeni boiska móc konstruować jedną czy drugą akcję. Zresztą, kiedy Philippe grał w piłkę,

był w lewej/prawej pomocy. Na obu tych pozycjach, ze swoją szybkością i precyzją, był bardzo skuteczny.

A jakie było pana strategiczne miejsce na boisku?

Jest wielu polskich piłkarzy, którzy zrobili ode mnie większą karierę, ale nie będąc zrozumiaili, tylko świadomy swojej wartości, powiem, że jestem chyba jedyny i najlepszy w tej klasyfikacji, jeśli chodzi o wszechstronność. Żaden piłkarz w Polsce nie grał w obronie, pomocy i ataku. Nie tylko z tzw. wyboru chwilowego, na jeden mecz, ale na dłuższe okresy, zarówno w lidze, jak i pucharach. Dziennikarze i specjaliści podkreślali, że byłem wszechstronny.

Urodzony we Francji, wychowany w Szwajcarii Philippe świetnie radził sobie na boisku, ale jako 17-latek odkrył aktorstwo, by w końcu to jemu się poświęcić. Jak pan wspomina ten czas?

Z perspektywy widzę, że konfrontacja, do której doszło, była dobra dla nas obu. On postawił na swój cel i marzenie, co – znając mój charakter i osobowość – było ogromnie trudne – ale wytrwał w tym, to mu dało siłę. Ja – jako trener, wychowawca, ale też ojciec – również dzięki temu doświadczeniu się rozwinąłem. Zacząłem więc rzeczy akceptować.

Philippe Tłokiński: Ten proces trwa (śmiej). Łatwo nie jest.

Patrzę na was obu i widzę, jak jesteście do siebie podobni.

Philippe: Niemożliwe (śmiej).

Miroslaw: (z udawaną powagą) Ależ ja jestem przystojniejszy.

Philippe: To prawda.

Jakie wspólne cechy widzicie u siebie nawzajem, które mogą drażnić tego drugiego?

Miroslaw: Wola zrealizowania tego, co się zaplanowało, zamierzyło. Jak Philippe coś postanowi, to już tego nie można zmienić. W przypadku nas obu – a rzeczywiście mamy podobne charaktery – prowadzi to do konfrontacyjnej, trudnej sytuacji.

Philippe: Odpowiedź jest bardziej skomplikowana. Ujmując metaforycznie: każdy Edyp musi ojca zabić, żeby stać się wreszcie sobą. Wydaje mi się jednak, że pewnych rzeczy nie sposób się wyprzeć. Tata to – wśród wielu ważnych cech – także etyka zawodowa. Zasady fair play i duch gry drużynowej, które działają na boisku, sprawdzają się także w filmowej produkcji.

W głównym konkursie 44. FPFF znalazła się produkcja zatytułowana „Pan T”. Ja w pierwszym dniu festiwalu doliczyłam się jeszcze trzech „panów T”.

Fot. Jan Blewki DDTV / Eart News



Philippe: Aaa, tak... Jest mój tata i dziadek, najwierniejszy widz. Bardzo przeżywa moje filmy.

Czym zawodowo zajmował się dziadek?

Był specjalistą od produkcji części do statków, ale ja znałem go już jako człowieka na emeryturze, najcudowniejszego na świecie ogrodnika. Ma działkę w okolicach Gdyni, a na niej najlepsze na świecie owoce i warzywa.

Coś pan od niego przejął?

Ciekawość życia. Mimo metryki dziadek zachował w sobie pozytywnie rozumiane dziecko. Ja też je w sobie pielęgnuję.

Gdynia to bliskie panom miasto?

Philippe: Kojarzy mi się z rodziną. Ze strony taty i mamy. Jeśli nie jestem na festiwalu, spędzam tu czas na kolejnych rodzinnych spotkaniach.

Miroslaw: Kiedy tu wrócimy, będzie więcej okazji.

Byłam świadkiem, jak na festiwalu zaczepił pana Miroslawa fan futbolu.

Owszem jestem rozpoznawany, ale Philippe tak już sobie wyrobił nazwisko, że coraz częściej jestem ojcem aktora. Gdyby został piłkarzem, porównywano by jego sztukę grania do mojej, a tak pracuje na swoją pozycję i markę sam.

Zatrzymajmy się przy tej marce. Dla Philippe'a miniony i obecny rok to parę ważnych zadań. Przypomnijmy, jakich.

Philippe: W ostatniej fazie pracy nad „Kurierem” przygotowywałem się już do grania bohatera w filmie „Adventures of a Mathematician” (po polsku prawdopodobnie „Geniusze”) w reżyserii Thorstena Kleina. To film o Stanisławie Ulamie, polskim matematyku ze szkoły lwowskiej, który przyczynił się do powstania bomby wodorowej. Bomba jest w filmie wielkim metaforycznym przeciwnikiem ludzkości i ogromnym dylematem moralnym. Film ma założenia odwrotne do „Ku-

riera”, nastawia się na drogę festiwalową, walczy o miejsce na Berlinale, więc do kin trafi najwcześniej w lutym.

Dolączył pan do swojej kolekcji kolejną znamienitą postać: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

To prawda. W spektaklu Teatru TV „Inny świat”, adaptacji głośnej obozowej książki. To realizacja mocno nasycona teatralną konwencją. Pachnie Kantorem, niezwykle ważną jest w niej oprawa. Zaczęliśmy zdjęcia w niewielkiej przestrzeni, gdzie można się było odwołać do filmowego realizmu. Kolejna, już dużo większa scenografia, okazała się silniejsza od aktorów, narzucała określony sceniczny styl. Tu pojawili się m.in. tancerze... Jestem bardzo ciekawy tego projektu. Premiera już 21 października.

Co dalej będzie się u panów działo?

Philippe: Nie mogę jeszcze o tym mówić, ale zostaję w Polsce.

Miroslaw: A my do Polski wracamy. //

REKLAMA

NAGRODY MEDIÓW PUBLICZNYCH 2019

Patronat honorowy: RADA MEDIÓW NARODOWYCH

LAUREAT w kategorii MUZYKA:

JAN PTASZYN
WRÓBLEWSKI

NOMINOWANI:

Marek Moś

Janusz Prusinowski

Józef Skrzek

Agata Zuba

Kapituła w kategorii MUZYKA:

Krzysztof Penderecki

Joanna Wnuk-Nazarowa (przewodnicząca)

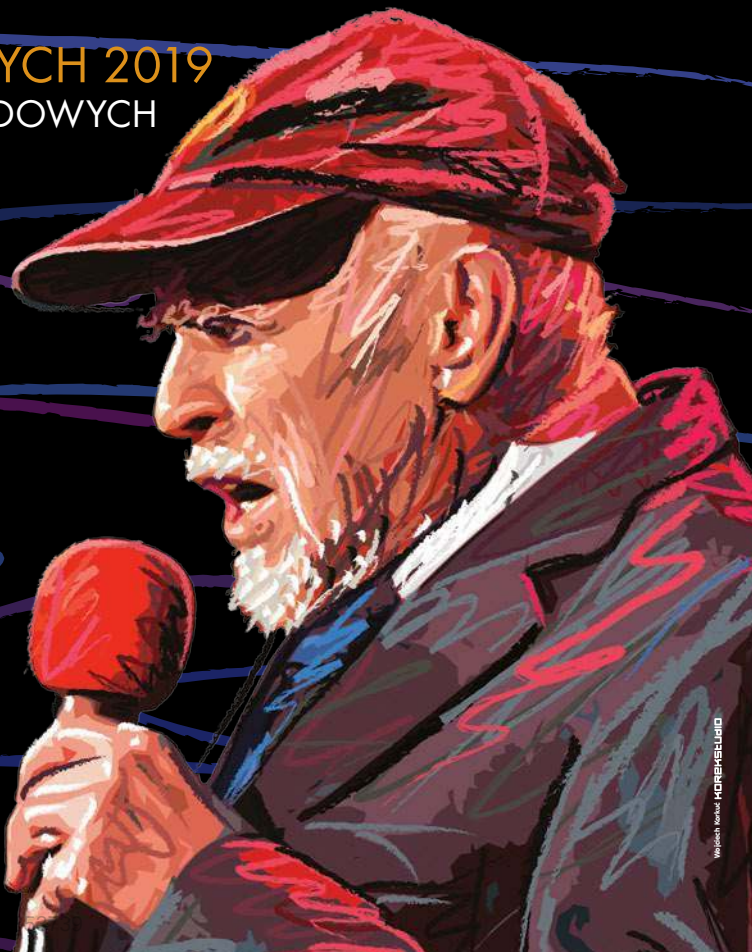
Krzysztof Prońko

Mateusz Pospieszalski

Mieczysław Kominek



Nagrody Mediów
Publicznych 2019



Organizatorzy:



TELEWIZJA
POLSKA



Liczy się nie tylko rozmach

„Legiony” to epicki, pełen rozmachu film, czerpiący najlepsze wzorce z hollywoodzkich widowisk historycznych



ŁUKASZ ADAMSKI

Ostatni polski film historyczny z tak wielkim budżetem to „1920. Bitwa Warszawska” Jerzego Hoffmana z 2011 r. Ponad 25 mln zł zostało utopione w efekty 3D i sceny batalistyczne, które pokazały smutną prawdę, że maestro Hoffman najlepsze lata ma już za sobą. Jedną z głównych ról w „Bitwie...” zagrał Borys Szyc. Osiem lat po premierze tamtego filmu, który pokazał, czym się różni wysokobudżetowe kino historyczne made in Poland od tego z Hollywood, dostaliśmy „Legiony” Dariusza Gajewskiego. Budżet 27 mln zł i jak na ironię w jednej z ról Borys Szyc. Czy można było mieć obawy, co zobaczymy? Ja miałem.

Nie tylko dlatego, że w zasadzie od „Ogniem i mieczem” (1999), również Je-

rzego Hoffmana, nie dostaliśmy filmu, który w epicki i pełen rozmachu sposób mówiłby o polskiej historii. Dariusz Gajewski jest reżyserem znanym z kameralnego psychologicznego filmu „Warszawa” (Złote Lwy w Gdyni w 2003 r.) czy „Obcego nieba” (2015), a nie kina batalistycznego z budżetem bliskim 30 mln zł. Maciej Pawlicki wyprodukował natomiast pokraczny „Smoleńsk”, który za oceanem pewnie zamknąłby mu kurek z takimi pieniędzmi na następny projekt. Potem pojawiały się kolejne doniesienia o problemach „Legionów”, które miały być gotowe na rocznicę 100-lecia odzyskania niepodległości, a ostatecznie do kin weszły rok później. Siadałem więc do seansu z niepokojem.

PORUSZAJĄCA EPICKA OPOWIEŚĆ

„Wszyscy czuliśmy, że to musi być film z rozmachem, epicki, a batalistyczne sceny mają wbijać w fotel. Godny swego tematu, ale także przemawiający do widza, który na co dzień ogląda holly-

woodzkie produkcje. [...] »Legiony« miały być porywającą opowieścią filmową. Poruszającą emocje także tych, którzy o polskiej niepodległości wiedzą niewiele lub nic. Nie opowiadamy o postaciach stojących na pomnikach, ale o pokoleniu, o zwykłych chłopakach i dziewczynach, dzięki którym nie mówimy dziś po rosyjsku czy niemiecku i na masową skalę powróciło pragnienie niepodległości, wolności, pragnienie własnego państwa” – pisał przed tygodniem na łamach „Sieci” Pawlicki. W większości zrealizował swoje zamierzenia.

„Legiony” to film poruszający z bardzo dobrymi scenami batalistycznymi. Za niecałe 7 mln dol. w Hollywood kręci się niskobudżetowe kino artystyczne. Pełne rozmachu filmy wojenne to wydatek rzędu 100–150 mln dol. Twórcy „Legionów” dali nam film, którego wizualnej strony nie trzeba się przed Amerykanami wstydzić. Mają nawet pewną przypadłość wielu wysokobudżetowych historycznych widowisk zza oceanu. O ile film cieszy oko, o tyle momentami zawodzi scenariu-

szowo. To typowe m.in. u producenta Jerry'ego Bruckheimera („Pearl Harbor”, „Król Artur”), który przedkłada wizualną stronę filmu nad jego treścią. „Legiony”, jeżeli gdzieś się potykają, to właśnie w scenariuszu.

Dobrym pomysłem było opowiedzenie historii Legionów oczami młodych ludzi. Rację ma Pawlicki, który wtekście dla „Sieci” napisał, że młodzi legioniści Piłsudskiego walczyli nie tylko z poczucia moralnej powinności oraz obowiązku wobec ojczyzny i swoich przodków. Oni szli się bić, bo mieli dosyć tego, że ktoś „ukradł im dom”. Podobną perspektywę przyjął Jan Komasa w „Mieście 44”. Na powstanie warszawskie patrzyliśmy oczami młodych ludzi pragnących się bawić, kochać i cieszyć niewinnym życiem. Zamiast tego trafili do najgorszego piekielnego kręgu wojny. Mój kolega z amerykańskiej armii i weteran z Iraku mówił mi, że przede wszystkim walczył dla kolegi z plutonu. Nie w imię górnotłotnych haseł, ale w imię braterstwa. Pawlicki z Gajewskim wokół tej wartości budują całą historię. Uścisk dłoni jest klamrą spinającą „Legiony”.

WSPÓLNOTA KRWI

O niej mówi pojawiający się na chwilę na ekranie Józef Piłsudski (Jan Frycz), nakazujący młodym legionistom wymienić się orzełkami. Ona pojawia się w scenie skopioną w „Szeregowca Ryana” Stevena Spielberga (cieszy, że takie kino jest wzorem dla naszych filmowców), gdy rosyjski snajper powoli rozstrzeliwuje na pustym placu polskiego legionistę, próbując wyciągnąć z muru na linię ognia jego kolegów i koleżanki. Braterstwo i poświęcenie dla kolegi z plutonu jest punktem zwrotnym w ostatnim akcie. Braterstwo naznaczone krzyżem zamyka film w symbolicznym ujęciu oddania hołdu zamordowanemu przyjacielowi.

Uniwersalny wymiar „Legionów” jest jego znakiem eksportowym. Dzięki temu ma szansę trafić do widza na całym świecie. Twórcy ograniczyli opowieść o Legionach do ich walki z carską Rosją. W filmie nie istnieją Austriacy ani Prusacy. Wy tłumaczenie zachodniemu odbiorcy, czym były rozbiory, wymaga-

łoby pewnie serialu. Polski widz historię zna, więc bez problemu skupi się na takiej narracji.

Dobrym pomysłem scenarzystów (Pawlicki, Gajewski oraz Michał Godzic i Tomasz Łysiak) było obudowanie akcji wokół romansu trójki postaci. Józek (Sebastian Fabijański) to dezert z carskiego wojska. Gdy jego kolega ułan i strzelec z Drużyn Strzeleckich, Tadek (Bartosz Gelner) zostaje uznany za zmarłego, Józek zakochuje się w jego dziewczynie Oli (Wiktoria Wolańska), agentce wywiadu I Brygady oraz członkini Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego. Romans jest wdzięcznym filmowym tematem i można za jego pomocą wywołać emocje. Problem w tym, że ten romans się rozjeżdża. O ile jego zawiązanie jest czytelne, a koniec emocjonalnie roszadający, o tyle w środku filmu wątek zupełnie siada. Opowieść zaczyna być dygresyjna i pełna nowych postaci.

Z trójki bohaterów najlepiej skonstruowany jest Józek. To dezert chcący jedynie dojść do Łodzi. Uratowany przez legionistów nie zamierza walczyć w szeregach polskiej armii, w której siłę nie wierzy. Dopiero zamordowanie na jego oczach matki z dzieckiem przez rosyjskiego snajpera budzi w nim chęć odwetu. To on zabija na wieży żołnierza nożem zabranym z polowej kuchni. Od tego czasu zostaje nazwany Józef Wieża. A może raczej Józef Wierze? Wiara w braterstwo i wolność pchają go w końcu do heroicznych czynów.

GINĄCE POMNIKI

Gajewski z Pawlickim w 130-minutowy film wsadzają tyle scen batalistycznych i wątków z prawdziwymi postaciami, że główna oś scenariusza się kruszy. Obok Piłsudskiego w filmie zobaczymy Stanisława Kaszubskiego ps. Król (Mirosław Baka), Zbigniewa Dunin-Wąsowicza (Borys Szyk) i Jerzego Topór-Kisielnickiego (Antoni Pawlicki). Tylko ten pierwszy dostaje tyle miejsca, byśmy nabrali uczuć do jego postaci. Można odnieść wrażenie, że obsadzenie Borysa Szyka i Antoniego Pawlickiego służyło tylko temu, byśmy zobaczyli, jak „dumnie i patetycznie” umierają obaj

w bitwie pod Rokitną. Śmierć obu jest pięknie sfotografowana przez Arkadiusza Tomiaka (resztę zdjęć w filmie zrobił Jarosław Szoda) i pokazana w zwolnionym tempie przez montażystę Marcina Kota Bastkowskiego. Wszystko zostaje podlane odpowiednio wzniosłą muzyką Łukasza Pieprzyka. Szkoda tylko, że na naszych oczach umierają nie ludzie, ale pomniki.

Inaczej wygląda to przy Kaszubskim. Mirosław Baka kreuje obraz dumnego, przepełnionego patriotycznym duchem podporucznika I Brygady, odrzucającego ofertę, by wstąpić do wojska carskiego w zamian za odstępienie od egzekucji po tym, jak trafił do niewoli po bitwie pod Łowczówkiem. Kusi go Polak znakomicie grany przez Grzegorza Małeckiego. To dawny przyjaciel Kaszubskiego, walczący po stronie, jak sam mówi, najsilniejszej i imperialnej armii świata, „innej od zgnilizny Zachodu”.

Rozmowa Kaszubskiego z cynicznym polskim żołnierzem, który sprzedał duszę Rosji, to jeden z najmocniejszych epizodów filmu. Uniwersalnych i odnoszących się również do tych, co i dziś są czarowani przez imperializm „konserwatywnego” Putina. Kapitałny jest też Piotr Cyrwus jako prosty kucharz z mocnym wschodnim akcentem. „Kradnie” każdą scenę, w jakiej się pojawia, i pokazuje ofiarę, jaką w wojnie ponosili zwykli ludzie.

„Legiony” są zrobione z epickim rozmachem. Szerokie ujęcia, piękne plenery kręcone zarówno latem, jak i zimą z imponującym atakiem ułanów. Czuć siłę ich szturm, czuć krew Rosjan i Polaków ginących na polu walki. Dostajemy dobrze rozegrany patos. Kamera nie odwraca się od przemocy ani krwi. Bez obciachu użyty został slow motion, podkreślający dramaturgię nie tylko scen batalistycznych, lecz też indywidualnej śmierci. To różni „Legiony” od teatralnego „Piłsudskiego” Michała Rosy, będącego brykiem z historii dla wycieczek szkolnych. „Legiony” to też film mający wpajać patriotyczne wartości młodemu widzowi. I w tym widzę jego zwycięstwo.

„LEGIONY”, REŻ. DARIUSZ GAJEWSKI, DYSTR. KINO ŚWIAT

Propagandyści na start!

Teatr Telewizji dość powszechnie uchodzi za ramotę – jednym zdaniem załatwia się Jakub Majmurek, kiedyś krytyk filmowy, dziś płodny propagandysta, z kilkudziesięcioma przedstawieniami, które wyprodukowała w ciągu kilku sezonów TVP. To część pamfletu na politykę kulturalną ekipy PiS, zamieszczonego w „Magazynie” TVN24. Cały tekst jest utrzymywany w podobnym tonie. Nie ma to jak rzeczowa polemika.

Nie dowiemy się, skąd Majmurek bierze to „dość powszechnie”, zwłaszcza że recenzje z Teatru Telewizji w mediach dla niego opiniotwórczych można policzyć na palcach jednej ręki. „Wesele” Wyspiańskiego w interpretacji Wawrzyńca Kostrzewskiego zasługiwało na wielką debatę i zresztą mogło się okazać bardziej interesujące dla liberalnej inteligencji niż dla prawicy. Ale poziom refleksji tej liberalnej inteligencji to poziom uwagi Majmura – „dość powszechnie uchodzi za”.

Majmurek nie napisze, co jest ramotą. Jakie przedstawienia? Czy przejmująca opowieść o kabarecie w getcie oparta na tekstach Władysława Szlengla, adaptowana przez Artura Hofmana? A może wspaniałe widowisko Andrzeja Strzeleckiego „Paradiso” o II RP? Produkcje Jana Englerta? Agnieszki Lipiec-Wróblewskiej? Artura Tyszkiewicza? Roberta Glińskiego? Wspomnianego już Kostrzewskiego? Są to ludzie utalentowani, uznani i dalecy od obecnej władzy.

Oczywiście gdyby Majmurek musiał znaleźć jakiś kij, pewnie by go na siłę znalazł. Wypichciłby naprędce „recenzję” czegoś, czego może nawet nie widział. Ale nie musi, bo „debatą” o kulturze w Polsce sprowadza się do pałkarskich uogólnień przeplatanych insynuacją.

Śmieszność takich opinii polega na tym, że aby uderzyć w stan dzisiejszy, Majmurek posuwa się do uznawania za coś cennego choćby dawnej Sceny Faktu, która – kiedy istniała – była przedmiotem rechotu lewicowych krytyków. Dziś okazuje się „lepsza”. Ja uważam, że „Wesele” Kostrzewskiego jest lepsze. I przypominam,

że to obecna ekipa odbudowała Teatr Telewizji po stanie zapadzi, w jaką wpędzili go nominaci PO. Ale to epoka Platformy jest „złotym czasem kultury”. Dla propagandysty.

Majmurek przekracza granice śmieszności, kiedy zarzuca PiS, że nie wykreowało „dobrego konserwatywnego filmu”. Gdyby wykreowało, to tylko po to, aby tenże Majmurek wrzeszczał o ideologizacji kina za publiczne pieniądze. Taki film nie mógłby się zresztą okazać dobry z definicji.

Jestem na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Prawie wszystkie pokazywane tu filmy zostały sfinansowane przez PISF. Niektóre są dziełami wybitnymi albo bardzo dobrymi. Byłem dopiero co na pokazie „Obywatela Jonesa”, sugestywnego obrazu demaskującego cynizm Zachodu wobec komunistycznych zbrodni. Jego autorka Agnieszka Holland ozdobiła premierę zwyczajowymi antyrządowymi aluzjami. Co nie zmienia faktu, że zrobiła przy wsparciu państwa ważne dzieło. To normalność. Nie każe się z niej cieszyć. Ale warto ją zauważyć, zamiast śmieszyć biadolić nad rzekomą katastrofą kultury.



Majmurek zarzuca obecnej telewizji, że nie produkuje ważnych filmów. Zapadź filmów telewizyjnych zaczęła się wiele lat temu, a obecna TVP próbuje mozolnie odbudowywać to, co zniszczono. Za to dzięki współprodukcji telewizji powstały tak ambitne filmy kinowe jak „Ułaskawienie” Jana Jakuba Kolskiego. Dzięki nadprogramowemu wsparciu państwa Filip Bajon mógł ukończyć „Kamerdynera”, a Paweł

Pawlikowski „Zimną wojnę”. No ale propagandyści nie są od opisywania rzeczywistości.

Piotr Zaremba

Klata dba o mój portfel

Jan Klata potrafi rozśmieszyć. Z tym że nie wiem, czy chce, aby z jego spektaklu zapadły w pamięć tylko gagi i skecze. Ale może tak musi być?

Od chwili, gdy Jan Klata wbrew deklarowanej woli przestał być szefem Starego Teatru, minęły już dwa lata i paradoksalnie czas ten wydaje się dla niego łaskawy. Chyba nawet mnie – mówiąc łagodnie, zawsze sceptycznemu wobec dokonań tego reżysera i jeszcze bardziej sceptycznemu w stosunku do jego krakowskiej dyrekcji – zdarzyło się niedawno napisać czy powiedzieć: „Klata dojrzał”. Bo podczas dwuletniej odysei po najróżniejszych scenach (co ciekawe, dwukrotnie realizował ważne tytuły w Pradze i raz w Bratysławie) nadał swemu teatrowi inną rangę. Co prawda poznański „Wielki Fryderyk” wg Nowaczyńskiego nie udał się jako całość, ale był próbą rozmowy o naturze Polaków z domieszką historiozoficznej metafizyki, która dekadę temu jeśli u Klata się pojawiała, choćby w „Trylogii”, to jedynie jako przeblysł obowiązkowo pożeniony z jakimś popkulturowym symbolem. Z kolei w gdańskich „Trojankach” Klata udowodnił, że antyk może być dojmujący właśnie przez odniesienie do współczesnej kultury. Tym przedstawieniem mnie przekonał; a przecież w dawnej „Orestei” (2007) wiele wskazywało na to, że nie znajduje się nawet w przedsionku teatru, dzięki któremu mógłby zrozumieć grecką tragedię.

Teraz z kolei Jan Klata chyba zapragnął odpoczynku od wielkich tematów albo traktuje pracę w krakowskim Teatrze Nowym jako zobowiązanie do wypełnienia, bo ten spektakl miał zrealizować jeszcze w Starym Teatrze niemal w tej samej obsadzie. Ale też nie da się ukryć, że materiał literacki, który wybrał, sam w sobie jest wyzwaniem. Książka „Dług. Pierwsze pięć tysięcy lat” Davida Graebera to istotne tomszysze, esej z historii ekonomii z ambicjami opisu całości problemów gospodarczych świata. Autor w swoim wykładzie startuje w starożytności, upatrując grzechu ludzkości w długu, kredycie, słowem – odwiecznej lichwie. Nie wchodząc w rozważania, na ile amerykański badacz jest lewicowy i na ile jego sposób opowiadania o pieniądzu to tylko sprytny fortel, trzeba przyznać, że Klata, opracowując scenariusz, miał zasadniczo dwa wyjścia. Potraktować tę antyteatralną narrację wprost, czyli niejako przyznać się do bezradności i pokazać na scenie coś w rodzaju happeningu na przekór wszystkiemu i wszystkim, z podawaniem danych statystycznych z dokładnością do dziesiątego miejsca po przecinku, z wykrzykiwaniem dobrze brzmią-



**Przemysław
Skrzydelski**

cych też Graebera, i z wciąganiem widzów w dialog, w którym musieliby się spowiadać z kredytów tych dosłownych i tych życiowych. Drugim, znacznie trudniejszym rozwiązaniem byłoby wyluskanie jednego wątku i ubranie go w teatralną parabolę – zresztą we fragmencie przedstawienia Klata jest temu bliski, bo sięga do Platońskiego dialogu, a nawet do ewangelicznej przypowieści. Podejrzewam jednak, że koszt tego dla reżysera o takim temperamencie byłby wysoki, nazbyt wysoki jak dla niego. Klata skupienia i ciszy raczej nie toleruje.

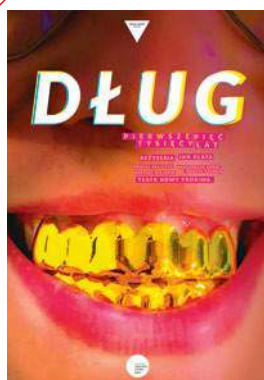
Dlatego decydując się pokazać ten tekst, idzie drogą pośrednią. To dość karkołomna inspiracja

Graeberem, która w formie teatralnego spotkania ma też zaopoznać młodzież z samą istotą pytania o to, czym jest pieniądz i jakie relacje między ludźmi wywołuje. Klata zatem staje się, nie po raz pierwszy, dydaktykiem z gatunku tych, którzy lubią oferować łatwą wiedzę, podrzucając szybkie skojarzenia i gotowe przykłady. Bo trudno powiedzieć, że ten „Dług” jest skierowany do kogoś, kto nie potrzebuje bryków.

Napisałem o drodze pośredniej, choć precyzyjnie powinienem ją nazwać „teledyskiem z przerwami na reklamy”. Monika Frajczyk, Małgorzata Gorol, Bartosz Bielenia i Marcin Czarnik świetnie odnajdują się jako grupa hip-hopowców usiłujących pomieścić w dającym się przyjąć rytmie frazy o tym, że każdy człowiek jest długiem i że dług jednego stanowi majątek drugiego. Do pewnego momentu to zabawne, choć łatwo również zauważyć, że przy okazji ośmiesza samego

Graebera. Aktorzy zaś mają frajdę z tego, że są tak blisko widzów na tak małej przestrzni. Jednak zupełnie nie wiedzą, co zrobić, gdy Klata każe im odegrać znane fragmenty, choćby ze „Zbrodni i kary” czy z „Fausta”. Mord na lichwiarce z Dostojewskiego odegrany metodą prób i błędów, trochę niczym skecz, trochę niczym teatr amatorski wykorzystujący wszystko, co akurat jest pod ręką, to o wiele za mało, by twierdzić, że ten spektakl coś radykalnie zmienia – jak piszą twórcy w jego zapowiedzi. A takich scen tu wiele. Na szczęście przed całkowitą porażką ratuje Klata finał, w którym jeden z aktorów płynnie przechodzi w osobiste wyznanie w sprawie własnego długu.

A skoro już mówimy o narastających zobowiązaniach, to znów daję Klacie kredyt. Zaufania.



„Dług”
wg Davida Graebera
reż. Jan Klata
Teatr Nowy Proxima
premiera: 14 września 2019 r.



Pokonać strach



Kino

Jest naturalne, że opowieść o „Klubie frajerów”, którego członkowie wracają 27 lat po upiornej walce z Pennywise’em do miasteczka Derry, ma już inny klimat niż pierwsza część książki. Film sprzed dwóch lat eksplloatował modę na retro lat 80. i 90. (przeniesiono akcję książki z lat 50.) i wpisywał się w sukces „Stranger Things”. Reżyser Andres Muschietti doskonale połączył grozę genialnie granego przez Billa Skarsgåarda morderczego klauna, tajemnicę przeszłości typowego amerykańskiego miasteczka z dziecięcą przysgodą ze spielbergowskiego kina. Wszystko podlał sporą dawką ironicznego humoru.

Ten film to już opowieść o dorosłych ludziach, którzy muszą wrócić do rodzinnego miasta, by ostatni raz stanąć twarzą w twarz z własnymi lękami. „To” nie odnosi się tylko do klauna mieszkającego w kanałach i atakującego najbardziej niewinnych i bezbronnych. „To” opisuje strach, który wszyscy w sobie nosimy od dzieciństwa i bez pokonania go nigdy nie będziemy wolni.

Beverly (Jessica Chastain), Bill (James McAvoy), Richie (Bill Hader), Ben (Jay Ryan), Eddie (James Ransone) i Stan-

ley (Andy Bean) są tylko z pozoru ludźmi sukcesu. Wyparli z pamięci wydarzenia sprzed prawie trzech dekad. A jednak one nieustannie gnieźdzą się w ich głowach i sercach. Nie spodziewanie dzwoni do nich Mike (Isaiah Mustafa), który jako jedyny został w miasteczku i badał historię stłumionego przez nich zła. Mówi im, że muszą wypełnić pakt, jaki zawarli po wygranej bitwie z upiorem. Oni wracać nie chcą. Wiedzą jednak, że tylko oni mogą uratować dzieci ginące w kolejnym krwawym cyklu Pennywise’a. Przede wszystkim tylko oni są w stanie zabić też własne lęki. Oni, czyli „frajerzy”, jak się sami ochrzczili w dzieciństwie. Szkolne wyrzutki i outsidersy. Mimo sukcesów pozostali nimi również w dorosłym życiu.

Jest tu kilka scen koszmarów, które zapadną wam w pamięć. Walka z pajakiem z ludzką głową, upiorna babcia podająca ciasteczka, klaun na pomniku z balonami – Muschietti nie zapomniał, jak budować nastrój grozy i w odpowiednich momentach go rozładowywać bez przebijania czerwonego balonika. Znów kapitalnie obsadził film, co widać w scenach retrospekcji, gdy te same postaci grają dzieciaki znane z pierwszej części i popularni aktorzy. Nie to świadczy jednak o klasie drugiego rozdziału. King zderza z sobą lęki dzieciństwa z lękami dorosłych. Mówi, że wszystkie nasze bolączki biorą się z traumatycznych przeżyć w dzieciństwie. Jest „To” opowieścią o przyjaźni, poświęceniu i ofierze dla wyższej sprawy. Jednak Muschietti kładzie środek ciężkości na indywidualną walkę z własnymi demonami, lękami i wyrzutami sumienia uosobionymi przez klauna.

Dlaczego zresztą klaun nas przeraża, gdy powinniśmy najwyżej go wyśmiać? Bo zło należy wyśmiać i stłamsić szyderstwem. Ono karmi się naszymi lękami. Zło jest pasożytem i istnieje tylko dlatego, że my dajemy mu się pożerać. Bez naszego lęku przed nim jest niczym. Bez niego nie istnieje. O tym jest składające się z dwóch rozdziałów „To” Muschiettiego. Brawo za wydobycie istoty Kingowskiego przesłania.

„TO. ROZDZIAŁ 2”, REŻ. ANDRES MUSCHIETTI, DISTR. WARNER BROS

Moja Ameryka!

Jest to podobno ostatni sezon Netfli-xowego „The Ranch”. Tym bardziej śpieszcie się pokochać ten niezwykle sitcom, o którym na łamach „Sieci” i wPolityce.pl kilka razy pisałem. Nieczęsto się zdarza, by bohaterami w popkulturze byli konserwatywni miłośnicy Ronalda Reagana, Johna Wayne’a oraz wrogowie Ameryki Clintonów i Obamy. Nie chodzą w pro-trumpowskiej czerwonej czapce MAGA (tak daleko Netflix nie pójdzie), ale z pewnością dzisiejszego prezydenta USA mają w sercu. Rodzina Bennettów jest na dodatek poka-

zana bez krzywego zwierciadła. To uczciwi, prawi Amerykanie wciąż wierzący w amerykański sen. Nie będę streszczał siódmego sezonu, bo każdy fan wie, że ten serial bezustannie trzyma swój poziom. Nieznający „The Ranch” niech wejdą w jego formę (to sitcom, więc mamy śmiech z puszki) i staną się częścią rodziny urokliwie surowego kowboja Beu (Sam Elliott) i mieszkają na ranchu w Kolorado, słuchając szlagierów country od Kenny’ego Chesneya, Gartha Brooksa, Alabamy i Dolly Parton.

„THE RANCH” DOSTĘPNY NA NETFLIXIE



VOD



Intrygujący bełkot

Oparta na ostatnim scenariuszu Andrzeja Żuławskiego „Mowa ptaków” została nakręcona przez jego syna Xawerego. To wypełniony rękoma syna testament ojca. Jest to nie tylko film biograficzny, lecz również list miłosny syna do ojca i jego spuścizny artystycznej. Gdzieś tam pojawiają się nawiązania do najsłynniejszych filmów Andrzeja Żuławskiego jak „Diabeł”, „Opętanie” czy „Trzecia częśći nocy”. Finał jest zresztą wyjęty z jego ostatniego filmu „Kosmos”. Kamera obraca się w stronę artysty. Okazuje się, że wszystko, co widzimy, jest inscenizacją. „Mowa ptaków” jest inscenizacją życia i twórczości Andrzeja Żuławskiego. To poruszająca wypowiedź synowska. Najmocniejsza część filmu. Pisarz i nauczyciel Marian (Sebastian Fabijański) wygląda jak Xawery. Ich twarze przenikają się z sobą w otwarciu filmu. Andrzej też się pojawia na ekranie. W wykonaniu Daniela Olbrychskiego.

Zaczyna się jednak toporną publicystyką. Żuławscy przekonują na starcie, że polska szkoła to wylegarnia antysemityzmu i nacjonalizmu. Uczniowie nakładają nauczycielowi historii (Sebastian Pawlak) kosz na głowę, krzycząc, że Mazowiecki był Żydem, a wszędzie czają się komuniści. W obronie nauczyciela staje Marian. Z nożem w ręku przepędza napastników. Efekt? Obaj wylatują z pracy. Dlaczego? Ano



Kino

dlatego, że ksiądz katecheta tak każe. Morał? Kościół katolicki hodzi na zioli w polskich szkołach. Z poglądami politycznymi Andrzeja Żuławskiego było mi nieraz nie po drodze, ale zawsze intrygowała mnie jego przewrotność i oryginalność spojrzenia na Polskę. Otwarcie „Mowy ptaków” jest natomiast prostacko jednowymiarowe.

„Mowa ptaków” jest przerysowana, historyczna i chaotyczna. Takie było kino Andrzeja Żuławskiego. Xawery wchodzi w buty ojca i daje nam kako-

fonię dźwięków i tsunami przemysłu o Polsce. A raczej „Pislandii”. Mamy przerobioną przemowę Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi, mamy nauczyciela historii od kosza na głowie przemienionego w narodowca, który krzyczy teatralnie: „Nienawidzę!”. Żuławski nie unika krytyki polskich intelektualistów, którzy „oddali Polskę w ręce prawicy”. Dochodzi też do uderzenia w korpo-system (świetny epizod Borysa Szyca jako żrącego burgera korposzczura). Wszystko podlane jest jedynymi w swoim rodzaju dialogami napisanymi przez Andrzeja Żuławskiego. Zachwycają swoją poetyką, brzmieniem i beczelnym eklektyzmem językowym. Tytułowa mowa ptaków, jaką posługują się bohaterowie, jest bełkotliwa i zawiera w sobie wszystko, co Żuławski potępia w polskiej duszy. Szkoda, że zakłóca mowę szeleszczącą papierem publicystyka.

Wolałbym pozostać przy pojedynku Fabijańskiego (syna) i Olbrychskiego (ojca), zamkniętych w mikrokosmosie Żuławskiego gdzieś w głuszy. To tam musiał się udać Marian i Xawery, by wyjść z cienia ojca. Czy wyszedł? To już zależy od waszej percepcji tego hermetycznego i ciężkiego filmu. Filmu kabotyńskiego, bełkotliwego, ale na swój sposób intrygującego.

„MOWA PTAKÓW”, REŻ. XAWERY ŻUŁAWSKI, DYSTR. VELVET SPOON

Piekielne rozczarowanie

Ależ to jest złe. Nawet nie tak złe, że aż dobre. Kilkanaście lat temu, jeszcze w erze przed „Aven-gersami”, Guillermo Del Toro nakręcił wizjonerską i autorską ekranizację klasycznego komiksu Mike’a Mignoli „Hellboy”. Ron Perlman w roli superherosa z piekiel na stałe się zapisał w popkulturze. Myślałem, że jeżeli zdecydowano się na reboot tego filmu, to przygotowano coś przebijającego Del Toro. Nic bardziej mylnego. Fatalny scenariusz, pozbawiony charyzmy David Harbour w głównej roli i zupełnie nie-trafione żarty. Filmy Del Toro miały swoją poetykę. Niestety nowa wersja zastąpiła



ciekawego bohatera ekranową rzezią. Humor i bardziej obrazowa przemoc miały nową wersję odróżnić i wprowadzić na nowy poziom kina komiksowego. Zamiast tego sprowadziły go do kręgu piekielnego, gdzie króluje żenada i nuda. Nie pomaga nawet mój ulubiony Ian McShane. Jak już nie umie się wykorzystać tak charyzmatycznego aktora, to trudno się spodziewać dobrego kina.

„HELLBOY”, REŻ. NEIL MARSHALL, DYSTR. DASAN

DVD

F

jak felieton, niebezpieczny gatunek

Dr Hanna Karp, medioznawca



Dawno wielu moich znajomych z takim zapamiętaniem nie szukało archiwalnych wydań tygodnika „Sieci”. A dokładniej tego numeru (34), w którym ukazał się artykuł prof. Aleksandra Nalaskowskiego, za którego treść uczony został tak drakońsko ukarany. Zainteresowani chcieli się przekonać zdanie po zdaniu, co takiego w tym tekście było. Za jakie akapity wybitny profesor, akademik, badacz zajmujący się „fenomenem czasu w rozwoju dziecka”, znany pedagog (sic!) w Polsce Anno Domini 2019, może w trybie nagłym i natychmiastowym, tuż przed inauguracją roku akademickiego być pozbawiony przez władze rektorskie prawa do kontaktu z młodzieżą i wykonywania zawodu. Internetowe omówienia „zakazanej” publikacji były tak lakoniczne i momentami zafalszowane, że pozostało jedynie sięgnąć do źródła. Ci, którym udało się choćby w bibliotece dotrzeć do publikacji, przyznawali, że dawno podczas lektury nie towarzyszyły im podobne emocje. Czuli się, jakby sięgali po treści zakazanej, nielegalnie kolportowanej, bibuły z lat stanu wojennego.

WYMOGI GATUNKU

Profesor w pojemnej formie felietonu na jednej stronie tygodnika przełał na papier własne myśli i emocje. Rzecz dotyczyła tematu środowisk LGBT i ich ostatnich marszów po Polsce. Jeśli uwzględnimy, że pióro ma ostre, to możemy wyobrazić sobie, że powstał tekst niebanalny. Spełniający wszystkie wymogi gatunku. A pamiętajmy, że autorowi – jako felietoniście – przysługiwały i nadal przysługują specjalne prawa. Jako taki może, a nawet powinien, co podkreślają zarówno teoretycy, jak i praktycy tej formy, swoich czytelników rozbawiać, rośmieszać, prowokować, ostrzegać, wyśmiewać, a nawet obrażać. O co więc w całym tym zamieszaniu wokół autora „Sieci” chodzi? O czytanie ze zrozumieniem. Bo tego najwyraźniej zabrakło. Co tych, którzy tego nie potrafią, pomimo cenzusu naukowców, może w najwyższym stopniu kompromitować i stawiać pod znakiem zapytania ich zawodowe kompetencje.

Hallam Walker, profesor literatury Uniwersytetu w Princeton, zauważa, że felietonista stale przewraca wszystko do góry nogami i na lewą stronę oraz

zachęca do tego, by spojrzeć, zaśmiać się i głębiej zastanowić. Inny doświadczony dziennikarz brytyjskiej prasy, Brendan Hennessy, podkreśla, że felietonista ma się prawo wyróżniać niezależnie od formuły danego czasopisma i jej interpretacji przez redaktora naczelnego. Felietonista bowiem w większym stopniu niż inni autorzy ma prawo zmuszać do myślenia, prowokować do działania, inspirować, bawić, ale też budzić trwogę i bić na alarm. Do dyspozycji ma niezwykle bogactwo stylów i formatów. A najważniejszą sprawą dla pisma i czytelników jest jego indywidualny głos. A już najbardziej rasowy jest ten felietonista, który potrafi wprowadzić ferment myślowy i ostre reakcje wśród czytelników. Trzymając się tego ostatniego kryterium, autor felietonu „Wędrowni gwałciciele” pokazał swój iście rasowy pazur felietonisty. Wywołał reakcję przechodzącą najsmielsze wyobrażenia.

WOLNOŚĆ INTELEKTUALNA

Henry Bernard Levin, wieloletni komentator i publicysta brytyjskiego „Timesa”, zdradza, że nigdy nikt nie

pozwól go do sądu za tekst, a gdyby to kiedyś zrobił, to zapewne miałby głębszy cel. Jednak nie znam przypadku w historii tego gatunku, by jego autor, w tym wypadku uczony, pisząc popularne felietony do prasy, stracił swoje miejsce pracy. Również polscy znawcy tematu podkreślają, że felieton cechuje: „Podkreślanie wolności intelektualnej, a jego autor ma prawo manifestować swój subiektywny punkt widzenia, podkreślać uczuciowość i zaangażowanie w opisywane sprawy” (prof. Kazimierz Wolny-Zmorzyński).

Tym bardziej że czytelnicy liczą się z tym, iż argumenty w felietonach mogą być mniej wyważone niż w zwykłej publicystyce. Oto przykład ostrej felietonowej retoryki, za którą jednak autor nie został przez nikogo pozwany ani wyrzucony z pracy: „Nie ma dziś w Polsce, zwłaszcza dla lewicy, ważniejszej sprawy niż aborcja – uznało 49 posłów SLD. Co tam upadek rządu, rozpad partii. Festiwal afer, nie mówiąc o bezrobociu. Polacy o niczym innym nie myślą jak o powszechnych skrobankach, a jak je dostaną, to Miller przetrwa, SLD się wzmocni, afery zostaną zapomniane, a bezrobocie wśród ginekologów spadnie” – pisał Maciej Rybiński na łamach „Rzeczpospolitej” w 2004 r. w felietonie „Świadome przeczyszczenie”. I puentował: „Drodzy aktywiści SLD, poskrobcie się lepiej w głowę. Nie wiele wyskrobiecie, ale przynajmniej będziecie mieli zajęcie, dopóki was nie wyskrobią z Sejmu w ramach świadomego przeczyszczenia”.

Wśród światowych autorów tego gatunku zaistniało z powodzeniem wielu obrazoburców, prowokatorów, osobowości bardzo wyrazistych, często z nietypowym humorem i fantazją o zdolnościach także parodystycznych. Badacze tematu podkreślają, że felieton niesie nie mniejsze walory informacyjne niż komentarz czy reportaż. Z tym że jego subiektywnie selekcyjna, dygresyjnie komponowana i wartościująca przetwarzana warstwa może wręcz zniknąć z tekstu. To także kolejny paradoks tego gatunku, który ma ponadto walor interaktywności, zakłada bowiem współpracę z czytelnikiem.

BOGACTWO REJESTRÓW

Polscy mistrzowie tego gatunku: Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Stefan Wiechecki, Stefan Kisielewski, Maciej Rybiński, Stanisław Michalkiewicz czy Irena Lasota, także taką współpracę i interaktywność z czytelnikiem na różne sposoby prowadzili i prowadzą. Niektórzy gorszą się tytułem felietonu: „Wędrowni gwałciciele”. Ale gatunek ten ma szczególne prawa także pod tym względem. Autorzy stosują tu często różne gry tytułu z zawartością tekstu, czyniąc z niego osobliwą puentę i kropkę nad i lub formę autorskiego wykrzyknika. Tytuły intrygujące, czasem z pozoru zwyczajne, znajdują niezwykłą ostateczną interpretację

Zawsze jednak chodzi autorom felietonów nie tyle o formę, ile o treść, o ważną historię, przesłanie. Czasem jest to nawet tragiczny krzyk i wołanie rozpacz. Tak też odbieram tekst „Wędrowni gwałciciele”

w kontekście całego tekstu. Autorzy gatunku chętnie korzystają z licznych aspektów stylistycznych, co także znajdujemy w rzeczonym felietonie, takich jak perswazyjność, ekspresywność, obrazowość realizowane przez środki standardowe, ale także nietypowe, autorskie. Zwraca także uwagę wielostylowość tekstu, płynąca z tzw. bogactwa rejestrów i zasady kontrastowego zestawiania poszczególnych partii w całym artykule czy zderzania ich ze sobą.

Konstanty Ildefons Gałczyński w swoich felietonach zachowywał ramę tekstową charakterystyczną dla listu do redakcji. W podobnej formie André Frossard stworzył całą książkę „36 dowodów na istnienie diabła”, gdzie diabeł jest nadawcą listów do pisarza. Innym rodzajem felietonopisania były pio-

senki Wojciecha Młynarskiego. Zawsze jednak chodzi autorom nie tyle o formę, ile o treść, ważną historię, przesłanie. Czasem jest to nawet tragiczny krzyk i wołanie rozpacz. Tak też odbieram tekst „Wędrowni gwałciciele”. Jest to, według mnie, także felieton stanowiący przejmujące i osobiste wyznanie naukowca w perspektywie nadciągającej pożogi aksjologii chrześcijańskiego świata.

PÓŁKA: „POWĄZKI”

Melchior Wańkowicz miał specjalną półkę, którą nazywał, z właściwym sobie poczuciem humoru, „Powązkami”. Ładowały na niej rękopisy już gotowe, ale z różnych powodów ostatecznie niewydane. Ta półka, jak czytamy w „Karafce La Fontaine’a”, niewiele miała wspólnego z „biblioteką domową”, która ma bukieć zapachów starego koniaku. Pamiętajmy jednak, że chodziło o czasy komuny. Na podobne śmiercionośne „Powązki” ktoś znów dziś, trzy dekady od zniesienia cenzury, ma chętność odesłać nie tylko polskie dziennikarstwo, lecz także świat nauki. Brzmi to jak absurd, najwyższa niedorzeczność. Nie trzeba chyba dodawać, że nie ma na to zgody.

Warto na koniec jeszcze raz odwołać się do jednego z mistrzów felietonu i jego opisu obywatela idealnego. Tak, by poniższe uwagi wykorzystać hic et nunc. Ale, jak mówił Jan Paweł II, najpierw wymagać od siebie, nawet wtedy, gdy inni od nas wymagać nie będą. Maciej Rybiński pisał: „Jestem samowystarczalny duchowo. Nie muszę oglądać TVN 24, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, bo sam mogę sobie takie wiadomości napisać, sam mogę je ocenić i sam przeczytać. W zależności od nastroju i okoliczności – albo optymistyczne i mobilizujące, albo ponure i dołujące. Dla każdego coś miłego” (30 czerwca 2009 r. „Informacje na wakacje”). A pozostać samowystarczalnym duchowo w tym kontekście znaczy: trwać wiernie przy własnej cywilizacji, tradycji, rodzinie wbrew ideologii, jak pisze profesor Aleksander Nalaskowski, „uwiellbiającej niestałość”.



Dobry i zły policjant?

Wszystko wskazuje na to, że nowa Komisja Europejska podtrzyma presję na Polskę i Węgry w kwestii praworządności. Fransa Timmermansa ma zastąpić dwójka polityków z frakcji europejskich liberalistów (Renew Europe) – Belg Didier Reynders i Czeszka Věra Jourová (na zdj.), która już zdążyła udowodnić, że nie bawi się w subtelności wobec niepokornych państw Unii

Odebranie Fransowi Timmermansowi teki ds. lepszej regulacji, rządów prawa i Karty Praw Podstawowych w nowej Komisji Europejskiej i przydzielenie mu przez Ursulę von der Leyen teki ds. klimatu wywołało niemalą satysfakcję nad Wisłą. W końcu Holender stał się przez ostatnie pięć lat urzędowania jako wiceprzewodniczący Komisji symbolem wrogości unijnych elit wobec Polski, a szczególnie wobec obecnego rządu Prawa i Sprawiedliwości. Jego emocjonalne występy w Parlamencie Europejskim, angażowanie się po stronie środowiska sędziowskiego w Polsce, bratanie się z opozycją (został za to m.in. wynagrodzony przez Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku) kazały wątpić w bezstronność unijnej egzekutywy, jeśli chodzi o ocenę reform



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

w Polsce. Podczas ostatniego występu w roli stróża unijnej praworządności na forum Parlamentu Europejskiego Timmermans porównał obecną Polskę do dyktatur lat 30. XX w., a orzeczenia polskich sądów (po reformie) do wyroków sędziów nazistowskich. Można powiedzieć, że holenderski polityk skończył jak zaczął – na wysokim C. Jego występów, zawsze bardziej obliczonych na autouszczelnienie niż obronę europejskich

wartości (mało kto słyszał o Timmermansie, zanim wziął się do „populistów” nad Wisłą i Dunajem), nacechowanych przesadą, wręcz histerią, nikomu brakować nie będzie.

Nie oznacza to jednak, że presja na Polskę i Węgry ze strony Komisji Europejskiej zmaleje. Będzie po prostu serwowana w o wiele przyjemniejszej formie. Jak twierdzą europejskie media, choćby portal Politico, Ursula von der Leyen doszła do wniosku, że nie należy stwarzać wrażenia, iż są w Europie kraje lepsze i gorsze. Pozory muszą zostać zachowane. Pozory solidarności i równego traktowania państw.

Praworządnością i państwem prawa będzie się więc zajmował osobliwy duet złożony z Belga Didiera Reyndersa i Czeszki Věry Jourové. Reynders, obecnie szef MSZ i MON, ma być komi-

sarzem UE ds. sprawiedliwości łącznie z – jak podkreśliła von der Leyen – zagadnieniami państwa prawa. Jednocześnie Czeszce powierzono rolę jednej z ośmiorga wiceprzewodniczących Komisji Europejskiej – będzie odpowiedzialna za kwestie wartości podstawowych (i przejrzystości), a zatem i strzeżenie praworządności. Ma ona także walczyć z „mową nienawiści”. Oboje pochodzą z nowej, liberalnej frakcji w PE (Renew Europe), w której dominuje Renaissance prezydenta Francji Emmanuela Macrona.

Reynders najwyraźniej zasłużył na nominację za to, że – jak pisze portal Euractiv – w ubiegłym roku wraz z sekretarzem stanu w niemieckim MSZ Michaeliem Rothem zaproponował „coroczny przegląd praworządności w państwach UE” (Belgia od trzech lat lobbuje za stworzeniem takiego mechanizmu). Jourová zaś ma wytrącić państwom Europy Środkowo-Wschodniej argument z ręki, że zachód Europy je poucza i zagląda im do

talerza. Zdaniem Euractivu Reynders i Jourová będą odgrywali rolę dobrego i złego policjanta wobec niesubordynowanych państw, przy czym nie wia-

Jak twierdzi europoseł Jacek Saryusz-Wolski, ani po Jouroviej, ani po Reyndersie nie należy się spodziewać niczego dobrego względem Polski

domo, kto będzie tym złym, a kto tym dobrym. Odkąd nominacje do nowej Komisji zostały ogłoszone, Reynders zdążył zaapelować na Twitterze do Polski o „dialog”, podczas gdy Jourová na razie milczy. Wszyscy mają jednak w pamięci jej występy jako komisarz ds. sprawiedliwości, ochrony kon-

sumentów i równouprawnienia płci w komisji Jeana-Claude’a Junckera, gdy nazwała polski rząd „dyktatorskim reżimem” i domagała się uzależnienia dopływu unijnych dotacji od stopnia praworządności danego kraju.

Ponadto Timmermans, który ma pozostać jednym z trzech głównych „wiceprzewodniczących wykonawczych” KE, już zapowiedział, że zamierza nadzorować starania Reyndersa i Jouroviej. Jak twierdzi europoseł PiS Jacek Saryusz-Wolski w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”, Czeszka jak dotąd i tak realizowała linię Timmermansa.

– Była bardzo ostra i pozycjonowała się w kwestii Polski na tej samej linii co wiceprzewodniczący KE. Jeśli chodzi o Reyndersa, to trudno przewidzieć, jak się zachowa. Wiadomo tylko, że jest z tej samej frakcji co Jourová, frakcji, w której dominuje Macron. Jest to frakcja najbardziej zajadłe atakująca Polskę. Belgowie są często bardzo bliscy politycznie linii francuskiej. Oczekuję więc raczej, że Reynders

REKLAMA



FUNDACJA WSPIERANIA
UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

ICMIF (International Cooperative and Mutual Insurance Federation), międzynarodowa organizacja skupiająca ubezpieczycieli wzajemnych i spółdzielczych, opublikowała raport „Global 500”. – Jasno z niego wynika, że rynek ubezpieczeń wzajemnych na świecie jest stabilny i stale się rozwija – mówi Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeni Wzajemnych.

– Badając raporty międzynarodowej organizacji skupiającej ubezpieczycieli wzajemnych ICMIF, można prześledzić, jak kształtuje się rozwój rynku ubezpieczeniowego i jaka jest w nim pozycja ubezpieczycieli o charakterze spółdzielczym. Ostatni raport „Global 500” to jasny sygnał, że przyszłość rynku ubezpieczeniowego należy do ubezpieczeń wzajemnych – mówi Jarosław Bierecki, prezes FWUW. – Wynika to m.in. z podstaw działania ubezpieczycieli wzajemnych, którzy główny nacisk kładą na udzielanie skutecznej ochrony ubezpieczeniowej członkom będącym

Rozwój ubezpieczycieli wzajemnych na świecie

jednocześnie właścicielami towarzystw, podczas gdy ubezpieczyciele komercyjni przede wszystkim dążą do realizacji polityki swoich akcjonariuszy, czyli osiągnięcia zysku.

Raport ICMIF prezentuje 500 największych ubezpieczycieli wzajemnych na świecie na podstawie danych z końca 2017 r. Ze składek ubezpieczeniowych towarzystwa te wykazały łączny wynik finansowy na poziomie 1,2 mld dol., co oznacza wzrost o 1,1 proc. w stosunku do 2016 r. W raporcie zwrócono także uwagę na silny rozwój w zakresie ubezpieczeń majątkowych, w których nastąpił łączny wzrost przychodów badanych spółek o 4,5 proc.

– Z raportu „Global 500” wynika także, że niemal 84 proc. największych na świecie ubezpieczycieli wzajemnych w 2017 r. znajdowało się na północy, w tym aż 204 w Europie – komentuje Jarosław Bierecki. – Na naszym kontynencie do ubezpieczycieli wzajemnych należy przecież ok. 30 proc. rynku ubezpieczeniowego, a w Ameryce Północnej niemal 40 proc... Na całym świecie już ponad 900 mln osób korzysta z oferty TUV-ów. Wracając jednak do raportu „Global 500”, wynika z niego również to, że duża obecność na rynku

poszczególnych podmiotów sprzyja ich rozwojowi – średni okres działalności 500 największych ubezpieczycieli to aż 97 lat. Niemal połowa z nich działa od 100 lat, 14 proc. od 150 lat, a 3,3 proc. może się pochwalić ponaddwuwiekową obecnością na rynku. Potwierdza to wyjątkową stabilność ubezpieczycieli wzajemnych, która ściśle wiąże się z ich zrównoważonym rozwojem i coraz ważniejszą pozycją na rynku – dodaje Jarosław Bierecki.



Jarosław Bierecki, prezes FWUW

będzie bardzo krytyczny wobec Polski – zaznacza europoseł.

Według Saryusza-Wolskiego, za przydzieleniem tej samej teki dwóm osobom, nałożeniem się kompetencji, tkwi „metoda”. Gdy nakładają się na siebie kompetencje i dochodzi do konfliktów, to zwierzchnik musi wkroczyć. I o to może chodzić – podkreśla europoseł. Tym zwierzchnikiem jest Ursula von der Leyen, która może rozważać zarządzanie nową komisją metodą dziel i rządź. Jak twierdzi Saryusz-Wolski, ani po Jourovie, ani po Reyndersie nie należy się jednak spodziewać niczego dobrego względem Polski.

Pozostaje pytanie, czy Parlament Europejski zatwierdzi oboje w roli komisarzy. Jourová pochodzi z partii ANO 2011 czeskiego premiera Andreja Babiša, na którym ciąży zarzuty defraudacji subsydiów unijnych. Także Reynders jest oskarżany o korupcję i pranie brudnych pieniędzy. Nie to, czego można by oczekiwać od polityka, który ma bronić praworządności w Unii. A zarzuty są poważne. Kilka dni temu dwa belgijskie dzienniki „L'Écho” i „De Tijd” poinformowały o wstępnym dochodzeniu, jakie prowadzi w tej sprawie prokuratura. Opiera się ono na doniesieniach byłego agenta służb bezpieczeństwa i pięciu tajnych raportów sporządzonych przez niego w latach 2009–2011, z których ma wynikać, że Reynders brał udział w procederze korupcyjnym.

Sprawa – jak pisze francuski dziennik „Le Monde” – toczy się swoim torem i jeśli zarzuty okażą się uzasadnione, zostanie ona przekazana Prokuraturze Generalnej, jedynej instancji uprawnionej do postawienia formalnych zarzutów politykowi pełniącemu funkcje państwowe. Reynders jest nie tylko szefem MSZ, lecz także wicepremierem Belgii. Według agenta nieprawidłowości dotyczyły m.in. budowy ambasady Belgii w Kinszasie, stolicy Demokratycznej Republiki Konga, byłej belgijskiej kolonii. Zarzuty mówią o przyjmowaniu łapówek za korzystne rozstrzygnięcie przetargów i przyznawanie kontraktów odpowiednim firmom. W proceder korupcyjny mieli być zaangażowani han-

dlarze bronią i jeden z kandydatów na prezydenta DRK. „L'Écho” i „De Tijd” opisują metody, które według byłego agenta Reynders i jego prawnik mieli wykorzystywać, by otrzymywać i prac pieniądze. Chodziło m.in. o sprzedaż za wysoką cenę dzieł sztuki i antyków, których prawdziwa wartość miała być znacznie niższa. Reynders odpięra zarzuty. Jego rzecznik John Hendrickx twierdzi, że to pomówienia pochodzące

Věra Jourová jako komisarz ds. sprawiedliwości, ochrony konsumentów i równouprawnienia płci w komisji Jeana-Claude'a Junckera, nazwała polski rząd „dyktatorskim reżimem” i domagała się uzależnienia dopływu unijnych dotacji od stopnia praworządności danego kraju

od „pewnego człowieka, który od lat próbuje zaszkodzić mojemu szefowi”.

Tyle że to nie pierwszy raz, gdy Reynders jest oskarżany o nieczyste metody. Za kandydatem na komisarza od lat ciągnie się tzw. afera Kazachgate. Afera dotyczy sprzedaży 45 francuskich helikopterów (spółki Eurocopter) do Kazachstanu w 2011 r., za czasów prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego. Pośredniczący w transakcji kazachscy biznesmeni (o obywatelstwie belgijskim) z otoczenia prezydenta Nursułtana Nazarbajewa mieli zapłacić łapówki osobom z otoczenia Sarkozy'ego, za co groziły im zarzuty korupcyjne po tym, jak podejrzone transakcje zostały przypadkowo odkryte. By nie zagrozić kontraktowi na helikoptery, Sarkozy miał wywierać presję na belgijskich polityków, aby przepchnęli przez par-

lament ustawę pozwalającą prokuraturze zamknąć dochodzenie korupcyjne w zamian za zapłatę grzywny (minne-lijke schikking in strafzaken – po flamandzku). Za takim rozwiązaniem miał lobbować wówczas u ministra sprawiedliwości Belgii Stefaana De Clercka przewodniczący belgijskiego senatu i partyjny kolega Reyndersa z Ruchu Reformatorskiego (MR) Armand De Decker, jeśli wierzyć doniesieniom francuskiego pisma „Le Canard Enchaîné”. De Decker miał nawet wynająć jednemu z kazachskich biznesmenów, Patokhowi Chodiewowi, adwokata. Ostatecznie ustawa została przegłosowana, Chodiew i jego dwaj wspólnicy uniknęli procesu i zapłacili wysoką grzywną. 10 dni później kontrakt na helikoptery został podpisany. De Decker zarobił na pomocy biznesmenom ponad 700 tys. euro.

Sprawa miała poważne reperkusje, także ze względu na jawną ingerencję Francji w wewnętrzne sprawy Belgii. Według „La Libre Belgique” Reynders miał się wielokrotnie spotykać z adwokatem Chodiewa oraz aktywnie uczestniczyć w zmianie prawa, tak aby kazachscy biznesmeni uniknęli procesu. Z notatki sporządzonej przez ówczesnego doradcę Sarkozy'ego Jeana-François Etienne'a des

Rosaies także wynika, że oprócz de Deckera w zmianie przepisów belgijskiego kodeksu karnego aktywnie brał udział ówczesny minister finansów – Didier Reynders. Komisja śledcza belgijskiego parlamentu ukonstytuowana w 2014 r. nie była jednak w stanie udowodnić bezpośredniego związku między belgijską ustawą a francuskimi helikopterami. De Decker wyleciał z partii, a Reynders został szefem MSZ. A teraz może zostać komisarzem UE ds. państwa prawa, co nie jest pozbawione pewnej ironii, biorąc pod uwagę ujawniony przy okazji Kazachgate stosunek belgijskich liberałów do praworządności.

Nowa Komisja Europejska ma powstać do 1 listopada. Wysłuchania, po których europosłowie mogą zażądać wymiany kandydatów, są wstępnie planowane na pierwszy tydzień października.



APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE



Bank Polski

100
1919/2019

Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.



Chimeryczna wola Trumpa



JAN ROKITA

Atak powietrzny na rafinerię i pola naftowe w Arabii Saudyjskiej na nowo postawił pytanie o strategię całego Zachodu wobec teokratycznego Iranu

Uderzenie na rafinerię Bukajk i pola naftowe Churajs nastąpiło w sobotę 14 września, ok. pierwszej w nocy czasu Greenwich. Zdaniem dowództwa armii saudyjskiej instalacje naftowe państwowego koncernu Saudi Aramco zostały zaatakowane przez siedem rakiet manewrujących oraz 18 dronów wystrzelonych z północy, z obszarów pogranicza irańsko-irackiego. Do ataku natychmiast przyznali się szyiści powstańcy z Jemenu, ale zdaje się, że mało kto potraktował poważnie ich buńczuczne oświadczenie, wydane zapewne na życzenie ich politycznych i militarnych protektorów z Teheranu. Według szczegółowych danych zdobytych przez CNN najprawdopodobniejszym miejscem, z którego przeprowadzono ostrzał, jest jedna z perskich baz wojskowych położonych nad granicą iracką. Rakiety

i drony miały przelecieć nad Irakiem i Kuwejtem (po to by ominąć naszpikowaną radarami Zatokę Perską) i uderzyć na Bukajk i Churajs niedostrzeżone ani przez saudyjskie, ani amerykańskie systemy wykrywające, wobec czego saudyjska obrona powietrzna w ogóle nie została uruchomiona.

Na łamach prasy amerykańskiej eksperci i wojskowi tłumaczą, że Arabia Saudyjska jest dobrze chroniona przed klasycznymi atakami bronią dalekiego i średniego zasięgu (m.in. dzięki patriotom i pociskom Hawk), lecz jest nieodporna na nowoczesne i wyrafinowane naloty dronów współpracujących z inteligentnymi rakietami samosterującymi. „Uderzono nas tam, gdzie jesteśmy słabi” – przyznał anonimowy dygnitarz saudyjski w „The Wall Street Journal”. Analitycy wojskowi dodają, iż nalot został przygotowany z dużą precyzją, inteligencją i wiedzą o tym, jak rozlokowane są saudyjskie i amerykańskie

systemy wykrywające. Prezydent Putin, najwyraźniej w dobrym humorze po ataku, ironizował na konferencji prasowej w Moskwie, że jeśli Saudowie zakupiliby któryś z rosyjskich systemów obrony powietrznej: S-300 (jak Iran) albo S-400 (jak Turcja), to „wszelka infrastruktura Arabii Saudyjskiej byłaby chroniona niezawodnie”.

Telewizyjne i internetowe obrazy pożaru robią spore wrażenie. Nad 30-tys. „miasteczkiem naftowym” Abkajk, położonym na pustyni w pobliżu wybrzeża Zatoki Perskiej, luna i dym obserwowana mogła być także z kosmosu. Abkajk to największy saudyjski kompleks rafinerii naftowych, powstały po II wojnie światowej i zbudowany przez koncern Saudi Aramco. Rafineria Abkajk może przeobrazić ok. 7 mln baryłek ropy dziennie, czyli (dla porównania) jakieś dwadzieścia razy więcej niżli polski Płock (ok. 320 tys. baryłek). Z kolei Churajs to pola naftowe, położone nieco dalej od morza, ledwie

150 km od stolicy państwa – Rijadu (!) Te nowoczesne pola naftowe uruchomiono w 2009 r., z inicjatywy znanej (niekoniecznie od najlepszej strony) amerykańskiej firmy Halliburton, która kierowana niegdyś przez byłego wiceprezydenta USA Cheney’a, po wojnie irackiej zasłynęła praktykami korupcyjnymi uprawianymi w okupowanym kraju. Saudowie oficjalnie oznajmili, iż chwilowo produkcja i eksport paliw przez Aramco spadnie nawet o połowę, po czym dla uspokojenia świata przedstawili harmonogram usuwania zniszczeń, przewidujący powrót do poprzedniego poziomu produkcji w ciągu kilku dni, zaś do pełnych mocy – mniej więcej miesiąc później.

Atak powietrzny na instalacje o takim znaczeniu politycznym i gospodarczym jak Bukajk i Churajs w sposób oczywisty na nowo postawił pytanie o strategię całego Zachodu, a przede wszystkim USA, wobec teokratycznego Iranu. Tymczasem cztery dni wcześniej, 10 września, Donald Trump dość obcesowo zwolnił z pracy swego głównego doradcę politycznego Johna Boltona, który przez półtora roku decydująco wpłynął na twardą linię rządu Trumpa przyjętą wobec Teheranu. Bolton (skądinąd bardzo przyjazny także polskim interesom) był wyznawcą prostej zasady prawdziwych amerykańskich imperialistów, wedle której prezydentowi nigdy nie wolno robić dwóch rzeczy: zostawiać w potrzebie przyjaciół Ameryki albo czynić jakichkolwiek ustępstw wobec jej wrogów. Dlatego Bolton spierał się z Trumpem zarówno o jego jednostronne gesty wobec koreańskiego tyrana Kima, o życzliwość prezydenta dla powrotu Putina na szczyty G-7, jak i o ciągle nadto grzeczne traktowanie irańskich ajatollahów. Podobnie jak izraelski premier Netanjahu Bolton chciał, by sankcje nałożone na Persów uzupełnić akcjami militarnymi przeciw perskim instalacjom nuklearnym. Trump nie chciał się na to dotąd zdecydować, wielokrotnie zapowiadał, że naprawdę chodzi mu o zmuszenie Persów do nowych negocjacji z Ameryką. Jednak zamiast gotowości do rozmów ze strony Teheranu, borykającego się z potężnym kryzysem gospodarczym z powodu sankcji, nastąpił prowokacyjny atak na

saudyjską naftę oraz twarde deklaracje perskiego przywódcy Alego Chameneiego, iż żaden Pers nigdy nie wejdzie w dwustronne rozmowy z Ameryką.

Gdy zabrakło jasnej i twardej strategii Boltona, natychmiast można było dostrzec pewien brak zdecydowania Ameryki w reakcji na atak na Bukajk i Churajs. Sekretarz stanu Michael Pompeo od razu dwukrotnie oskarżył Iran o sprawstwo ataku, określił go mianem „aktu wojny”, po czym udał się do Arabii na konsultacje z saudyjskim następcą tronu księciem Mohamedem ibn Salmanem. Sam prezydent wyglądał już jednak na znacznie bardziej chwiejnego. Zaraz po atakach w swoim stylu oburzył się na Twitterze i rzucił parę gróźb w stronę Teheranu, by już dzień później wyrazić pewną wątpliwość co do tego, jak się sprawy miały. A przede wszystkim oznajmić rzecz dość zdumiewającą: wiarę, że śmiertelni przecież wrogowie, czyli Saudowie i Iran, „chcą się jakoś dogadać i pewnie to się kiedyś uda”. A gdy Trump dodał do tego jeszcze, iż: „nigdy nie obiecywał chronić Saudyjczyków”, to dość wyraźnie zapachniało atmosferą Białego Domu z czasów Obamy, kiedy używano sztuki konstruowania wszelakich argumentów jedynie po to, by uzasadnić niemożność dotrzymywania zobowiązań podjętych przez USA w różnych zapalnych rejonach świata (np. w Syrii). Kiedy w końcu 18 września Saudowie przedstawili publicznie szczątki irańskich dronów i pocisków, traktując je jako koronny argument przeciw Teheranowi, Trump oznajmił na Twitterze, że kazał w ciągu 48 godzin przygotować jeszcze jeden pakiet sankcji przeciw Iranowi.

Tyle że wolno wątpić, czy jakiekolwiek znaczenie mają jeszcze nowe sankcje wobec państwa, któremu i tak zablokowano już 90 proc. eksportu ropy oraz zerwano niemal wszelkie połączenia z globalnym systemem banków i finansów. Wpływowy republikański senator Lindsey Graham z Karoliny Południowej otwarcie domaga się odwetowego nalotu na rafinerie perskie, gdyż nic innego – jego zdaniem – poza siłą nie jest w stanie powstrzymać ajatollahów. Z kolei wrogie Trumpowi liberalne media wykorzystały sytuację, by oskarżyć prezydenta o spowodowanie fatalnego

dla światowej gospodarki ataku na Bukajk i Churajs. Np. w wybitych na czołówki komentarzach gazety „The New York Times” i „The Washington Post” jednomyślnie uznały Trumpa za politycznego sprawcę ataków, a to dlatego, że miał on sprowokować do tego Iran, zrywając zawarte przez Obamę porozumienie nuklearne i dusząc Persów kolejnymi sankcjami, nakładanymi przy sprzeciwie Rosji, Chin i Unii Europejskiej. „Gdyby rządził Obama, to Teheran nigdy nie zdecydowałby się na takie kroki” – pisano.

Argumentacja wrogów Trumpa ma o tyle słabe podstawy, że polityczna ekspansja irańskich ajatollahów w Syrii, Iraku, a nawet na samym Półwyspie Arabskim (rebelie w Bahrajnie i Jemenie) stała się możliwa wyłącznie dzięki uległej i mało asertywnej strategii Obamy na Bliskim Wschodzie. Jednak coraz wyraźniej widać, że obecny prezydent żywi także obawy przed prawdziwie „jastrzębią” polityką w tym regionie, a to powracając od czasu do czasu do niezrealizowanej (całe szczęście) idei definitywnego wyjścia wojsk USA z Syrii, to znów nieoczekiwanie wykazując chwiejność w sprawie sojuszu z Saudami, który do niedawna wydawał się niemal czymś na kształt „doktryny Trumpa” obowiązującej w kwestii Bliskiego Wschodu. Nic nie wskazuje na to, aby ostra polityczna rywalizacja sunnickiej dynastii Saudów z szyickimi ajatollahami z Teheranu miała w nieodległej przyszłości ulec złagodzeniu. Po stronie Saudów stoją Izrael, Egipt, Jordania i Ameryka, która wydawała się dotąd sworzniem tego sojuszu. Po stronie Persów – druga, rzecz by można „alternatywna” strona politycznego świata, czyli Rosja i Chiny. Atak na Bukajk i Churajs jest w jakimś sensie jednym z najostrzejszych jak dotąd przejawów konfliktu pomiędzy tymi obozami. Niepokój i zdziwienie może budzić ujawniona militarna słabość Saudów w obronie własnego terytorium, tym bardziej że Arabia jest trzecim na świecie państwem (po USA i Chinach), gdy idzie o budżetowe wydatki na armię (68 mld dol. w 2018 r.). Ale o tym, która ze stron wyjdzie z ciosem z obecnej fazy konfliktu, zdecyduje nieco chwiejna i mocno chimeryczna wola Trumpa.

Nadzieja dla frankowiczów

Frankowicze, czyli „szczęśliwi” posiadacze kredytów wyrażonych we franku szwajcarskim, z optymizmem, choć ostrożnym, mogą patrzeć w przyszłość. Wszystko z powodu nadciągającego orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Czy faktycznie może ono poprawić los setek tysięcy Polaków uwikłanych w kredyty frankowe?



DOROTA ŁOSIEWICZ

Ponad pół miliona Polaków, którzy posiadają kredyty wyrażone we franku szwajcarskim, z niecierpliwością oczekuje na orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii

Europejskiej w Luksemburgu w sprawie „C-260/18, Dziubak”, które spodziewane jest w połowie października. Skąd przekonanie, że może ono być korzystne dla frankowiczów? Stąd, że w maju w tej sprawie wypowiedział się już rzecznik generalny TSUE Giovanni Pitruzzelli. Jego opinia była korzystna dla osób, które spłacają kredyty wyrażone we franku. Choć stanowisko rzecznika nie jest wiążące, to jednak nie zdarzyło się do tej pory, by jego opinia nie została potwierdzona przez Trybunał.

Pitruzzelli, który odnosząc się do zapytania jednego z polskich sądów, wyjaśnił, że po pierwsze sądy nie mogą zmieniać zapisów w umowach kredytowych naruszających interesy klientów, a po drugie, w przypadku kredytów indeksowanych zobowiązanie i rata powinny być wyrażone w złotych, a oprocentowanie nadal naliczane według stóp procentowych obowiązujących w Szwajcarii. Choć spodziewane orzeczenie TSUE dotyczyć będzie jednostkowej sprawy, to jednak może być konkretną wskazówką dla polskich sądów.

– Rzecznik TSUE potwierdził tak naprawdę to, co pojawiał się w dwudziestu paru wcześniejszych orzeczeniach dotyczących podobnych umów i podobnych problemów występujących w innych państwach UE – mówi Arkadiusz Szcześniak, prezes Stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu. – Pitruzzelli potwierdził jedno: nieuczciwy zapis zawarty w umowie nie obowiązuje od samego początku. Pytania, które w trybie prejudycjalnym zadał polski sąd, dotyczyły skutków takiej sytuacji. Dla klienta i dla banku – wyjaśnia Szcześniak.

O tym, że spodziewane orzeczenie będzie korzystne dla frankowiczów, przekonany jest także mecenas Robert Mazur z Kancelarii Mazur i Wspólnicy.

– Spodziewane orzeczenie TSUE nie będzie miało w sobie elementu nowości z prawnego punktu widzenia. Ono jest atrakcyjne medialnie przez to, że dotyczy sprawy polskiej. Pojawia się pan Dziubak, pani Dziubak, bank Raiffeisen oraz polska umowa dotycząca kredytu wyrażo-

nego jakoby we frankach. Jednak wszyscy prawnicy się spodziewają, co powie TSUE, bo on to już wielokrotnie, w innych orzeczeniach (węgierskich, rumuńskich czy hiszpańskich) powiedział. Gdy wypowie się w sprawie polskiej, sądom będzie łatwiej wydawać korzystne wyroki, bo otrzymają ostatni brakujący element całej układanki. Jeśli jeszcze jakieś składy sędziowskie zastanawiały się nad kierunkiem wyroku, to brak orzeczenia TSUE w polskiej sprawie był ostatnim pretekstem, by nie orzekać korzystnie dla kredytobiorcy – tłumaczy Mazur.

Arkadiusz Szcześniak zauważa, że w ostatnich latach podejście sądów do spraw frankowiczów mocno się zmieniło. – Sądy przez lata orzekały na niekorzyść klientów, bo to w dużej mierze wynikało z niezrozumienia przepisów obowiązującego prawa europejskiego. Stowarzyszenie zgłosiło ponad 140 wyroków do Komisji Europejskiej, która od roku bada te wyroki pod kątem przestrzegania przez polskie sądy prawa europejskiego. Nie mam wątpliwości, że urzędnicy KE, badając wyroki polskich sądów, zobaczyli

wszystkie mankamenty naszego wymiaru sprawiedliwości – mówi Szcześniak.

Czy jeśli TSUE potwierdzi opinię swojego rzecznika, oznacza to automatyczne przewalutowanie wszystkich wyrażonych we franku kredytów? Oczywiście nie.

– Moim zdaniem, jeżeli zapadnie orzeczenie korzystne dla frankowiczów, a wszystko na to wskazuje, będzie to ścieżka do postępowania dla sądów, w jakim kierunku iść, orzekając w przypadku tych kredytobiorców – nie ma wątpliwości ekonomista Marek Zuber.

– Wydaje mi się, że po tym orzeczeniu droga frankowiczów może być łatwiejsza. Po dotychczasowym orzecznictwie TSUE, ale także polskich sądów, możemy powiedzieć, że ludzie albo zostali oszukani, albo strony przynajmniej nie były równorzędne w tej umowie. Mamy także takie wyroki, w których sąd nie doszukiwał się winy banku. Teraz wszyscy będą mieli jasną wykładnię – tłumaczy ekonomista.

Warto też zauważyć, że 28 sierpnia została opublikowana niewiążąca analiza Sądu Najwyższego, która pozostaje

w duchu wypowiedzi rzecznika TSUE, iż właściwe jest uznanie kredytów indeksowanych do franka szwajcarskiego (CHF) jako złotych (oprecentowanych jednak według LIBOR CHF).

– Zgodnie z opinią rzecznika TSUE i analizą SN sytuacja wygląda tak, że po usunięciu nieuczciwych zapisów okazuje się, że mamy od początku kredyt złotówkowy. Mamy więc kredyt w kwocie, jaka w złotych została wpisana do naszej umowy, czyli np. 300 tys. zł, bez wyrażania tej kwoty w walucie obcej, bez żadnych spreadów, a jednocześnie stosujemy pozostałe zapisy umowy, które są według sądów zgodne z prawem. A zgodny z prawem jest zapis, który mówi o oprocentowaniu. Czyli sąd nie przewalutuje kredytu, tylko usuwa nieuczciwe zapisy odnoszące ten kredyt do waluty obcej i pozostawia kwotę kredytu złotówkowego. Ekonomicznie oznacza to kredyt oparty na LIBOR, de facto po kursie udzielenia – tłumaczy Szcześniak.

Przypomnijmy w tym momencie, czym jest kredyt przeciętnego frankowicza. Dość precyzyjnie wyjaśnia to

REKLAMA

LEGENDA PERŁY POLSKICH KRESÓW

LWÓW. MAGIA
PRZEDWOJENNEJ
METROPOLII

OSTATNIE LATA
POLSKIEGO LWOWA

SŁAWOMIR KOPER TOMASZ STANCZYK

10 zł

Wartość w literaturze: Sprawa Gorgonowej wraca na wokandy

ODRONA LWOWA
Włocławek Łowicz
Stanisław Lem
i Marian Moś
Rafal Wojcik
pamięć i historia

Lwowska szkoła matematyczna
SWIETCI TRIUMFY

Pogon gromi Legie 4-0!
Lwów kocha polskiego skoczka
Kazimierz Górski
Jako Sarenko

Chwała cmentarza
Orląt

Książka do kupienia na:
www.xlm.pl

Patronat medialny:

SIECI



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH
Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

właśnie Stowarzyszenie Stop Bankowemu Bezprawiu. W zdecydowanej większości (kilkaset tysięcy) kredyty udzielane frankowiczom są kredytami waloryzowanymi do CHF, a nie kredytami walutowymi, z którymi często są myłone. Podczas boomu na kredyty frankowe, czyli w latach 2005–2010, były one udzielane przede wszystkim jako kredyty indeksowane lub denominowane do CHF. Kredyt indeksowany to taki, w którym bank zobowiązuje się oddać do dyspozycji kredytobiorcy kwotę wyrażoną w złotych. Po wypłaceniu kwoty kredytu (wypłata nastąpiła w złotych) bank przelicza kwotę długu po kursie kupna CHF (indeksowanie) i od tego momentu dług kredytobiorcy jest wyrażony w CHF. Rata kredytu jest wstępnie wyliczana w CHF, po czym w dniu zapadalności (dzień płacenia raty) następuje przeliczenie raty do złotych na podstawie kursu sprzedaży z tabeli kursowej banku. Kredyt denominowany to taki, w którym wnioskowana kwota kredytu jest wyrażona od początku w CHF, na podstawie wstępnego przeliczenia wnioskowanej przez kredytobiorcę kwoty kredytu wyrażonej w złotych i szacunkowo przeliczonej na CHF. Kwota denominowana jest więc nieznaną w chwili zawierania umowy; wypłacana i spłacana jest bowiem kwota w PLN. Analogicznie, przeliczenie „startowe” długu odbywa się według kursu kupna, raty są przeliczane z CHF na złote po kursie sprzedaży. Tymczasem kredyt walutowy to taki, który jest udzielony, wypłacony i spłacany w walucie obcej. Bez przeliczania w żadnym momencie do waluty krajowej. Takie kredyty były w Polsce udzielane w euro, w USD i także w niewielkim procencie w CHF.

O tym, jaką pułapką okazały się kredyty wyrażone w CHF, przekonała się pani Agnieszka z Warszawy. We wrześniu Deutsche Bank zlicytował jej mieszkanie. Za kredyt wypłacony w kwocie 470 tys. zł prowadzono egzekucję na kwotę 1,6 mln zł. „Sprawa dotyczy umowy z 2008 r. o kredyt denominowany wypłacony w kwocie 470 tys. Umowa została zawarta na zakup mieszkania (44 m²). Zabezpieczeniem kredytu stanowi także druga nieruchomość. Kredyt był spłacany do 2012 r. (spłacono ok. 170 tys., po wroście rat (z 3 tys. na 5,5 tys. zł) kredyt

przestał być spłacany” – czytamy opis historii pani Agnieszki na stronie Stowarzyszenia Stop Bankowemu Bezprawiu.

Prawnicy i ekonomiści są zgodni, że kredytobiorcy uwięzieni w kredytach indeksowanych lub denominowanych do franka wcale nie muszą czekać na orzeczenie TSUE, by pójść do sądu i zawalczyć o swoje prawa.

– Koszty procesu zależą od kancelarii. Przeważnie trzeba się liczyć, że to będzie od kilkunastu tysięcy złotych za wszystkie działania aż do uzyskania wyroku pierwszej instancji, ale najczęściej są to koszty bardzo mocno rozłożone w czasie – mówi mecenas Robert Mazur. – Te koszty to jednak niewiele w porównaniu z korzyściami, które można uzyskać, zwłaszcza że całą pracę wykonują prawnicy, a nie ich klienci. Prawie się nie zdarza, żeby korzyści kredytobiorcy z „odfrankowania” były mniejsze niż sześciocyfrowe, są to zwykle potężne kwoty. Trzeba też podchodzić do takiej sprawy jak do długoterminowego projektu i założyć, że walka będzie trwała około 36 miesięcy – ostrzega mecenas Mazur. – Jeśli krócej, to świetnie, ale załóżmy sobie ten bezpośredni czas. Myślę, że bank w zasadzie nie ma interesu, żeby się dobrowolnie poddać, żeby się do czegoś przyznać, bo zaszkodzi całemu portfelowi kredytów, więc prawnicy banku będą w mojej ocenie szli w zaparte. Pożyjemy, zobaczymy. Przedawnienie roszczeń kredytobiorców też cały czas pracuje na korzyść banków, stanowiąc silny motywator do opierania się – tłumaczy mecenas.

Z kolei Marek Zuber podpowiada, gdzie swojej szansy w starciu z bankiem powinni upatrywać frankowicze. – Mamy dwa punkty zaczepienia, jeśli chodzi o problem tzw. kredytów frankowych – wyjaśnia ekonomista. – Jednym jest oprocentowanie kredytu. Tu mamy zawsze dwie zmienne. Jedna to koszt pieniądza na rynku: WIBOR, jeśli to dotyczy złotego, LIBOR, jeśli to dotyczy innych walut, czyli obiektywną wielkość, która wynika z sytuacji na rynku pieniężnym i na rynku, gdzie banki pożyczają sobie pieniądze. Druga zmienna to marża, czyli to, co zarabia bank na kredycie. I teraz w wielu umowach pojawiały się zapisy, że bank podczas trwania kredytu może tę marżę zmienić. Tak więc osoba, która zaciągnęła kredyt, nie znała oprocentowania kredytu, gdyż ono

mogło się zmieniać, gdy np. bank nagle postanowi podnieść swój zysk i zmienić marżę. Mamy tu więc nierówne traktowanie podmiotów umowy. Drugi punkt zaczepienia, to kwestia spreadów i kursu walutowego. Ten jest bowiem zmienny, więc kredytobiorca właściwie nigdy nie zna salda kredytu – wyjaśnia Zuber.

Wracając do spodziewanego i oczekiwanego wyroku TUSE, mecenas Mazur dostrzega jednak pewne ryzyko, dodając łyżkę dziegciu.

– Po wyroku TSUE może się zadziać kilka ciekawych rzeczy. Po pierwsze, wiele zawieszonych teraz spraw wreszcie pójdzie naprzód. Po drugie, wiele kolejnych osób zdecydowało się na procesy, mamy już bowiem wszystkie elementy prawniczej układanki. TSUE powie ostatecznie, jak ma być, SN niedawno już powiedział, jak ma być. Nic prawniczo dodać, nic ująć – nie ma wątpliwości mecenas Mazur. – Trzeba jednak wziąć pod uwagę także inny scenariusz. Nagle może się okazać, że się pojawią wbrew oczekiwaniom niekorzystne dla frankowiczów wyroki. To dlatego, że te sprawy nie są tak proste, jak mogłoby się niektórym wydawać. Nie zawsze wadliwa umowa oznacza pewne zwycięstwo. My za każdym razem badamy kilkadziesiąt różnych dodatkowych okoliczności, których wystąpienie mogłyby uniemożliwić lub ponadprzeciętnie utrudnić uzyskanie korzystnego wyroku. A one jeszcze występują w różnych kombinacjach z sobą. Dostrzegam ryzyko, że po wyroku TSUE za prowadzenie spraw frankowiczów weźmie się cała masa różnych dziwnych firm, które tak naprawdę nie mają na tym polu żadnego doświadczenia, a będą się reklamować przy autostradach hasłami: „Specjaliści od franków”. Ale potem, już na sali sądowej, przyjdzie brutalna rzeczywistość i bankowi prawnicy rozniosą tych „fachowców” w pył. Zresztą kilka dni temu głośno było o wyroku, w którym sąd oddalił roszczenia kredytobiorcy, bo jego pozew sformułowano wadliwie, więc ten problem już istnieje. Te podmioty nie mają pojęcia, jak można się na tych sprawach poślizgnąć. Obawiam się, że pojawi się wiele spraw przegranych w ten niepoważny sposób, a to będzie wodą na młyn banków, które będą straszyły pogarszającymi się statystykami w sądach i będą zniechęcały do wstępowania na drogę sądową – kończy prawnik.



Nowa oferta dla firm **BIZNES BOX PRO**

Wybierz, jak Zbigniew Boniek, nową ofertę dla profesjonalistów **BIZNES BOX PRO** z dwiema kartami SIM, Internetem do biura i smartfonem **Samsung Galaxy Note10+** aż 500 zł taniej!

Play. Największa sieć komórkowa w Polsce.
Szczegóły na www.playdlafirm.pl



PLAY

dla Firm

500 zł to maksymalny, dodatkowy rabat na jeden smartfon przy jednoczesnym zawarciu 2 umów BIZNES BOX PRO. Minimum jedna umowa w taryfie z dopłatą od 50 zł miesięcznie. Promocja dotyczy wybranych modeli. 5G READY to zaawansowana sieć LTE-A gotowa na technologię 5G w przyszłości. Zasięg dla ok. 15% populacji. Samsung Galaxy Note10+ nie obsługuje 5G. Największa sieć oznacza największą liczbę kart SIM. Szczegóły na www.playdlafirm.pl

Co czwarta złotówka z BGK trafia do samorządów

Z Beatą Daszyńską-Muzyczka, prezesem zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, rozmawia Grażyna Raszkowska

Mija 95. rocznica powstania Banku Gospodarstwa Krajowego. To okazja, by zapytać o najważniejsze dokonania BGK w rozwoju polskiej gospodarki w przeszłości i obecnie.

Beata Daszyńska-Muzyczka: Chciałabym przede wszystkim podkreślić naszą rolę, gdy zaczynaliśmy działalność, czyli wtedy, gdy Polska wracała na mapę świata, gdy odradzała się II Rzeczpospolita.

Może najmłodsze pokolenie tego sobie nie uświadamia, ale wtedy to był prawdziwy cud, polegający na odtworzeniu państwa, jego struktur. I nasi pradziadkowie tego dokonali.

Polska wychodząca spod trzech zaborów była biedna, tylko 60 proc. społeczeństwa posługiwało się językiem polskim i ogromnie brakowało kapitału.

BGK postawił wtedy na kapitał Polaków.

Mówimy tu o poświęceniu przede wszystkim osób prywatnych, składających się finansowo na odbudowę polskiej gospodarki.

Nasz bank powstał m.in. po to, aby mobilizować wykorzystanie polskiego kapitału, bo trzeba zdawać sobie sprawę, że pójdzie inną drogą – zdobywania go z pożyczek od państw zachodnich – mogło się skończyć daleko idącymi ustępstwami politycznymi, np. redukcją naszych aspiracji granicznych.

Dziś bank kieruje się nie tylko kryteriami finansowymi, lecz także społecznymi i rozwojowymi.

I właśnie to podejście – polegające nie tylko na osiąganiu zysków i pilnowaniu wyników, lecz przede wszystkim na wsparciu rodzimych celów gospodarczych, realizowanych przez przedsiębiorstwa i samorządy, ma służyć w dalszym ciągu rozwojowi gospodarczemu i społecznemu.

Dla nas jest bardzo ważne, jakie problemy rozwiązujemy, poprzez budowę różnych rozwiązań finansowych.

Jesteśmy bankiem, którego celem nie jest konkurowanie z innymi bankami, ale tworzenie ekosystemu wspierającego przedsiębiorców.

BGK nie chce konkurować z bankami komercyjnymi?

Gdy spotkałam się po raz pierwszy z kolegami z banków komercyjnych, pytali mnie, czy będę z nimi konkurować.



Odpowiedziałam, że nie chcę z nimi konkurować, ale zaprosić do współpracy, aby programy i rozwiązania BGK, dołączone do ich produktów, mogły tworzyć jeszcze większą wartość dla biznesu. Powinniśmy być razem odpowiedzialni za dobre rozwiązania finansowe.

I tak też rolę BGK postrzegam we współpracy z samorządami. Chyba nie ma samorządu w Polsce, z którym nie współpracowaliśmy.

Samorządy postrzegane jako partnerzy, a nie tylko jako klienci?

Samorząd najlepiej wie, jakie potrzeby ma lokalna społeczność. Siadamy przy stole i zastanawiamy się, jakimi metodami je sfinansować – pożyczką, obligacjami czy zaangażowaniem kapitałowym. Tu wielką rolę odgrywa Fundusz Inwestycji Samorządowych, w którym razem z Państwowym Funduszem Rozwoju jesteśmy inwestorem.

BGK ma swoje regionalne przedstawicielstwa w 16 województwach – jesteśmy więc blisko samorządów i przedsiębiorców, rozumiemy zróżnicowane potrzeby regionów.

Na jakie środki mogą liczyć samorządy?

Obecnie dysponujemy 600 mln zł w Funduszu Inwestycji Samorządowych. Jednak – pragnę to podkreślić – nie mamy limitów w finansowaniu celów samorządowych. Wielkość

finansowania poszczególnych projektów zależy od indywidualnej jego oceny.

O tym, jak wzrasta skala naszego finansowania, świadczy 54 mld zł zaangażowania dłużnego, jakie mamy na koniec lipca tego roku, z czego 13 mld zł obejmuje nasz udział w projektach jednostek samorządowych i spółek komunalnych. To oznacza, że co czwarta złotówka trafia do tego sektora.

Warto pamiętać, że bank nie jest i nie może być charytatywną instytucją zajmującą się rozdawaniem pieniędzy. Finansujemy projekty na zasadach rynkowych, stosując korzystne warunki – takie jak dłuższy okres finansowania czy łączenie form wsparcia, np. kapitałowego z kredytowym.

Jak swoją rolę widzi bank w momencie, gdy zacznie się wyczerpywać jedno z ważnych źródeł finansowania inwestycji samorządowych – środki z Unii Europejskiej?

Faktycznie nowa perspektywa finansowa oznacza nie tylko mniej środków, lecz i wprowadzenie nowego sposobu ich wydatkowania – już nie dotacji, ale formuły zwrotnej, czyli pożyczek.

Osobiście jestem zwolennikiem ich stosowania, choćby dlatego, że uczą gospodarowania. Gmina, która nauczy się efektywnie zarządzać pożyczonymi pieniędzmi, będzie je miała na następną inwestycję.

Oczywiście pomagamy w zdobywaniu tych umiejętności, nie pozostawimy gmin samym sobie.

BGK jest zaufanym partnerem polskich samorządów

Czy samorządy poradzą sobie z zachowaniem aktywności inwestycyjnej, gdy dojdzie do redukcji funduszy europejskich? A z taką ewentualnością trzeba się liczyć w nadchodzącej kilkuletniej perspektywie. To jeden z głównych tematów, nad którym zastanawiało się pół tysiąca samorządowców przybyłych na konferencję zorganizowaną w Warszawie przez Bank Gospodarstwa Krajowego.

O kierunkach rozwoju samorządów, ich roli w rządowej strategii rozwoju, o finansowaniu inwestycji, zwłaszcza w kontekście przewidywanego zmniejszenia środków z UE w przyszłej perspektywie 2021–2027, mówiono podczas jednego z najważniejszych wydarzeń dla jednostek samorządu terytorialnego, jakim jest coroczna konferencja Banku Gospodarstwa Krajowego. Tym razem odbyła się po raz 14.

BGK systemowo angażuje się w pomoc skierowaną do samorządów przede wszystkim poprzez wsparcie finansowe, ale również organizowanie dyskusji, debat i warsztatów podczas konferencji.

Tegoroczne wydarzenie było jednak wyjątkowe ze względu na przypadającą 95. rocznicę powstania Banku Gospodarstwa Krajowego. Patronat honorowy nad konferencją objął prezydent RP Andrzej Duda.

Prezes BGK Beata Daszyńska-Muzycka przypomniała, że bank został powołany w rodzącej się po latach niepodległej Polsce, aby wspierać przedsiębiorstwa i samorządy oraz pomóc w strategicznym rozwoju kraju.

– Temu wyzwaniu i zadaniu jesteśmy wierni do dzisiaj – podkreślała prezes BGK, rozpoczynając konferencję, której tematem przewodnim było „Finansowanie rozwoju samorządów – potrzeby i możliwości”.

– Te dwa dni wypełnione są wiedzą i rozmowami na tematy istotne dla samorządowców. Dużą uwagę poświęcamy nowej perspektywie budżetowej UE, programom rozwoju budownictwa społecznego, finansowaniu inwestycji w wielu obszarach działalności instytucji publicznych. Z naszym udziałem znaczny strumień pieniędzy z UE trafia do polskich regionów i gospodarki, a zatem ogromnie się cieszymy, że po raz kolejny spotykamy się, by mówić o potrzebach samorządów – podkreślała Beata Daszyńska-Muzycka.

Możliwości, jakie daje samorządom korzystanie z programów mieszkaniowych realizowanych w BGK, wskazywał wiceprezes BGK Włodzimierz Koccon. Ale zwrócił także uwagę na szerszą perspektywę.

– Wprowadzenie Narodowego Programu Mieszkaniowego określiło spójne podejście państwa do polityki mieszkaniowej, a także jego aktywną rolę we wspieraniu mieszkalnictwa – mówił. Obecnie bank dysponuje m.in. funduszem dopłat, w którym gminy mogą liczyć na bezzwrotne wsparcie nawet do 60 proc. kosztu inwestycji, takim kredytem oferowanym m.in. spółkom komunalnym, z preferencyjnym oprocentowaniem.

Ostatnie lata ze względu na dynamiczny rozwój gospodarczy Polski ot-

wierają przed samorządami nowe możliwości, ale też nowe wyzwania, które wymagają finansowego zaangażowania: szybką rozbudowę infrastruktury, konieczność wypełnienia luki mieszkaniowej czy zmiany w polityce energetycznej.

Do tych zadań potrzebne są ogromne pieniądze – o tym, jakie potrzeby i luki mogą się pojawić w finansowaniu JST w związku z przewidywanym pomniejszeniem środków z funduszy europejskich, mówiono podczas wielu debat.

Wstępem do tych rozważań była analiza scenariuszowa „Utrzymanie intensywności nakładów inwestycyjnych JST w kontekście malejących środków z funduszy europejskich do roku 2030”, którą zaprezentował podczas konferencji Mateusz Walewski, główny ekonomista BGK.

Najważniejsze wnioski płynące z prezentowanych analiz, które – jak podkreślają jej autorzy – mają charakter wyłącznie poglądowy, pokazują, że zarówno województwa, jak i miasta na prawach powiatu w przypadku silnej redukcji napływu środków unijnych powinny korzystać z alternatywnych źródeł finansowania po to, by utrzymać swoją historyczną aktywność inwestycyjną.

Natomiast gminy i powiaty mogą się znaleźć w innej zgola sytuacji. Przygotowany przez BGK scenariusz zakłada, że jeśli utrzyma się relatywnie dobra koniunktura makroekonomiczna – wówczas będą one w stanie utrzymać swoją dotychczasową aktywność inwestycyjną, nawet wtedy gdy napływ środków unijnych będzie skromniejszy.



Fot. Materiały prasowe

Ambitna strategia PZU – dłuższe i zdrowe życie Polaków

Rekordowe zyski – a te w zeszłym roku były dla Grupy PZU najwyższe od pięciu lat – można połączyć ze społeczną wrażliwością. Realizacji ambitnych biznesowych celów może towarzyszyć społeczne zaangażowanie. PZU jest tego przykładem

Dłuższe, zdrowsze i lepsze życie wszystkich Polaków to cel ambitny, ale realny. Mówili o tym uczestnicy debaty „Polacy najdłużej żyjącym narodem w Euro-

pie? Co zrobić, żeby żyć przynajmniej 10 lat dłużej?”. Prowadząca rozmowę dziennikarka TVP Anna Popek podkreślała, że PZU odgrywa przy tym pionierską rolę.

Tytuł debaty, która odbyła się przy okazji Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju, nawiązywał do ogłoszonego w czerwcu przez PZU programu #10latdłużej. Projekt jest społeczną



strategią PZU na rzecz zdrowia, bezpieczeństwa i lepszej jakości życia wszystkich Polaków.

– Nasze zdrowie jest w naszych rękach. Dlatego postanowiliśmy wyznaczyć ambitny cel – tak prezes PZU Paweł Surówka tłumaczył intencje strategii #10latdłużej. – Chcemy, żeby Polacy żyli jak najdłużej i w jak najlepszym zdrowiu. Niestety, zbyt mała jest jeszcze świadomość, ile zdrowia jest w naszych rękach – dodał prezes Surówka.

CEL JEST REALNY

Przeciętny Polak żyje 74 lata, a Polka – 82. To jeden z gorszych wyników w Unii Europejskiej. Taką średnią długość życia mieszkańcy zachodniej

Europy osiągnęli już 16 lat temu. To dowód, że wydłużenie życia jest realne. Ma do niego prowadzić większa odpowiedzialność za własne zdrowie.

Do tego zachęcał uczestniczący w debacie wiceminister zdrowia Waldemar Kraska. Jak mówił, Polacy zaczynają się troszczyć o zdrowie dopiero, gdy zaczyna im coś dolegać, a wtedy nadużywają leków. Podkreślał, że olbrzymią rolę odgrywa profilaktyka i regularne badania: – Każdy raz na rok robi przegląd swojego samochodu, ale nie każdy chce raz na rok pójść do lekarza, by sprawdzić stan swojego zdrowia – zwracał uwagę wiceminister. Tymczasem wczesna diagnoza choroby może ratować nawet życie.

Jako przykład prezes PZU Życie Roman Pałac podał cukrzycę: – Badanie cukru jest niezbędne. Im wcześniej jest zdiagnozowana cukrzyca, tym lepiej – powiedział. Dlatego PZU uruchomił mobilne Strefy Zdrowia, które odwiedzają całą Polskę. Można w nich skorzystać z darmowych badań, m.in. poziomu cukru, a także bezpłatnych konsultacji lekarskich. – Ubezpieczamy zakłady zatrudniające tysiące pracowników. Wiemy, na jakie choroby najczęściej zapadają Polacy, stąd taki dobór badań – tłumaczył prezes Pałac.

Jedną ze Stref Zdrowia PZU uruchomił przy okazji forum w Krynicy. Była dostępna dla wszystkich mieszkańców i gości uzdrowskiej miejscowości, nie tylko uczestników konferencji ekonomicznej. – To właśnie element prewencji. Wczesne wykrywanie chorób umożliwia poprawę jakości życia – tłumaczył prezes Pałac.

NAUKA POTWIERDZA

Według badań naukowców amerykańskiego Uniwersytetu Harvarda, prowadzonych przez kilkadziesiąt lat na grupie 120 tys. osób, trzymając się określonych zasad, można wydłużyć sobie życie nawet o 14 lat. Te zasady to: zdrowe odżywianie, uprawianie sportu, unikanie stresu i wysypianie się, niepalenie papierosów i umiarkowane picie alkoholu. – Nie więcej niż dwa kieliszki wina na tydzień – zaznaczył ceniony kardiolog i p.o. prezes

Agencji Badań Medycznych Radosław Sierpiński.

Wyniki badań amerykańskich naukowców przytoczył jako dowód, że wydłużenie życia Polaków, co stawia sobie za cel PZU, jest możliwe. Co więcej, leży w naszych własnych rękach, niezależnie od rozwoju technologii medycznych i postępów samej medycyny. W sukurs przyszli mu praktycy.

– Kluczem jest znalezienie chociaż 30 minut dziennie, żeby się porozciągać i poćwiczyć – przekonywała mistrzyni świata i Europy w kick boxingu Agnieszka Rylik. Apelowala, żeby nie zaczynać od siłowni, ponieważ dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do wysiłku, efekt może być odwrotny, lecz od „małych kroczków”. – Spacer, skakanka, ping-pong, kometka, każda forma aktywności jest dobra – wyliczała całą paletę możliwości.

Uzupełnieniem aktywności fizycznej musi być odpowiednie żywienie. Zwracał na to uwagę znany kucharz Pascal Brodnicki. Radził, by unikać nadmiaru mięsa. – Ono zakwasza organizm. Trzeba zużyć dużo energii, by je strawić – tłumaczył. Według niego powinniśmy jeść mięso nie częściej niż dwa razy w tygodniu. Co w zamian? Rośliny strączkowe i kasze. – Zapomnieliśmy o tym roślinnym źródle białka – mówił Brodnicki. Przyznał, że sam stosuje również kilkunastogodzinne głodówki.

PZU SPONSOREM DOBRYCH POSTANOWIEŃ

– Mówimy o zdrowiu jako o braku choroby. Ale o zdrowie trzeba aktywnie dbać na co dzień. To nasze codzienne decyzje w zakresie żywienia, aktywności fizycznej czy regularnych badań prewencyjnych mają prawdziwe przełożenie na zdrowie – podsumował debatę prezes Paweł Surówka.

Jak powiedział, PZU „chce być sponsorem dobrych postanowień Polaków”. – Zaczynamy od badań prewencyjnych i profilaktycznych. Jeśli pokażemy, że efektem może być 10 lat życia więcej, profilaktyka przestanie być udręką, tylko zbuduje jakość życia – dodał. Temu właśnie służy ambitna strategia PZU #10latdłużej.

Co roku na drogach w Polsce dochodzi do ponad 30 tys. wypadków. Według szacunków Instytutu Transportu Samochodowego nawet co czwarty może być spowodowany używaniem telefonu komórkowego podczas jazdy. Policja alarmuje, że mimo olbrzymiej liczby tragedii problem nie maleje, lecz rośnie.

– Nie możemy się bezzwrotnie przysłuchiwać. Chcemy zapobiegać wypadkom. Chcemy uświadamiać niebezpieczeństwa i ratować ludzkie życie – mówi prezes Surówka. Taki cel ma ogólnopolska kampania społeczna PZU „Prowadzisz? Odlóż telefon”.

JAK Z ZAMKNIĘTYMI OCZAMI

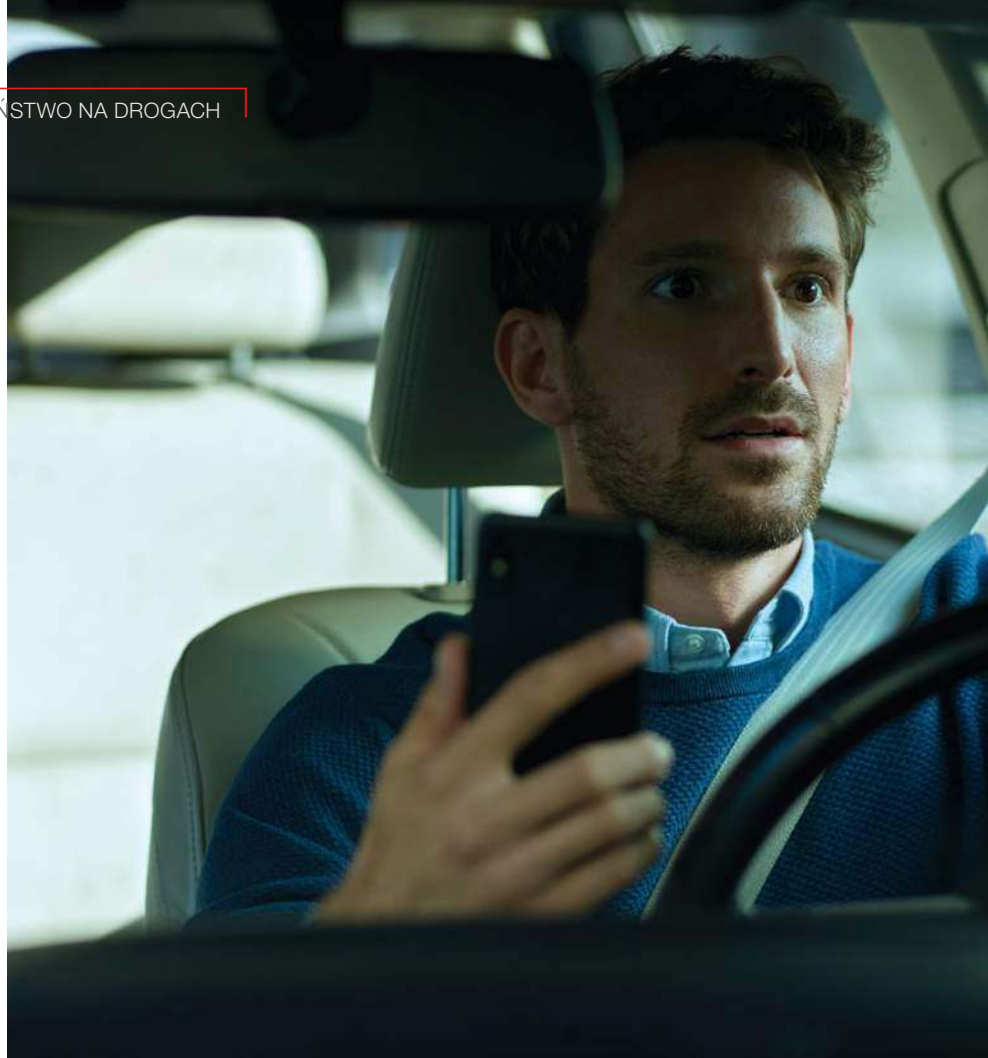
Kiedy trzy lata temu w wypadku samochodowym pod Oksfordshire w Wielkiej Brytanii zginęła cała rodzina – troje dzieci i ich matka, tragedię szeroko relacjonowały polskie media. Jej sprawcą był polski kierowca ciężarówki, który w trakcie jazdy zmieniał muzykę w telefonie. – Nie zauważył, że na autostradzie był wypadek i że stoją przed nim samochody – przypomina Dorota Macieja z zarządu PZU Życie, pomysłodawczyni kampanii „Prowadzisz? Odlóż telefon”.

Przez swoją nieuwagę Polak zmiażdżył ciężarówką stojące w korku auto z rodziną. Sędzia, który skazał kierowcę na 10 lat więzienia, komentował, że Polak „równie dobrze mógł prowadzić z zamkniętymi oczami”. Potwierdzają to zleczone przez PZU eksperymenty na torze jazdy i badania.

WYSTARCZY CHWILA

Sekunda nieuwagi, gdy wybieramy w telefonie numer albo piszemy wiadomości, to przy stosunkowo niewielkiej prędkości, 50 km/godz., aż 13 przejechanych metrów. – To szerokość kilku przejść dla pieszych. Tych, przez które ktoś może przechodzić. Co gorsza, także rozmawiając przez telefon. Dlatego apelujemy: odlóż telefon! Odlóż telefon, prowadząc auto, jadąc na rowerze czy hulajnodze albo wchodząc na przejście dla pieszych – tłumaczy Dorota Macieja.

Jak podkreśla, PZU chce trafić do Polaków, opierając się właśnie na twar-



PZU chce ratować życie na drogach

Ubezpieczeniowa firma rozpoczyna szczytną kampanię społeczną „Prowadzisz? Odlóż telefon”.

– Każda tragedia, której uda się zapobiec, będzie sukcesem – deklaruje prezes PZU Paweł Surówka

dych naukowych faktach, ekspertyzach i badaniach. – Zależy nam, aby zmienić przekonanie, że kilka sekund rozmowy przez telefon czy odpowiadanie na SMS-y w trakcie jazdy nie ma wpływu na bezpieczeństwo. Testowe jazdy wykazały, że przyczyną trzech wypadków

na cztery jest właśnie używanie telefonu w trakcie jazdy – mówi Macieja. – Chcielibyśmy, żeby dzięki naszej kampanii Polacy uświadomili sobie, że używanie smartfona w czasie jazdy jest tak samo groźne, jak jazda po alkoholu czy narkotykach – dodaje.



6/20/19/F

Dorota Maciejka z zarządu PZU Życie, pomysłodawczyni kampanii „Prowadzisz? Odlóż telefon”

NONSZALANCJA I BEZTROSKA

Mimo nagłaśnianych przez media tragedii, takich jak ta w Wielkiej Brytanii, kierowcy lekceważą zagrożenie. Według zleconych przez PZU sondaży prawie 60 proc. z nich przyznaje, że rozmawia w trakcie jazdy przez telefon, trzymając go przy uchu. Jednocześnie co trzeci uważa, że ma podzielną uwagę i telefon przy uchu nie wpływa na bezpieczeństwo jazdy.

Inaczej widać to z siedzenia pasażera. Aż 70 proc. ankietowanych pasażerów deklaruje, że czuje strach, gdy kierowca jest zajęty telefonem. Z taką sytuacją spotkała się większość z nich. Ponad jedna czwarta przyznaje, że kierowca pisał lub czytał SMS-y.

TELEFON DO ZMARŁEGO

– Problem nie maleje, tylko rośnie – potwierdza inspektor Mariusz Ciarka z Komendy Głównej Policji. Według niego przyczyną jest rozwój technologii, a więc coraz powszechniejsze używanie

smartfonów, a jednocześnie panująca beztroska. – Jeśli przy prędkości 50 km/godz. pokonujemy 13 m, to proszę sobie wyobrazić, jaki dystans pokonujemy, jadąc 100 km/godz. – ostrzega.

Jak mówi, spotkał się w pracy z wieloma tragediami, których przyczyną było korzystanie z telefonu podczas jazdy. – Kobieta chciała odpisać na SMS-a. Zjechała na przeciwległy pas ruchu. Spowodowała wypadek, w którym zginęły trzy osoby – opowiada.

– Inny przypadek, gdy do kierującego autem męża zadzwoniła żona. Słyszała cały wypadek do samego końca. To straszne przeżycie, gdy prowadzimy oględziny na miejscu wypadku, a telefon cały czas wibruje, z kolejnymi SMS-ami od bliskiej osoby, która pisze kolejne wiadomości, że się martwi – dodaje inspektor Ciarka.

W TROSCE O POLAKÓW

Kampania „Prowadzisz? Odlóż telefon” jest elementem szerszego projektu #10latdłużej, który prowadzi PZU. To społeczna strategia spółki na rzecz zdrowia, bezpieczeństwa i lepszego komfortu życia Polaków. – Chcąc zadbać o zdrowie Polaków, musimy najpierw chronić ich życie. Nie może być

narażane na niebezpieczeństwo za każdym razem, gdy wsiadają za kierownicę czy na rower albo gdy jako piesi przechodzą przez jezdnię. Dlatego do wielu realizowanych dotąd projektów dołączamy nowy, a więc kampanię „Prowadzisz? Odlóż telefon” – tłumaczy prezes PZU Paweł Surówka.

Jak mówi, dla PZU miarą sukcesu jest osiągnięcie nie tylko biznesowych, lecz także społecznych celów. – Ciesząc się rekordową rentownością i najwyższymi od pięciu lat zyskami, realizujemy projekty służące wszystkim Polakom – dodaje. Do takich cennych projektów należała akcja polegająca na rozdaniu ponad 1,5 mln uczniom w Polsce świateł odbłaskowych. W projekt #10latdłużej wpisuje się również akcja na rzecz „korytarzy życia” na autostradach czy edukacyjny program „Akademia Bezpieczeństwa Fundacji PZU”, a teraz ogólnopolska kampania „Prowadzisz? Odlóż telefon”.

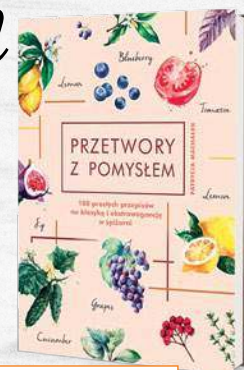
Żeby zobrazować niebezpieczeństwa wynikające z używania podczas jazdy telefonu, PZU zaprosił do testów na torze dziennikarzy uczestniczących w konferencji prasowej na temat kampanii. W trakcie jazdy musieli odbierać telefony i odpowiadać na SMS-y. Żaden nie utrzymał się na wyznaczonym torze.

Podkrecone pomysłami

Przecier gruszkowy z tymiankiem, frużelina mango z kolendrą, syrop mleczno-dyniowy z przyprawami korzennymi, keczup z cukinii, nalewka z czarnej porzeczki z szałwią... Czasem jeden składnik może odmienić smak znanych z dzieciństwa przetworów, a wekowanie, pasteryzowanie, kiszenie stać się przyjemnością i sposobem na ciekawe spędzenie czasu.

Sto przepisów na klasyczne, ale odświeżone nowatorskimi pomysłami przetwory (w tym również solonki, kiszonki, marynaty oraz dżemy i kompoty w zupełnie nowej odsłonie). Porządna porcja wyobraźni i szczypta kulinarnej odwagi mogą odmienić kuchnię.

Przepisy Patrycji Machalek (jeśli konfitura morelowa, to tylko z tymiankiem; w dżemie świetnie sprawdzą się



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

marchewka i pomarańcza, a gruszki wiele zyskają dzięki cynamonowi i imbirowi) dopełnione też zostały anegdotalami i ciekawostkami. Dowiadujemy się dzięki nim m.in., dlaczego dziewczęta żuły

kawałek pigwy przed nocą poślubną lub czemu jarzębina, tak dobrze sprawdzająca się w nalewkach, nazywana jest drzewem czarownic. Poznamy też zasługi Ludwika Pasteura w wyjaśnieniu... procesu powstawania octu.

Autorka przytacza zachowaną w Polsce recepturę z 1770 r. na „prawdziwy ocet siedmiu złodziei”: „Wziąć pączków świeżych piołunu wielkiego, piołunu małego, rozmarynu, szałwii, mićkiewu [mięty], ruty, każdego po lutów 3, kwiatu lawendowego lutów 4, czosnku ½ luta, dzięgla 2 luty, tatarskiego ziela korzeń, cynamonu, goździków, muszkatołowych gałek każdego ½ luta, octu winnego najtęższy garniec. Te wszystkie preparaty pokrajać, potłuc i w szklany gąsior z tym octem pomieszać, dobrze zawiązać pęcherzem i niech przez 12 dni na słońcu stoi. Tym się umywać, na czczo po łyżce co dzień zażywać. Nos i gębę tym nacierać i zawsze nosić w balsamce przy sobie, dla częstszej wachania sposobności”.

Patrycja Machalek „odczarowuje” kompoty. Namawia: „zaszalej z przyprawami, w końcu każdy ma swoje ulubione smaki, czasami bardzo zaskakujące”. Sama do kompotu jabłkowego dorzuca laskę cynamonu, gałązkę melisy, rozmarynu. Dynię łączy z goździkami i cynamonem. I gorąco zachęca, by powalczyć z pigwą – wspomniał, chociaż niełatwym w obróbkę składnikiem przetworów, w tym kompotu, którego przepis (zacierpnięty z książki) przedstawiamy.

Jolanta Gajda-Zadworna

Kompot pigwowy

„Szorowanie, obieranie, krojenie, wykrawanie gniazd nasiennych, szatkowanie – czegokolwiek będzie wymagał od ciebie przepis na przyrządzenie przetworu z pigwy, urobisz sobie ręce po łokcie. Dlaczego? Pigwa jest strasznie twarda. Bywało, że pękały mi na niej noże. A jednak naprawdę warto! Pominę już spore ilości witaminy C, witamin z grupy B, potasu, wapnia i fosforu. Pigwa ma po prostu niezwykley smak. Bywa, że zestawia się ją z gruszkami i jabłkami, ale uważam, że to trochę naciągane porównanie. Trochę przypomina je wyglądem, ale w smaku jest wyraźniejsza, bardziej cierpka i kwaśna. Próbowalaś kiedyś surowej pigwy? Jest po prostu niejadalna. Pigwa to owoc, który da się jeść tylko po przetworzeniu. A więc do dzieła.

300 g pigwy (2–3 owoce); zalewa: 4 łyżki cukru na 600 ml wody.

Możesz dodać: korę cynamonu, laskę wanilii, 4–5 goździków, niewielki kawałek świeżego imbiru, jabłko lub gruszkę, kilka plasterków cytryny, gałązki świeżych ziół, które akurat masz pod ręką. Uważaj jednak, żeby nie przeszarżować z dodatkami – wybierz maksymalnie dwa.

Pigwy porządnie wyszoruj (najlepiej zrobić to szczoteczką, ale dokładne mycie rękami pod bieżącą wodą też się sprawdzi). Przekrój je na ćwiartki i wykrój gniazda nasienne. Nie obieraj owoców, tylko pokrój je w niewielką kostkę lub dość cienkie plasterki. Włóż do wyparzonych słoików – pigwa powinna zajmować od 1/3 do 1/2 wysokości. Przygotuj zalewę: w garnku zagotuj wodę z cukrem, a kiedy cukier zupełnie się rozpuści, odstaw na 2–3 minuty i zalej owoce w słoikach. Pamiętaj, by zostawić 2–3 cm wolnej przestrzeni pod wieczkiem. Stygnące płyny zwiększają swoją objętość i jeśli wypełnisz słoik po brzegi, może się okazać, że kompot będzie miał za mało miejsca. A wtedy wystarczy, że odrobina przecisnie się pod wieczkiem i kompot będzie zepsuty. Wypełnione gorącą zalewą słoiki mocno zakręć, postaw do góry dnem i pozostaw do ostygnięcia. Daj pigwom kilka dni – niech sobie popracują w zalewie. A potem kompot będzie już gotowy.

Sos z kapelusza

ANNA MONICKA

Co zrobić z jednego grzyba? Ludzie tacy jak moi rodzice, którzy przyzwyczaili się, że po grzyby wychodzą sobie na spacer na łąkę, a maślaki rosną na ich terenie pod świerkiem, w tym roku przeżyli zawód. Było sucho, tak bardzo, że nie wyrosło nic. Po raz pierwszy, odkąd się wprowadzili z miasta, a więc od 15 lat. Jednej sąsiadce wyschła studnia, u innej wody jest na dwa kręgi, a więc niebezpiecznie mało. Poschły drzewa, krzewy, które nie zdążyły się głęboko ukorzenić, aronie urodziły owoce suche i twarde jak kamienie, winorośl ma tylko kilka kiści. U ciotki zamiast dyń na gałęziach dyndają smętnie jakieś chude ogórki. Nic dziwnego, że i grzybów mało.

Ale po ostatnich deszczach grzybiarze wyraźnie się ożywili. Zaczęli planować wycieczki na weekend po pełni, bo jeśli są sprzyjające warunki pogodowe, zawsze wtedy jest urodzaj.

I tak się właśnie stało. W sobotę była pełnia, w niedzielę lunęło, a w poniedziałek tata poszedł raniutko na spacer z psem na sobie tylko znaną polankę z młodymi dąbczakami. Zwykle chodzi wolno i dostojnie, ale z tego spaceru gnał do domu jak nastolatek, dźwigając prawdziwka. Jednego, to prawda, ale za to takiego, że byłaby z niego wigilia dla całej rodziny. Wielki jak stółek, zdrowy i jędrny, chłodny od porannej rosy. Nie zdążyły go napocząć ani robaki, ani ślimaki.

Najlepiej byłoby w całości taki okaz zamarynować, a potem postawić słoje na stole w czasie jakiegoś rodzinnego przyjęcia, żeby wywołać efekt. Sęk w tym, że nie mamy ani tak wielkiego garnka, ani słoika. Uradziłyśmy więc z mamą sos do spaghetti z kapelusza. Robi się go szybko, a zapach jest wprost zniewalający. Korzeń został ususzony – na świąteczny bulion.

Sos borowikowy jest tak sycący jak gulasz. W końcu grzyby nie bez powodu nazywane są leśnym mięsem. Mają wszystkie aminokwasy, które budują białka, kwasy omega 3, przeciwutleniacze, polisacharydy o działaniu przeciwrakowym. Warto je więc jeść nie tylko dlatego, że dobrze smakują. A doprawione ziołami będą lżej strawne. Do borowików, delikatnych i słodkawych, pasują np. bardzo wyraziste rozmaryn czy tymianek.

Kapelusz pokrojony w paski rzucamy więc na oliwę z lekko zeszkłonymi piórkami cebulki, mieszamy i smażymy kilkanaście minut, doprawiamy ziołami, solą, pieprzem. Można dolać śmietanę, można rozpuścić ser, np. słodkawą gorgonzolę, można dodać ciut masła. Polewamy sosem makaron, kaszę lub ziemniaki i obficie posypujemy natką pietruszki. Na taką ucztę warto czekać choćby i cały rok.

PS Po południu w tym samym miejscu tata znalazł kilka kolejnych prawdziwków.



Pierwotny kurak z lasu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Głuszc, skryty ptak wielkości indora, to największy kurak naszych lasów; aż trudno uwierzyć, że takie ptaszysko żyje w Polsce. Pierwszy człon nazwy naukowej głuszc *Tetrao urogallus* pochodzi z greki i oznacza po prostu głuszc. Gallus to oczywiście kogut. Poprzedzający go przedrostek ur zwraca uwagę na dzikość, pierwotność, odludność, dawność. Te dwie litery w tym właśnie, charakterystycznym i zastanawiającym połączeniu zauważyć można w różnych miejscach i czasach: tak właśnie – Ur nazywało się jedno z najstarszych miast świata w Mezopotamii, Urwald to po niemiecku las pierwotny, puszcza, a tur to pierwotny byk.

Dawniej kuraki te były bardzo cenioną i niełatwą zdobyczą. Dziś na głuszcze w Polsce się nie poluje, zamiast tego myśliwi wraz z leśnikami hodują głuszcze w leśnych, odosobnionych wolierach, aby nie przyzwyczajały się do ludzi i odchowane wypuszczają na wolność, by zasilili dzikie populacje.

Nie tylko wygląd głuszców jest niezwykle, ale i ich obyczaje. Toki głuszców rozpoczynają się na przełomie zimy i wiosny, kiedy po lasach leżą jeszcze śniegi. Ich obecność poznać można po tropach wielkich łapsk i odchodach grubości palca, nazywanych knotami. O zachodzie słońca samce, czyli koguty, „zapadają” – to jest – przylatują na tokowiska, siadając w leśnej głuszy na wybranym drzewie; niekiedy mają nawet swoją ulubioną gałąź. Przed świtem, rozpoczynając wielki wachlarz ogona, zaczynają swoją pieśń. Trwa ona kilka sekund i składa się z czterech części: kłapania, trelowania, korkowania i szlifowania. Podczas szlifowania ptak na sekundę lub dwie głuchnie, a w każdym razie nie zwraca uwagi na nic tak dalece, że nie poruszyłby go nawet piorun z jasnego nieba. Ten właśnie moment wykorzystywano na parę skoków, podchodząc głuszcą; następnie należało zniechęcić aż do kolejnego szlifowania.

Głuszcze od dawien dawna obecne są w naszej kulturze, a znajomość ich zwyczajów pomaga w zrozumieniu znaczenia związku frazeologicznego. I tak np., kiedy w karczmie w Czechynie rozochocony Zagłoba zostaje nazwany „krzykliwym głuszcem”, nie chodzi o to, jak głośno mówi, lecz że upajając się swoją wymową, nie zwraca na nic uwagi tak jak szlifujący głuszc.



Fot. Shutterstock

Do waszych serc, do waszych głów



Trzeba im od was uznania! Gorzka pieśń Pierwszej Brygady słowami „nie trzeba nam od was uznania...” odnosiła się do niezrozumienia niepodległościowej idei przez wielu Polaków w roku 1914, w pierwszych tygodniach i miesiącach zbrojnego czynu. Ale potem było inaczej, w sercach ogromnej większości Polaków obudziła się uśpiona polskość, tęsknota do własnego państwa i niepodległości. A dziś tego uznania legionistom bardzo trzeba. Im trzeba i nam trzeba – waszych serc i waszych głów. Dni kołatania się nie skończyły, ale zaczęły. Także waszych kies nam trzeba – konkretnie ceny kinowego biletu.

Piszę te słowa w przededniu wejścia do kin filmu, któremu poświęciłem kilka lat życia. Gdy te słowa państwo czytają, „Legiony” są już w kinach od kilku dni. Jeśli je widzieliście w miniony weekend, dziękuję. Mam nadzieję, że podzielicie zdanie „sieciovych” publicystów. Pisali poniższe słowa elektronicznie, ale warto, żeby zostało i na papierze, więc przytoczę kilka zdań.

Jacek Karnowski: „Idźcie na »Legiony«”. To pierwszy amerykański film o Polsce... wielki rozmach scen batalistycznych, gra aktorów, profesjonalna troska o szczegóły i jakość najdrobniejszych elementów, wreszcie obrazowanie na najwyższym światowym poziomie. Ale to film amerykański przede wszystkim dlatego, że zanurzając się w historii Polski, wychodzimy z kina pocieszeni, umocnieni w przekonaniu, że walka o Polskę ma wielki sens, że jest sprawą świętą i także sprawą zwycięską... Ten film zostanie z nami na długo, będzie oglądany i podziwiany przez kolejne pokolenia. Być może też stanie się początkiem nowego rozdziału w historii polskiego kina”.

Łukasz Adamski: „»Legiony« to epicki, pełen rozmachu film, czerpiący najlepsze wzorce z hollywoodzkich widowisk historycznych”.

Marcin Wikło: „Nie widziałem jeszcze w polskim kinie tak dobrze nakręconych i zmontowanych scen bitewnych... świetna muzyka i efekty specjalne na miarę dzisiejszego kina... w końcu w polskim kinie nie widać biedy, 27-milionowy budżet został wydany dobrze”.

Marzena Nykiel: „Polska opowieść o bohaterach ma szansę pójść w świat. Takich filmów brakowało! »Legiony« poru-

szają... Miało być po amerykańsku, z rozmachem, z uściskiem serca. I rzeczywiście tak jest... Bardzo długo czekaliśmy na taki film. Idźcie do kina. Popatrzcie z dumą na tych, którym zawdzięczamy wolność!”.

Takich i podobnych głosów miałem po premierze – mieli i reżyser Dariusz Gajewski, i współproducent Adam Borowski – dziesiątki. Więc chyba mamy prawo wierzyć, że na „Legiony” warto się wybrać do kina, i to właśnie teraz. Koniecznie do kina. Na „Legiony” nie wolno czekać przed telewizorem. Nawet największy 75-calowy jest zaledwie namiastką wrażeń z kina, przy tym rozmachu scen będzie zaledwie podglądaniem przez dziurkę od klucza. Podglądactwo bywa ciekawe, ale odbiera zdecydowaną większość przyjemności, jaką daje uczestniczenie w wydarzeniach. A „Legiony” tak właśnie zostały przez nas wymyślone i zrealizowane: by dawały widzowi poczucie uczestniczenia, wbijały go w fotel. A to się udaje osiągnąć tylko w kinie.

Jeśli więc jeszcze nie byłeś na „Legionach” albo nie zamierzasz pójść do kina w najbliższych dniach – nie dziw się potem i nie narzekaj, że nie ma polskich filmów historycznych, które Polskę lubią i chcą opisywać Polaków jako zwycięzców. Twoja nieobecność w kinie naprawdę może o tym zdecydować. Inwestorzy zainwestowali i patrzą, czy jest w Polsce na takie filmy publiczność. Czy jedynie „Kler”, „Pokłosie” i „Polityka” świadczą o gustach polskiej publiczności.

Nasza „legionowa” ekipa filmowa wcale nie była ideowo jednorodna, ale znaleźliśmy duże pole wspólne, wspólny mianownik. Jak związani z PPS strzelcy i związani z Narodową Demokracją drużyniaczy w parku Oleandry w sierpniu 1914 r., gdy wąsaty brygadier nakazał im, by na znak zgody i braterstwa wymienili się orzełkami. Bo o Polskę muszą walczyć razem. „Legiony” nie są filmem strzelców, nie są filmem drużyniaków. Są głosem w arcyważnym momencie kształtowania się polskiej kultury na następne dziesięciolecie. Od tego, czy film „Legiony” zostanie doceniony przez widzów wizytą w kinie, zależeć może dużo. Czy będziemy mieli takich filmów wiele, czy też wręcz przeciwnie i legionieści znowu będą trwali osamotnieni. Wygramy, prawda?

Maciej Pawlicki

Z ŻYCIA MAM TYLE,
ILE SAM PRZEŻYJĘ.

Marcin Mossakowski | podróżnik i filmowiec



**Płać kartą rewolucyjną
z gwarancją niskich kursów
na całym świecie**

0 zł prowizji
banku za:

- przewalutowanie przy płatności kartą do konta w PLN
- wypłaty kartą z bankomatów za granicą¹
- prowadzenie Konta Przekorzystnego i obsługę karty¹

Karta rewolucyjna to karta debetowa Mastercard do Konta Przekorzystnego. Gwarancja niskich kursów dotyczy płatności za granicą tą kartą, rozliczanych w ramach środków w PLN, dostępnych na Koncie Przekorzystnym, polega na rozliczeniu płatności po kursach organizacji płatniczej Mastercard bez dodatkowych prowizji banku za przewalutowanie i bez doliczania marży banku do kursu wymiany. Nie dotyczy to sytuacji, gdy klient akceptuje przewalutowanie transakcji po kursie oferowanym w punkcie zlecenia płatności. Gwarancja nie obejmuje poziomu kursów Mastercard, które mogą wzrastać lub spadać. Pełne informacje o karcie debetowej Mastercard znajdziesz w naszych oddziałach.

¹0 zł w przypadku wpływu na konto w poprzednim miesiącu kalendarzowym min. 500 zł przelewem z zewnątrz lub z konta firmowego w Banku Pekao S.A. i min. 1 płatności kartą debetową do konta lub aplikacją PeoPay. Do ukończenia 26. roku życia 0 zł za prowadzenie Konta Przekorzystnego, obsługę karty do tego konta oraz brak prowizji banku za wypłaty kartą ze wszystkich bankomatów w Polsce i za granicą są bezwarunkowe.

Pojęcia: wypłata, prowadzenie konta, obsługa karty, przelew i PeoPay odpowiadają następującym określeniom z rozporządzenia Ministra Rozwoju i Finansów z 14.07.2017 r. w sprawie wykazu usług reprezentatywnych powiązanych z rachunkiem płatniczym (Dz.U.2017.1437): wypłata gotówki, prowadzenie rachunku płatniczego, obsługa karty debetowej, polecenie przelewu / polecenie karty debetowej, polecenie przelewu wewnętrznego, usługa bankowości elektronicznej. Stosowne definicje znajdziesz na pekao.com.pl/definicje. **Bank Pekao S.A.**

Jaka europejskość, jaka kultura

Dla mnie zawsze takim bezpośrednim obrazem polskiego społeczeństwa są reakcje widzów po pokazach moich filmów dokumentalnych, które odbywają się w różnych miejscach. I w Warszawie, i w Polsce. Szczególnie tych, które poruszają tematy związane z najnowszą historią, określającą przecież naszą teraźniejszość. Ostatnio po obejrzeniu filmu o polskim wrześniu 1939 r., naszej bohaterskiej walce z niemieckimi agresorem i sowiecką napaścią, zdradzieckiej znowie Zachodu z Rosją, podszedł do mnie młody człowiek i cytował panią prezydent Gdańska Aleksandrę Dulciewicz honorującą w dniu tej tragicznej rocznicy Fransa Timmermansa!

W szkolnych podręcznikach praktycznie nie ma w ogóle historii XX w. Młodzi naśladują głównie różnych celebrytów, powtarzają ich opinie, bo chcą być „nowoczesnymi Europejczykami”. W czym dopatrywać się tej europejskości, którą tak się afiszuje dzisiejsza opozycja, postkomunistyczna Koalicja Obywatelska – w donoszeniu na własny kraj do Unii Europejskiej, w uległości, w sprzeniewierzeniu się polskiej racji stanu, w rozkradaniu majątku narodowego (pokazały to komisje – reprivatyzacyjna, VAT-owska, Amber Gold itd.), kłamstwie, kręactwie, byle tylko zabezpieczyć swoje dawne interesy i tajemnicze układy. W popieraniu i przenoszeniu do Polski różnych wynaturzeń i zbrodni, nadając im pozory nowoczesności, w imię złe pojętej tolerancji i demokracji – to ma być ta „europejskość”, którą sobie przypisują przeciwnicy obecnego rządu, zarzucając nam ciemnogród, populizm i zacofanie? Teraz, w czasie walki przedwyborczej, dawny układ władzy i ich koalicjanci ze zbliżonymi życiorysami zrobią wszystko, byle pozyskać chociaż część nieorientowanych wyborców, tych spoza swojego żelaznego elektoratu.

Jeśli będą chcieli zniszczyć naród i Polskę, to uderzą w Kościół – tę myśl powtarzali wszyscy wielcy duchowni i świeccy, poczynawszy od Jana Pawła II i prymasa tysiąclecia kard. Stefana Wyszyńskiego. Prymas August Hlond, zaraz po wojnie, gdy Kreml zaczynał na polskich ziemiach swój okupacyjny terror, przedstawił często dziś cytowaną myśl – zwycięstwo, kiedy przyjdzie, będzie to zwycięstwo przez Maryję. Pamiętając te znamienne słowa wielkich duchowych przywódców narodu, czytelne stają się dla nas te obecne uderzenia, znieważania ludzi Kościoła i profanacje symboli tak drogich i świętych dla nas, jak wizerunek Matki Bożej naszej Jasnogórskiej Królowej. Polska duchowość od wieków opiera się na Bogu, naród doskonale rozumie, co znaczy nieść swój krzyż tak jak Chrystus, pokazał to chociażby ostatni nasz męczennik ks. Jerzy Popiełuszko. „Kulturę europejską tworzyli męczennicy, ks. Jerzy jest patronem naszej obecności w Europie,



**Alina
Czerniakowska**

za cenę ofiary z życia, tak jak Chrystus. Taką miarę europejskości pragniemy podjąć i kontynuować i nie pozwolimy sobie zaniżyć tej miary. Świat potrzebuje Europy odkupionej u progu czasów, które nadeszły i które idą” (Jan Paweł II, Włocławek 1991).

Dzisiaj w Polsce, wbrew temu co propagują wrogie media, kościoły nadal są wypełnione wiernymi, przybywają ludzie młodzi w poszukiwaniu prawdy, wartości nadających sens ludzkiemu życiu, które nie kończy się razem ze śmiercią. Pokazały to chociażby liczne pielgrzymki wakacyjne, szczególnie ludzi młodych, do różnych sanktuariów, by tam zaufać, powierzyć i nabrać siły na całe trudy dorosłego życia. Wychowani w ciepłarnianych warunkach dobrobytu, nie zrażają się wszelkimi trudnościami, niewygodami, przemierzają dziesiątki kilometrów, podobnie jak poprzednie pokolenia rodaków. Wszyscy ci, którzy za pomocą walki z Bogiem, z naszą wiarą, z Kościołem w Polsce, chcą zdobyć władzę, popularność i uznanie, szkodzą najbardziej sobie, polegą wcześniej czy później, bo przecież mamy w historii świata przykłady walki z Kościołem, gdy zło tryumfowało, ale wiemy, jak gorzkie były te zwycięstwa i jak kończyły się dla tych, którzy siebie postawili w miejsce Boga. Na naszych oczach spełniają się słowa Jezusa – „Ty jesteś Piotr (czyli skała) i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą”.

Mamy rok szczególny w Europie, w wielu krajach wybory parlamentarne i prezydenckie, wrogie służby specjalne, różne agentury wykorzystują ten czas, jak tylko mogą, wypuścili i uaktywnili osoby oraz instytucje w tym celu szkolone i sownie opłacane. Stąd mamy wysyp różnych prowokacji, internetowych blogów, filmików na zamówienie, wystąpień publicznych specjalnych wysłanników, którym teksty piszą tak zwani ghostwriterzy (anonimowi autorzy), wynajmowani za duże pieniądze, celujący w sformułowaniach wyjątkowo obraźliwych, w różnych diabelskich sztuczkach, byle tylko skutek był piorunujący, rażący przeciwnika, by otumanic jak największą część społeczeństwa. Niestety, naiwni, niemający wiedzy historycznej i bieżącej politycznej, społecznej, gubią się, przystają i zaczynają powtarzać brednie za manipulantami. Niektórzy wśród rozmów dziennikarskich nawet zbytnio nie kryją, komu i co piszą, za jak duże pieniądze.

„Czy to jest cywilizacja, czy raczej antycywilizacja? Kultura czy raczej antykultura! Tu trzeba wrócić do elementarnych rozróżnień. Przecież kulturą jest to, co czyni człowieka bardziej człowiekiem. Nie to, co tylko zużywa jego człowieczeństwo!” (JP2, 1991).

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką



Nasi koszykarze pokazali, że warto wspierać sport

Rozmowa z **Grzegorzem Ksepką**, kierującym Grupą Energa

Polscy koszykarze, wspierani przez Grupę Energa, znaleźli się pośród ośmiu najlepszych drużyn świata podczas mistrzostw w Chinach. To ogromny sukces.

Grzegorz Ksepka: Tak, to prawda. To nie tylko sukces – polska koszykówka zawitała na mundialu pierwszy raz od 52 lat – to także ważna lekcja. Ta nobilitacja pokazuje, że nie można tracić wiary – nie brakowało przecież osób, które w naszą drużynę nie wierzyły. Zamiast porażki pokazaliśmy doskonale umiejętności.

Sponsora rozpieszcza teraz radość, duma?

Jedno i drugie. Jesteśmy bardzo dumni z sukcesu naszych koszykarzy i dziękujemy im za to, czego dokonali. Cieszymy się też, że to właśnie w trakcie współpracy pomiędzy Grupą Energa a Polskim Związkiem Koszykówki nasza kadra narodowa może się pochwalić tak dobrą formą. Oby tak dalej, wierzymy w naszą drużynę z całego serca, nasi koszykarze zasługują na mnóstwo pozytywnej energii.

Jak się zaczęła przygoda Grupy Energa z koszykówką?

Koszykówkę zawodową wspieramy od 2005 r. Przez te lata zrobiliśmy naprawdę wiele dla spopularyzowania tej dyscypliny sportu wśród Polaków. Wspieramy nie tylko reprezentację, lecz także najlepszych koszykarzy zawodowych w ramach Energa Basket Ligi i Energa Basket Ligi Kobiet. W tych ligach grają zawodnicy z najwyższej półki. Jesteśmy także partnerem reprezentacji koszykówki 3 x 3, która również odnosi ogromne sukcesy – brąz na ostatnich mistrzostwach świata po pokonaniu czterokrotnego mistrza – Serbii. Można więc śmiało powiedzieć, że wszystko, co dzieje się w koszykarskim świecie w Polsce, nie jest nam obce i odbywa się przy naszym wsparciu.

A najmłodszy koszykarze? Czy też mogą liczyć na podporę ze strony Energi?

Koszykówkę młodzieżową wspieramy równie prętnie, jak zawodowych koszykarzy. Od 2009 r. aktywnie angażujemy się w projekty w ramach akademii koszykarskich dla dzieci

i młodzieży, ale także inne sportowe przedsięwzięcia, w tym amatorskie, które zachęcają młodzież do sportowej aktywności. To chociażby program Drużyna Energii, w którego ramach ambasadory sportu odwiedzają szkoły w całej Polsce i zachęcają dzieci do aktywności, zdrowej sportowej rywalizacji. Ci sportowcy pokazują, jak ważny jest upór i konsekwencja w dążeniu do sukcesu. Na najbardziej aktywnych uczestników Drużyny Energii czekają oczywiście nagrody – taka motywacja na pewno nie zaszkodzi, ale pomoże w realizacji sportowego wyzwania.

Czyli sport od najmłodszych lat powinien być priorytetem?

Tak, zdecydowanie. Dla młodego człowieka takie zaangażowanie jest niezwykle ważne – wartości, których młodzi ludzie nauczą się poprzez sport, mogą być dla nich busolą w całym późniejszym życiu.

Co dalej? Czy można mówić o kolejnych planach Grupy Energa związanych z koszykówką?

Tak, nadal będziemy wspierać koszykarzy. W czerwcu zdecydowaliśmy się na przedłużenie współpracy z Polskim Związkiem Koszykówki. Umowa została podpisana na kolejne dwa lata. A wydarzenia z mistrzostw świata w Chinach pokazały, że naprawdę było warto się zaangażować właśnie w tę dyscyplinę i dać jej po prostu szansę rozwoju.

Dlaczego spółki skarbu państwa powinny prętnie wspierać polski sport?

To część naszej misji. Minister sportu Witold Bańka nieraz podkreślał, że „inwestycja w sport to inwestycja w promocję Polski”. Sukcesy naszej reprezentacji w Pekinie są tego potwierdzeniem. Zresztą wszystkie zwycięstwa naszych reprezentantów to tak naprawdę sukcesy wszystkich Polaków, to najlepsza promocja naszego kraju w świecie. Podczas mistrzostw świata w Pekinie – gdzie odnieśliśmy wymierne sukcesy – mówił o nas cały świat. I mam nadzieję, że długo jeszcze będzie się o naszych sukcesach mówić. /

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Z programu PiS

*Program PiS odrzuca skrajny indywidualizm i kolektywizm.
Odnajduje w tym zbieżność z przymysłeniami
prof. Feliksa Konecznego*



www.wojciechreszczyński.pl

W programie wyborczym Prawa i Sprawiedliwości zatytułowanym „Polski model państwa dobrobytu” bez trudu można odszukać przymysłenie prezesa partii Jarosława Kaczyńskiego. Przypominają się znane z kampanijnych przemówień całe jego zwroty i sformułowania, ale przede wszystkim rzuca się w oczy pewien logiczny ład aksjologiczny zawarty w tym dokumencie. Program PiS liczy ponad 200 stron i przedstawia zadania związane z polityką państwa: społeczną, demograficzną, zdrowotną, gospodarczą, finansową, edukacyjną. Zawiera postulaty dotyczące ochrony środowiska, rozwoju wsi, przykłady ułatwień dla biznesu, ponadto program edukacyjny, politykę zagraniczną państwa, jednym słowem całość zadań na następną kadencję. Równie dobrze mógłby być treścią pierwszego sejmowego wystąpienia przyszłego premiera.

Program otwiera rozdział „Wartości i zasady”, z których trzy mają dla autorów dokumentu podstawowe znaczenie. Są nimi ochrona życia, gwarancja wolności oraz ludzka solidarność. Ochrona życia wydaje się przesłanką najważniejszą. Współczesny świat nadal nie jest wolny od wielkich zagrożeń ludzkiego życia. To przede wszystkim niczym nieograniczona aborcja, eutanazja, eugenika oraz genetyczne eksperymenty medyczne. Z kolei postulat wolności, najbliższy polskiej naturze, ma służyć podtrzymaniu ludzkiej godności. Zasada solidarności spełnia się zaś, gdy społeczeństwo i naród dzieli

sprawiedliwie między siebie prawa i obowiązki.

Program PiS odrzuca skrajny indywidualizm i kolektywizm. Odnajduje w tym zbieżność z przymysłeniami prof. Feliksa Konecznego. Właśnie personalizm jest podstawową cechą naszej cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej. Na przeciwnym biegunie dominuje gromadność, zarówno w państwie, jak i w społeczeństwie, charakterystyczna dla cywilizacji orientalnych, bizantyńskich, turańskich. A skoro gromadność to i kolektywizm, obca nam cecha z taką siłą narzucana Polakom w czasach komunistycznych. Podobnie jak kolektywistyczna zasada równości. „Wszyscy mamy te same żołądki” – często słyszało się te słowa w PRL. Nie o taką jednak równość chodziło wolnym Polakom, ale o równość w tworzeniu warunków do sprawiedliwego rozwoju. Ponadto równość w dostępie do życiowych szans, absolutna równość wszystkich wobec prawa, równość w korzystaniu z praw i równość w wywiązywaniu się z obowiązków, jakie nakłada wspólnota narodowa. Dodajmy tu znamienne słowa Feliksa Konecznego: „Sprawiedliwość polega na sprawiedliwym podziale nierówności”. Bardzo dobrze, że te właśnie kwestie porusza program PiS.

I uznaje za sprawiedliwy „taki ład wewnętrzny i międzynarodowy, który stwarza równość szans w osiąganiu społecznej pozycji oraz dóbr materialnych”.

Szczególnie dziś jest nam potrzebny semantyczny i aksjologiczny ład, gdyż lansowana przez środowiska lewicowo-liberalne zasada równości jest nie do

pogodzenia z naszą cywilizacją, a przede wszystkim z ludzką naturą. Tzw. marsze równości środowisk LGBT, podczas których rzekomo walczy się z dyskryminacją, brakiem tolerancji, homofobią itd., są w rzeczywistości inżynierią społeczną czy społecznym darwinizmem, który prowadzi do antagonizowania społeczeństwa. A szczególnie zagrożona jest wtedy rodzina. Kwestionowana jest monogamia, jedna z podstawowych cech naszej cywilizacji, a więc naturalny związek jednego mężczyzny z jedną kobietą. Program PiS bierze w obronę dzieci, występując przeciwko planom ich adopcji przez pary homoseksualne. Krytyce poddana jest ideologia gender, finansowana i rozpowszechniana przez zagraniczne ideologiczne centra.

We wstępnych rozważaniach autorów programu PiS znajduje się też miejsce na naród. Jest to wspólnota polityczna i kulturowa. Oczywiście istnieje wiele definicji narodu, jednak ta zaprezentowana w dokumencie PiS najbardziej oddaje istotę tego pojęcia. Naród jest to wspólnota kultury, języka, doświadczenia historycznego, tradycji politycznej i wartości cywilizacyjnych. Oczywiście jest, że bez poczucia więzi narodowej nie ma silnego państwa, ale też demokracji.

Polecam lekturę programu PiS także ze względu na aktualne, ciekawe uwagi na temat roli religii, wiary i znaczenia Kościoła katolickiego w polskiej kulturze. W żadnym z programów innych partii politycznych, których notabene nigdzie nie można odnaleźć, nie wspomina się o tych kwestiach, podstawowych dla kondycji moralnej narodu. Polecam też uwagi na temat istoty państwa, w tym kapitalne zdanie: „Uznajemy państwo polskie za wartość najwyższej wagi”.



„Od 20 lat uczestniczymy w rozwoju polskiego rolnictwa” to tytuł konferencji zorganizowanej 10 września z okazji 20-lecia działalności Top Farms Głubczyce

Nowoczesne rolnictwo w Głubczycach

Z prezesem Grupy Top Farms **Tomaszem Zdziebkowskim** rozmawia **Anna Raciniewska**

Jaka jest rola gospodarstw wielkotowarowych i jak są postrzegane przez swoich sąsiadów?

Tomasz Zdziebkowski: Uważamy, że naszą rolą, jako jednego z największych polskich producentów rolnych, jest budowanie mostów między światem nauki i biznesu oraz wytyczanie nowych kierunków w rolnictwie. Stąd pomysł na konferencję. Informacja zwrotna, jaką otrzymaliśmy od zaproszonych gości, wśród których znaleźli się przedstawiciele Ministerstwa Rolnictwa, KOWR, władz wojewódzkich i samorządowych, jest bardzo pozytywna i utwierdza nas w przekonaniu, jak potrzebne jest szerzenie obopólnych korzyści symbiozy dużych przedsiębiorstw z gospodarstwami rodzinnymi. Duże gospodarstwa zapewniają dostęp do kapitału, technologii, innowacyjnych rozwiązań i rynków zbytu, tym samym ożywiając gospodarczo wieś. Już dziś współpracujemy z gospodarstwami partnerskimi, dysponującymi ok. 15 tys. ha. To znacząca część naszej działalności, którą wciąż rozwijamy. Drugim ważnym wymiarem działania jest integracja polskiej wsi ze światem nauki. Przykładem jest AKADEMIA TOP FARMS, nasz innowacyjny projekt edukacyjny z Instytutem Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, mający na celu umożliwienie praktykom rolnictwa podnoszenia ich kwalifikacji.

Kolejnym ważnym aspektem jest działanie na rzecz lokalnej społeczności, w szczególności na terenach byłych gospodarstw państwowych. Tworzymy stabilne miejsca pracy, w samych okolicach Głubczyc 400, a w sumie w Polsce ponad 1,5 tys. Ponad połowa naszej załogi to pracownicy z ponad 20-letnim stażem, wywodzący się jeszcze z państwowego kombinatu. Pracują tu nawet trzy pokolenia i rodziny wielodzietne. Regularnie wspieramy ponad 100 instytucji, m.in. stowarzyszenia, domy kultury, młodzieżowe kluby sportowe, parafie, szkoły, remontujemy drogi i dbamy o zabytki. Co zatem powiedzieliby o nas sąsiedzi? Myślę, że zarówno oni, jak i my zgodnie stwierdzilibyśmy, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni.

Dotychczas mówimy o gospodarstwach wielkotowarowych w samych superlatywach, skąd więc ich problemy,

o których mówi się w branży rolniczej? Może zyskałyby większą akceptację, gdyby były bardziej ekologiczne?

To prawda, duże firmy rolne w Polsce mają problemy. Mimo ogólnego trendu do konsolidacji w latach 2002–2016 areal gospodarstw w segmencie powyżej 100 ha zmalał o ponad 12 proc. Duże rozdrobnienie polskiego rolnictwa, niska wydajność pracy oraz wysokie koszty w przeliczeniu na hektar nie sprzyjają konkurencyjności polskiej wsi. Podczas konferencji prof. Monika Stanny oraz prof. Walenty Poczta zwrócili uwagę na postępującą dezagregację, czyli odradnianie obszarów wiejskich, i depopulację. Niskie nakłady kapitałowe na jednego zatrudnionego w rolnictwie – w Polsce to ok. 10 tys. euro, w Czechach 40 tys., a w Niemczech ponad 90 tys. euro – pokazują, jak ważne jest tworzenie na wsi grup producenckich opartych na dużych gospodarstwach wiodące, które mogą zwiększać swoją efektywność poprzez dostęp do kapitału. Jeśli chodzi o trendy ekologiczne, stawiamy na rolnictwo biologiczne, wysiewając poplony, stosując zmienny płodozmian, a także odpowiedzialnie gospodarując resztkami pożywnymi. Stosujemy najnowsze technologie, wykorzystując sygnał satelitalny, robotykę i precyzyjne nawożenie, by użyźniać glebę, ograniczać do minimum stosowanie środków chemicznych, a także dbać o czystość wód gruntowych. Naszą koncepcję określamy modelem gospodarowania symbiotycznego opartym na zintegrowanej produkcji biologicznej.

Kończąc, zapytam, jak pana zdaniem będzie wyglądać polska wieś za 20 lat? Czy widzi pan tam miejsce dla przedsiębiorstw takich jak Top Farms?

To trudne pytanie, bo nie wszystko zależy od nas. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby podnosić efektywność polskiej wsi, inwestujemy w ludzi oraz infrastrukturę, dbamy o środowisko naturalne, wdrażamy nowoczesne technologie, przekonując o wzajemnych korzyściach współpracy. Jestem przekonany, że pełne zrozumienie roli dużych gospodarstw pozwoli utrzymać miejsca pracy dla kolejnych pokoleń pracowników, a konferencje takie jak ta będą wspierały dalszy rozwój wsi.

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Dziad do obrazu

Pojawili się na każdym rogu ulicy, upstrzyli przydrożne placyki i skwerki, kandydaci – roi się od nich wszędzie. Twarze młode i stare, poważne i roześmiane, często z lwią zmarszczką na czole znamionującą senatorską postawę i zatroskanie losem ojczyzny. Przechodzę i z każdą starą się porozmawiam, zajrzeć jej w oczy. Twarze z plakatów, sylwetki kandydatów – piękne hasła i wezwania do tego, abym oddał na nich swój głos.

Gdybyż Stwórca chciał im zrobić facecje i sprawił, że naraz przemówiliby z tych banerów i plakatów. Ot, pierwszy z brzegu: wory pod oczami i lisie wejście, przekonuje mnie, że z nim będzie lepiej, bezpieczniej i Polska na pewno ruszy do przodu. A ja naraz słyszę z jego banera: „Jestem pospolitą szują, frustratem, zmarnowałem całe pokolenie młodych ludzi, którzy mi wierzyli, tak na dobrą sprawę nie mam nic ciekawego do powiedzenia, ale przecież chodzi o to, abyście mnie wybrali”.

Sytuacja jak z włoskiego filmu „Kuszenie doktora Antoniego”, gdy ponętna Anita Ekberg naraz schodzi z ogromnej reklamy i czyni spustoszenie w sercu szanowanego moralisty. Tym razem jest to jednak przeciwniak, któremu udało się wdrapać blisko zadka władzy.

Inny: młody, uśmiechnięty, z kompletem właśnie wybranych siekaczy. W jego spojrzeniu dostrzegam odbłask zło-



**Witold
Gadowski**

dziejskiej namiętności, ale z plakatu grzmi, że teraz to trzeba wszystko wyczyścić i on będzie „czyszczaczem” najlepszym. I znów głos z plakatu: „Nie wierzę w nic, nie mam zamiaru się przemęczać. Chcę się nachapać i napodrywać łasek, chcę oszukiwać, bo inaczej nie dojdzie się do pieniędzy”.

Stary z brodą: „Pragnę łatwego życia i łapówek, w nosie mam wszelkie wartości, byłem i jestem zwykłą świnią i włazidupą”.

Następny: „Jestem czerwonym zdrajcą, zdrażdżę każdego i zawsze, byleby tylko ktoś mi sowicie za to zapłacił”.

I jeszcze jeden – ten akurat podobny do Wawrzeckiego z „Misia”: „Ja wam wszystko wyśpiewam...”

Spocony biegnę alejką wyborczych objawień, wizerunki szeleszczą do mnie i przemawiają prawdziwym głosem. Napisy wabią syrenimi tonami, a pod nimi odzywają się prawdziwe głosy.

Ta pani: „Zrobiłam sobie już kilka politycznych liftingów i skrobanek”.

Ten pan: „Znasz mnie, zawsze donosiłem i zawsze będę donosił”.

Budzę się złany potem, wyglądam za okno. Plakat z człowiekiem opozycji. „Ja wiem, czego ci potrzeba” – głosi... i cisza. Kojąca cisza. Uspokojony idę umyć zęby.

Równać w górę!

Jako twórca i mimowolny odbiorca różnych przekazów reklamowych boleję nad artystyczno-intelektualnym zaniżaniem ich poziomu. Wbrew sloganowi „nie dla idiotów” Marian i Barbara – gwiazdy radiowych reklam – sprawiają wrażenie głupawych, oczadziałych zakupoholików goniących non stop za przecenami i rabatami. Wyobrażam sobie ich mieszkanie zawałone stertą niepotrzebnych telewizorów, lodówek, pralek, komputerów, telefonów komórkowych itp. kupionych z jednego powodu: bo (podobno!) była niesamowita okazja... Wątpię, by w tym szale zakupów Barbara i Marian mieli jeszcze zdolność kredytową. I czas na jakąkolwiek pracę...

Nie lepiej jest w marketingu politycznym; widać to, słysząc i czuć zwłaszcza podczas kampanii wyborczych. Co prawda reklamowany produkt jest inny (kandydaci, idee, programy), ale traktowanie wyborców jak stada baranów pozostaje to samo. Sondażownie sugerują, że wystarczy schować topornego Schetynę, a uśmiechnięta Kidawa-Błońska



**Lech
Makowiecki**

zrobi dobry wynik. Uważacie, że ludzie są aż tak głupi? Naprawdę?

Ta pogarda dla elektoratu ma swoją długą tradycję. Propaganda PRL kreowała rzeczywistość tak nierealną, że zaowocowało to buntem Solidarności. Dziś postkomuniści i postliberałowie dysponują o niebo lepszymi narzędziami do tumanienia mas. Od trzech dekad psuje się programowo kulturę (zwłaszcza popkulturę), promując szmirę i skandal. Mainstreamowe spektakle teatralne, filmy, festiwale czy programy telewizyjne prześcigają się w kreowaniu hucpy i demoralizacji.

Już nie chodzi o to, czy ktoś umie dobrze pisać, śpiewać, tańczyć, tworzyć kabaretowe programy czy filmy. Stańczyka wypiera klaun, orkiestrę – kafar, baletnicę – wytaślowana striptizerka, poetą czy malarzem może zaś być każdy. Trwa wyścig: „kto bardziej zszarga kolejną świętość”, a środowiska akademickie wspierają ten nihilistyczno-genderowy trend (vide: casus prof. Nałaskowskiego). Kiedy wreszcie zaczniemy windować naukę i sztukę na wyższy poziom?

niedziela poleca

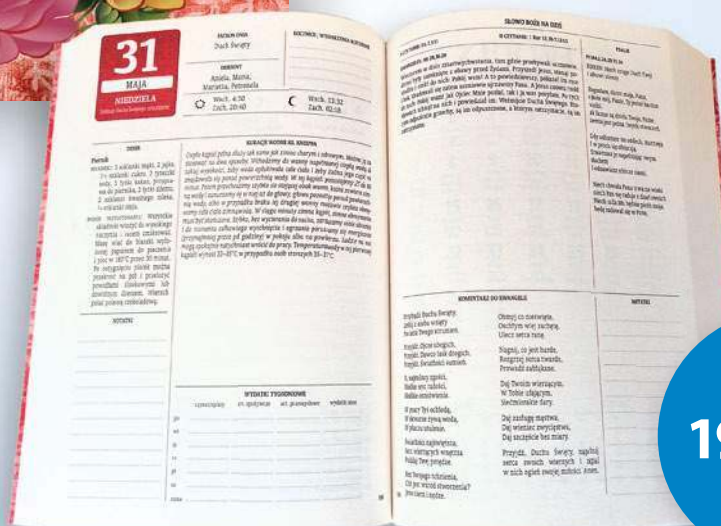
Kalendarz domowy



*Życie ma 365 stron, warto je odkrywać w roku 2020 – dzień po dniu.
Siódma edycja bestsellerowego terminarza!*

Znajdziesz w nim m.in.:

- słynne porady wodolecznicze ks. Kneippa
- przepisy na smaczne dania, przetwory i desery
- miejsce do notowania oraz zapisywania wydarzeń i rocznic rodzinnych
- codzienne listy zakupów, z którymi można się udać do sklepu
- informacje, kto jest patronem dnia, a także kto kiedy obchodzi imieniny
- wiele użytecznych rad, ciekawostki oraz sentencje
- godziny wschodów i zachodów Słońca oraz Księżyca
- ewangeliczne motto dnia oraz niedzielne Ewangelie z komentarzami



cena
19,90 zł
+ KOSZT WYSYŁKI

Zamówienia można składać:

pocztą: **Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”, 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa**
telefonicznie: **34 365 19 17, 34 369 43 00, 34 369 43 52; pocztą elektroniczną: kolportaz@niedziela.pl**

www.ksiegarnia.niedziela.pl

eprasa.pl eb21353739



JAN POSPIESZAŃSKI

Polaków portret własny

*Tak osobiste wyznania można usłyszeć w chrześcijańskich wspólnotach lub na zamkniętych spotkaniach grup wsparcia.
A teraz wybrzmiały publicznie*

14 września, w sobotę wieczorem, na lotnisku pod Włocławkiem wydarzyło się coś, co przejdzie do historii nie tylko polskiego Kościoła, lecz również do historii polskich mediów. Zwieńczeniem całodzienniej inicjatywy modlitewnej „Polska pod krzyżem” było nabożeństwo drogi krzyżowej. Zamiast rozważań poszczególnych stacji, wysłuchaliśmy anonimowych świadectw zwykłych ludzi. Poruszające wyznania – wiele opowieści z życia, historie, jakich wiele, ktoś może uznać za banał. Rozwód, nagła choroba nowotworowa, doświadczenie zdrady i porzucenia przez męża, opowieść matki, która dokonała aborcji, świadectwo mężczyzny, do którego po 30 latach wraca trauma z dzieciństwa, bo ojciec zostawił rodzinę dla innej kobiety, w końcu wyznanie rodziców, którym rodzi się niepełnosprawne dziecko. Było też wstrząsające wyznanie mężczyzny, który stracił brata w katastrofie smoleńskiej. Usłyszeliśmy ludzi, którzy żyją obok, których może mijamy codziennie na ulicy, a może mieszkają za ścianą. Polaków portret własny.

Niewykluczone, że wielu z nas w tych poruszających historiach odnalazło własne biografie. Wszystkie te dramatyczne doświadczenia autorzy składają u stóp krzyża, włączając własny ból w mękę Jezusa – Zbawiciela. Tak oso-

biste wyznania można pewnie usłyszeć w chrześcijańskich wspólnotach lub na zamkniętych spotkaniach grup wsparcia. A teraz wybrzmiały publicznie. Było to jak zdarzenie zasłony lub skierowanie snopu światła na skrywaną do tej pory rzeczywistość. Nagle bardzo osobiste, intymne wręcz przeżycia dotarły do widza/słuchacza w porze najlepszej oglądalności, w sobotni wieczór, w głównych kanałach Polskiego Radia i TVP, a dodatkowo w TV Trwam i Radiu Maryja. Łączne audytorium mogło liczyć nawet 2 mln.

To, co usłyszeliśmy w rozważaniach drogi krzyżowej, na co dzień nie istnieje w mediach, choć życie polskich rodzin utkane jest również z takich zdarzeń. Przecież istota telenoweli polega właśnie na tym, że publiczność rozpoznaje w losach serialowych bohaterów swój los. I choć większość seriali to rodzime produkcje, żadne z doświadczeń opowiedzianych we Włocławku w scenariuszach telewizyjnych nie pojawia się nawet jako drugoplanowy wątek. Co sprawia, że autorzy i producenci seriali opowiadających o współczesnej Polsce ignorują rzeczywistość, którą mieliśmy okazję dotknąć w tych świadectwach? Dlaczego w twórczości telewizyjnej w kraju, w którym niemal 40 proc. mieszkańców uczestniczy w życiu religijnym, duchowe spojrzenie na przeżywanie codziennych dramatów jest całkowicie nieobecne?

Jednym z powodów, dla których twórcy seriali nie dostrzegają tej rze-

czywistości, jest to, że telenowełe zamiast odzwierciedlać życie zwykłych Polaków, tak naprawdę opisują życie środowisk twórców telewizyjnych produkcji. Wyobrażenie, że wszyscy Polacy myślą i żyją jak wielkomiejski świat mediów, okazało się zupełnym fałszem. Codziennosc, ale też dramaty i bolesne doświadczenia, wielu Polaków przeżywa w perspektywie wiary, z krzyżem w ręku.

W świadectwach jest jeszcze jeden bardzo ważny aspekt. Ludzie, którzy odważyli się opowiedzieć o swoich przeżyciach, zaświadczyli w sposób wiarygodny, jak straszne konsekwencje niesie życie bez Boga – model lansowany przez kulturę masową. Relacje z pierwszej ręki ukazują, czym jest zdrada, porzucenie przez męża, jak potworną smugę mroku zostawia aborcja, czym dla dzieci jest rozwód rodziców.

A przecież współczesna kultura opowiedziała się jednoznacznie za emancypacją ze wszelkich krępujących człowieka ograniczeń. Wśród tych zniewoleń są religia, wierność małżeńska, rodzina, ojczysta historia (a ostatnio też płeć). I nagle dowiadujemy się, że wybór przez jednostkę tej rzekomej wolności, niesie za sobą ból i traumy, które zniewalają najbliższych. To, co najistotniejsze – świadectwa – nie były tylko dołączającym opisem nieszczęścia. Ich siła polega na wielkiej nadziei, o której mówią ci, którzy swoje życie oparli o krzyż Jezusa Chrystusa. Prawda, która dla wielu jest trudna do przyjęcia. 

Wiś z duchem czasu

Ze względu na rewolucję cywilizacyjną, jaka zachodzi w naszym kraju, zmienia się również oblicze polskiej prowincji. Pochód tych zmian w coraz większym wymiarze nie tylko dociera, lecz zaczyna odciskać trwały ślad na krajobrazie kulturowym i społecznym naszej, do niedawna zakłętej w okowach zabobonu i wstecznicstwa, wsi. Marsz ku nowym horyzontom, pięknym niczym tęcza po burzy, zawdzięczamy aktywności środowisk o poglądach liberalnych oraz wzrastającej dojrzałości rodaków. Na dowód przytaczamy fragmenty wywiadu z jednym z bohaterów, o którym można powiedzieć, że jest znakiem nowych czasów. Rozmowa ukazała się w periodyku o jakże znamienitym tytule „Nowy Zasiew”.

– Jak to się stało, że został pan przewodniczącym Koła Gospodyń Wiejskich?

– Moje koleżanki z Koła dawno zauważyły, że na poczęstunek w każde dożynki wypiekam pączki, które są najsmaczniejsze w całym powiecie. Zaczęły mnie prosić, żebym zrobił dla nich kurs i przekazał swoje doświadczenie. Podczas nauki zbliżyłem się do nich. I nagle zapragnąłem być jedną z nich.



**Jerzy
Jachowicz**

Dziś jestem w okresie medycznego dokonywania zmiany. Jak to się mówi, tranwestytuję się, czy jakoś tak.

– Od jak dawna stał pan na rozdrożu?

– U nas do koła jest prosta droga. Tylko jedna.

– Chodzi mi o to, od kiedy zmagał się pan z dwiostością płci? Od wczesnego dzieciństwa czy dopiero w szkole?

– Przepraszam, od pierwszej operacji mam tylko jedno w głowie. Propagowanie Koła. Potrzeba zmiany przyszła po tym, jak zobaczyłem marsz równości w naszej gminie. Było chyba ze 30 osób. Na kolorowo. Sami przyjezdni. Jeden duży autokar.

Wcześniej o tym nie myślałem. Dopiero po rozmowie z takim jednym z Warszawy zaczęło kielkować na dobre. Rabiej się nazywa. Przyjechał sprawdzić, co u nas pływa po Wiśle. Mówił, że trudno rozpoznać, które brudy z Warszawy, a które z innych miast.

Na marszu poznałem też jedną posłankę. Chyba Wielgus. Ale krótko. Spieszyła się do Torunia na uniwersytet. Mówiła, że musi opowiedzieć coś dyrektorowi uniwersytetu o jednym z profesorów, co wychowuje młodzież, ale ją psuje.

CO MNIE ZACHWYCA

Broniąc krzyża, zachowujesz honor

Tytuł dzisiejszego felietonu to cytat z wiersza: „Kiedy dorosisz do Ojczyzny” niedawno zmarłej poetki Teresy Boguszewskiej. Ostatnio odchodzą na wieczną wartę moje poetki: Teresa Boguszeńska, Joasia Kulmowa. Odchodzą osoby, które znalazłam, szanowałam i z którymi się przyjaźniłam. Ich poezję mówiłam. To dobrze, że zostawiają po sobie piękne słowa i wielkie treści, którymi nas obdarowały. Szkoda, że nie napiszą już nic więcej. Pamiętajmy o nich. Ja na pewno będę. Jeśli tylko mogę, staram się przypominać ich poezję. Pisały piękne, mądre i współczesne wiersze. Prawdziwe, mówiące o ważnych sprawach naszego narodu. Pisały też o krzyżu.

Nie sposób w ostatnim tygodniu września, nacechowanego datami wojennymi czy bardziej współczesnymi wydarzeniami, jak tragiczna śmierć ks. Jerzego Popiełuszki, o nich nie myśleć. To są nasze polskie tematy. Krzyż w poezji współczesnej, również Anny Kamieńskiej, jest niezwykle ważny. O jego obronę apelował do nas Jan Paweł II. 14 września w święto Podwyższenia Krzyża urodził się ks. Popiełuszko. Krzyż górował nad całą Polską w tym dniu w 2019 r. „Polska pod krzyżem” to było



**Katarzyna
Łaniewska**

spotkanie ludzi wiary, którzy mówili, jak im pomógł w troskach i trudnych sprawach. Ten krzyż jest naszym znakiem, który robimy, zaczynając pracę czy rozpoczynając podróż. Musimy go bronić.

W tej chwili ten symbol chrześcijaństwa jest bezczeszczone. Nie wolno go szargać. Można być tolerancyjnym, ale nie można się zgadzać, by nas obrażano od najczulszej strony. Nie mogą napadać na symbole naszej wiary. Polska do tego nie dopuści i dała tego dowód 14 września 2019 r. To była wielka rzecz, która działa się tak blisko miejsca, gdzie wydobyto zwłoki zamordowanego ks. Jerzego.

Krzyż króluje nad całą Polską i chowa pod swoimi ramionami i cierpienia ludzkie, i dobre myśli. Jakie to szczęście, że było tam tyle młodych ludzi. Wielkie wrażenie robiła też droga krzyżowa przy świetłach. Nie tylko tam obchodzono święto Podwyższenia Krzyża. Działo się to w różnych miejscowościach. Ludzie z własnej inicjatywy doprowadzili do wydarzenia na taką skalę.

Myślę, że ten zryw olbrzymiej części naszego narodu pokazał, że więcej ani kroku nie można zrobić, nie szanując krzyża i ludzi honoru, którzy go bronią.

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wywrotowy felieton

W każdej ankiecie służącej ocenie pracownika naukowego czy uczelni jest rubryka zatytułowana „wdrożenia”, tzn. czy fizyk przyczynił się do zbudowania rakiety kosmicznej, biolog do wyhodowania nowej odmiany truskawek, a chemik wynalazł jakiś preparat do utylizacji plastiku. Oczywiście spłaszczam, bo wdrożenia mogą – z reguły są – być bardziej subtelne. A jakich wdrożeń może dokonać profesor nauk społecznych, no jakich? Z jednej strony może wynajdować nowe metody manipulacji czy socjotechniki, a z drugiej może i powinien brać udział w debacie publicznej, w ten sposób wykorzystując swoją wiedzę i naukowy potencjał. Debata publiczna może mieć kształt uczonych dysput w najwyższych gremiach, może być pisanie opracowań i ekspertyz, ostrzeganiem o zagrożeniach etc.

Stała się jednak rzecz dziwna, rzecz bez precedensu, której zostałem całkowicie mimowolnym uczestnikiem, a może nawet przyczyną. Otóż jeden z moich felietonów wywołał burzę w niemal wszystkich mediach. Zacytuję definicję felietonu: „specyficzny rodzaj publicystyki, krótki utwór dziennikarski (prasowy, radiowy, telewizyjny) utrzymany w osobistym tonie, lekki w formie, wyrażający – często skrajnie złośliwie – osobisty punkt widzenia autora”. Co takiego się stało, że nie traktaty, dysputy czy poważne narracje medialne poruszyły sporą część Polaków, polityków i tzw. przeciętnych zjadaczy chleba, ale krótki, nieco „wściekły” felieton? Wszak rozgorzała dyskusja od prawa do lewa, od góry do dołu, o tak ważnym fragmencie życia społecznego, jak wolność słowa, status i obowiązki nauczyciela akademickiego, status uniwersytetu. Stałem się tylko tego pretekstem, a był to mój 279 (!) felieton dla „Sieci”. Przewidywałem reperkusje, przewidywałem nawet jakieś nieprzyjemności i nie o nich chciałem tu pisać, ale nie przypuszczałem, że za pomocą 4830 znaków (ze spacjami) wywołam taką burzę. I bynajmniej nie zaczęła się ona od prawej strony, ale od pism czy apeli skierowanych do JM Rektora UMK, aby mnie przykładnie ukarał. Była to niezłe zorganizowana akcja, no i nastąpiła spontaniczna reakcja. Ruszyła lawina petycji, próśb, listów otwartych w mojej obronie, a właściwie chyba nie w mojej, ale w obronie zasady i buntu wobec wszechwładzy macek LGBT przy wyraźnym wyciszeniu krytyki wobec tej infekcji. Wtórowały oskarżeniom różne lokalne gazety w Polsce skupione w Polskapresse, firmie należącej do Verlagsgroupe Passau. Najpopularniejsze tytuły lokalnych gazet



**Aleksander
Nalaskowski**

*Czuję się jak Franek Dolas, który
wywołał II wojnę światową.
Ale to musiało – prędzej
czy później – wybuchnąć*

należą do tej grupy. Toruń nie był wyjątkiem. Oczywiście niezawodna była też „Gazeta Wyborcza”, która się ze mną nie cackała.

Dlaczego więc felieton tak ruszył jednych, a oburzył drugich? Mam wrażenie, że za sprawą tego, za co był najbardziej krytykowany, za sprawą języka. Humanista dużo pisze, a zatem wyrabia sobie styl i łatwość pisaną. A jeśli jeszcze humanistę w młodości mama przeczołgała przez całego Wańkowicza, to mógł zobaczyć, jak piszą arcymistrzowie polszczyzny. A ja na potrzeby tego tekstu zaczerpnąłem język z bulwarowych komedii, z opowieści o Dylu Sowizdrzale, z barokowych opowiadań erotycznych (aż dziw, że są w bibliotekach!) i starałem się nie być tak wytworny jak Wańkowicz czy jego

uczeń Kąkolewski. I to język poruszał, bo takie treści przejawiały się w moich felietonach już wcześniej, właściwie cały czas i było zero reakcji. Mam świadomość, że część czuła się językiem tego felietonu dotknięta, ale i to wkalkulowałem. Mój kolega za PRL jako młody inżynier trafił na budowę, gdzie kierował grupą robotników. Gdy dostrzegł fuszerkę, to zwracał uwagę w stylu „Panowie,

to trzeba poprawić” czy „Tak nie można”. Ale było to grochem o ścianę. W końcu ktoś mu podszeptał rozwiązanie i przy następnej fuszerce wyrzucił z siebie: „A co to jest k..., który ch... to zrobił, zap...ć do poprawek”. Robota szła natychmiast jak po maśle. Nie jestem pewien, czy Norwid zalecając, aby „odpowiednie dać rzeczy słowo”, miał na myśli tylko te wytworne, eleganckie i gładkie słówka czy po prostu odpowiednie do rzeczy. Jeśli ktoś obejrzy w dużej dawce nihilistyczne pąsy marszy równości, to gwarantuję, że będzie się hamował, aby nie pisać znacznie dosadniej niż ja. Bo to, co widziałem, nie dało się inaczej opisać tak, aby nie było eufemizmem.

Ten felieton, całkiem przypadkowo i bez mojej woli, spowodował, że w jakiś sposób policzyliśmy się. Podziwiam odwagę tych, którzy pod petycjami w mojej obronie podpisali się imieniem i nazwiskiem. Nie przesadzałbym tu z moją rolą. Bo nie sam inkryminowany tekst cokolwiek spowodował, ale reakcja nań wywołał burzę i odważne deklaracje.

I pomyśleć, że chciałem napisać tylko krótki utwór dziennikarski utrzymany w osobistym tonie, lekki w formie, wyrażający złośliwie osobisty punkt widzenia. I znów mi nie wyszło. A teraz czuję się jak Franek Dolas, który wywołał II wojnę światową. Ale to musiało – prędzej czy później – wybuchnąć.

PRZESWIETLIK

Kwadratura poprawności



**Wiktor
Świetlik**

Akcja „Nie świruj, idź na wybory”, choć przeprowadzona przez rozlicznych celebrytów, w tym nieszczęsnego Wojciecha Pszonia, który po raz kolejny dowodzi, że nie każde wino dobrze się starzeje, oburzyła jednak nie tylko prawy sektor polskiej polityki. Zaprotestowały towarzystwa psychiatryczne, uczelnie, a nawet – o dziwo – Rzecznik Praw Obywatelskich.

Jednak po prawej stronie pojawiło się kilka głosów sprzeciwiających się politycznej poprawności krytyków Pszonia i spółki: przecież polityczna poprawność jest lewicowa, więc dlaczego ulega jej prawica? Dało mi to do myślenia, no bo przez lata kpiłem z owej politycznej poprawności, nawet brałem za to kpienie pieniądze, czy więc jestem farbowanym lisem, który teraz się oburza?

Rzeczywiście, na pewne rzeczy ludzie stali się wrażliwsi. Kiedyś publiczne wysyłanie przeciwników do domu wariatów nie budziło takiego oburzenia. Inne rzeczy też nie. Pamiętam z podstawówki nauczycielkę krzyczącą do źle uczącego się grubaska: „Ty bezmyślna kupo sadła i mięsa”. Pamiętam też moją wychowawczynię nauczania początkowego tłukącą siedmiolatków do krwi wskaźnikiem. Niespecjalnie

chciałbym tego w dzisiejszych szkołach, choć drażni mnie to, że jedno dziecko potrafi dziś sterroryzować całą podstawówkę albo bić nauczycieli, bo ma kartkę od lekarza, że jest nadpobudliwy.

Tak samo jak nie życzę sobie tłuczenia ani obrażania cudzoziemców na ulicach i cieszę się, gdy słyszę od znajomego Kenijczyka, że Polska jest najprzyjaźniejszym krajem europejskim, w jakim był. Jednak ludzi, którzy wykopali „Murzynka Bambo” z czytanek, bo jest „rasistowski”, wysłałbym do domu war... Chciałem napisać: na jakąś terapię.

Może po prostu takie rzeczy mierzyć miarą zdrowego rozsądku, a nie ideologii? Pszoniak udający upośledzonego zachowuje się jak nieempatyczny, pozbawiony wrażliwości burak. I dobrze, że jest to krytykowane – choćby i przez lewicowego, z reguły upolitycznionego rzecznika. Co nie znaczy, że tak twierdząc, z miejsca przyjmujemy cały ideologiczny pakiet politycznej poprawności nakazujący mówić na łysogo „owłosiony inaczej”, a na faceta, który założył sukienkę, „trzecia płeć”.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



Piątek 20:50

TVP 2

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**

TRENDY I OWĘDY

Duma stadionowa

Polscy kibice na meczach siatkówki wprawiają w zachwyt nawet belgijskiego trenera

Mistrzostwa Europy w siatkówce mężczyzn są oglądane z ogromnym zainteresowaniem. Nasza reprezentacja gra na najwyższym światowym poziomie, więc na Stary Kontynent tym bardziej to wystarcza. Polacy na co dzień poniewierani przez byle komisarzy UE, nieustannie strofowani przez TSUE, szkalowani przez globalne fejkmedia, potrzebują międzynarodowego dowartościowania. Mecze w Holandii rewelacyjnie nam to gwarantują. I to nie za sprawą zawodników, bo ich dominacja, oby trwała wiecznie, stała się normalnością. Nikt nie ma lepszych kibiców niż Polacy.

Trener Vital Heynen napierał na dziennikarza TVP Sport, by ten zrobił z nim wywiad. Jest pod takim wrażeniem polskich kibiców, że musiał podzielić się emocjami. W szatni oznajmił zawodnikom, że zazdrości im, że są Polakami (sic!). Szacunek i wdzięczność dla tych, którzy w kraju tulipanów i marychy zasiadają na trybunach.

Biało-czerwony entuzjazm kołyszący halami w Rotterdamie i Amsterdamie wywołuje dumę z bycia Polakiem. Widać całe rodziny, nawet malutkie dzieci przystrojone w barwy narodowe, ze słuchawkami na uszach, żeby nie męczył ich tumult. Na innych meczach miejsca świecą pustkami, na naszych publiczność skanduje: „Gramy u siebie!”. Nawet miejscowy spiker podłapał okrzyk: „Ostatni!”, przy piłce setowej. U nas sport jest dotowany i bardzo dobrze. Może czas dotować kibiców. Rozsławiają Polskę zdecydowanie skuteczniej niż ważne instytucje głowiące się, jak się do tego zabrać.



Ryszard Makowski



Zawistowski prezentuje: **Świr**



Wycinki z przeszłości

We wrześniowym numerze pisma „Kobieta w Świecie i w Domu” z roku 1935 przypominano o jesiennych porządkach. I dawano kilka rad:

„Najładniejszy połysk zyskują okna, gdy się je czyści płynami, które są przeznaczone do czyszczenia metali. Kupne preparaty są jednak drogie, dużo taniej wypada, gdy je się sporządza w domu. Plamy po muchach na złotych listwach i ramach puszczaają zupełnie, gdy się je pociera wpoprzek przeciętą cebulą, a potem lekko poleruje miękkim galgankiem lnianym. Trzepiąc zaś meble, pokryte delikatniejszymi tkaninami, pamiętajmy zawsze okryć je czemśkolwiek, aby trzepaczka nie dotykała bezpośrednio materiału. O ile chodzi o meble jeszcze nie wykończone, nie polerowane z drzewa dębowego, najlepiej usuwa tłuste plamy silny roztwór sody. Z mebli polerowanych usuwamy plamy za pomocą palonej magnezji, do której dolewamy benzyny i urabiamy na gęstą masę. Pożółkłe blaty marmurowe odzyskują dawną, idealną biel, gdy obłożymy je na przeciąg 1,5–2 dni gęstą, jednolitą masą wapna gaszonego, rozrobionego wodą mydlaną. Po dwóch dniach zmywamy tę masę letnią wodą. Kafele, szczególnie ściennie, czyszczą się ładnie i prędko, gdy do wody dodamy trochę mleka”. Wszystko pięknie, ale do czyszczenia mebli ze współczesnej masowej produkcji, które mamy dziś zwykle w domach – mogą się te porady nie przydać. (mk)



Wiersze dokumenty



Leszek Długosz

Są tylko rejestracją tego, co się widziało, przez co się przeszło. Ich autorka, jedna z najwybitniejszych polskich poetek XX w., wyniosła z domu znakomite parantele i tradycje kulturalne. Aresztowana przez NKWD przeszła przez więzienia sowieckie aż do gułagu w Workucie. Z Armią Andersa, szlak aż do Anglii. Tam została po wojnie.

Jej twórczość, życie i postawa wymagają od pokoleń, które „już wiedzą”, upamiętnienia i wdzięczności. Niestety wciąż tak nie jest...

Beata Obertyńska 1896–1980 „W bydlęcym wagonie”

*Przeciągnęli go potem pod ścianę,
do kąta, przyrzucili płaszczem bez guzików,
leżał sztywny i stygl...
Kto by sobie w transporcie
trupem głowę zaprzętał?
Nikt.*

*Jeszcze wczoraj wieczorem
mówił komuś po cichu,
że chory,
jeszcze rano dyszał...
Teraz spokój.*

*W tułacznych nóg zdeptane stępy
sztywność śmierci nacieka i cisza.*

*Nikt już więcej po świecie
wlec ni ganiać nie będzie
tych sznurkami okręconych szmat.
Tak.*

*W pośmiertnej wygodzie
zdobył kąt na podłodze
i wyciągnął się wreszcie na wznak.*

*Czyjś?
Na pewno... Ktoś czeka,
ktoś się modli nocami,
żeby wrócił, przetrzymał to wszystko...
Ot i przepadł.*

*Jak dojdą, gdy nie wiemy my sami,
jakie imię miał, jakie nazwisko?*

Znowu jedna śmierć taka...

*Kto odbołał, oplakał,
kto ją odczuł? Nikt.*

Bo któż? Nie my...

*...Chyba – one. Te w strachu,
od stygnących już łachów,
po wagonie rozłazące się
– wszy.*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
w SIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania w SIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań w SIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ

„Kulawa tęcza” i „pokraczny krucyfiks”

*Chrześcijańskiej wspólnoty, która przetrwała najcięższe
historyczne zawirowania, rękawicę rzuca nurt,
w którym wartości dopiero są ucierane i negocjowane*



Przeczytałam utwór red. Wojciecha Maziarskiego „Świątobliwi pedofile. Tekst dedykowany obrońcom prof. Aleksandra Nalaskowskiego” („GW”, 13 września 2019). Redaktor dla wyrażenia potępienia postawy prof. Nalaskowskiego i jemu podobnych zabawiał się słowami.

ZMIENIĆ WYDŹWIĘK

Maziarski najpierw przywołał Krzysztofa Czabańskiego, szefa Rady Mediów Narodowych, który w obronie prof. Nalaskowskiego powiedział, że ów „nie naruszył dóbr osobistych konkretnych osób, tylko wypowiadał się krytycznie o działalności środowiska LGBT, polegającej na narzucaniu w brutalny sposób swojej ideologii oraz towarzyszącemu temu profanowaniu symboli oraz uroczystości religijnych”. Po czym Maziarski dodał: „Uspokojony tym, co powiedział Czabański, przepisałem więc felieton Nalaskowskiego, odwracając tylko o 180 stopni jego wymowę. Zamiast o środowisku LGBT tekst mówi teraz o biskupach i Kościele. Jak wam się podoba? Rzeczywiście nikt nie ma powodu czuć się urażony?”.

Oto fragmenty tej przeróbki: „Wypełniają z kościołów i kaplic na ulice polskich miast, wypychają się do szkół i urzędów. Odurzeni złą religią, nieszczęśnicy i fanatycy, których dopadła katolicka

zaraza. Zawodzą i modlą się, maszerują w procesjach i pielgrzymkach, wznosząc krucyfiksy, okadzając monstrancje, żłowiąc wino i połykając oplatki. [...] Ich pokraczny krucyfiks traktowany jest jak jakaś świętość. Milcząco akceptujemy, że musimy go szanować. To tak jakbyśmy mieli uznać, że tyfus, dżuma czy ospa zasługują na cześć i szacunek. [...] Spasione katabasy w sutannach, śliniący się pedofile, świętoszkowaci cwaniacy z ruchów pro-life, toporne babiszony w bezkształtnych garsonkach, które na swoje tępe głowy wdziewają welony, jakby były niebiańskimi aniołami”.

PODRYGI I PIELGRZYMKI

Ta gra słowami umożliwia, raczej wbrew intencjom autora „Wyborczej”, uchwycenie czegoś istotnego. Jak wygląda ów pojedynek tekstu Maziarskiego z felietonem Nalaskowskiego: tęczowa zaraza vs. katolicka zaraza; podrygi taneczne vs. procesje i pielgrzymki; kulawa tęcza vs. pokraczny krucyfiks.

Czyż w tle nie mamy głębokiego kryzysu tożsamościowego, jaki przeżywa dzisiejsza Europa? LGBT jest chyba jakąś odpowiedzią, ofertą kulturową w reakcji na zagubienie cywilizacyjne, na niepewność w obliczu złożoności współczesnego świata. Jest jakąś propozycją dla przytłoczonych hiperwolnością – choć wcale przecież nie muszą być świadomi, jak w ich życie wkraczają globalne trendy. LGBT kusi przygodą autokreacji, dreszczem przekraczania granic, ale też perspektywą wyzwolenia od lęku przed odpowiedzialnością.

Pewnie nie tylko ja mam wrażenie, że pomiędzy wspólnotą i dziedzictwem

chrześcijan a społecznością LGBT próbuje się budować jakąś symetrię, sytuację daleko idącą równoprawności moralnej.

Czy jest to jednak możliwe? Już samo postawienie na jednej szali, w kontrze do siebie, dwóch tak odmiennych bytów zgrzyta.

Z jednej strony mamy chrześcijańską wspólnotę, liczącą ponad dwa tysiące lat, od około 80 pokoleń niosącą depozyt tradycyjnych wzorów relacji międzyludzkich, które stworzyły naszą cywilizację dostatku i wolności. Te wzorce oczywiście też się zmieniały, ale respektowały „odwieczne” archetypy. Naprzeciw temu stawia się środowisko LGBT, które tak naprawdę dopiero się kształtuje, dodając kolejne literki płynnych tożsamości. Bo daj nikt jeszcze ze świata transgeneru nie przeszedł całego cyklu życia. Mamy naprawdę wielką niewiadomą.

Chrześcijańskiej wspólnoty, która przetrwała najcięższe historyczne zawirowania, rękawicę rzuca nurt, w którym wartości dopiero są ucierane i negocjowane. Nie znamy długofalowych skutków społecznych tego specyficznego stylu życia, tego eksperymentu.

POD KRZYŻEM

W sobotę, 14 września 2019 r. byłam na lotnisku w Kruszynie koło Włocławka. Uczestniczyłam w poruszającym spotkaniu modlitewnym „Polska pod krzyżem”. Z tysiącami Polaków szłam w drodze krzyżowej. Słuchaliśmy 12 świadectw osób, które w swoim codziennym życiu dźwigają krzyże ponad ludzkie siły.

Tam, pod krzyżem było miejsce dla wszystkich zagubionych.

Katarzyna Zybertowicz

Już 30 września

SIECI

i raz w miesiącu
do końca roku

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



PARTNER DODATKU



ORLEN

Cykl dodatków
o niezwykłych
czasach
budowania
nowego państwa
po 123 latach
zaborów

ZAMIEŃ DROBNE NA **KONKRETY**



Codziennie w Twoim zasięgu
za jedyne **1,50 zł.**

Wygraj nawet 400 000 zł!



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl